zesz. 19.

Oddany w rekruty
część I.

57/50

2.19

Oddany w rekruty.

I. ~~W kompanii zapasowej~~. Powołanie do wojska.

Po wypuszczeniu z więzienia polowego w Morawskiej Ostrawie, gdzie przesiedziałem od 28 listopada 1914 do 12 sierpnia 1915., zostałem konfinowany w Bad Hall w Górnej Austryi. Gdy ogłoszono ponowny przegląd (abermalige Musterung) ludzi, urodzonych w latach 1873-1877, zapytałem namiestnictwa linckiego, czy jestem zobowiązany do stawienia się, skoro uważam moją konfinacyę za dalszy ciąg więzienia.

Wybrałem się dobrze. Pytanie było co prawda logiczne i po ludzku uzasadnione. Albo jestem notorycznym zdrajcą stanu, albo przynajmniej podejrzanym o niechęć wobec państwa austryackiego, a w takim razie nie można mnie powoływać do obrony tego państwa, tem więcej, że zachodzi obawa, iż na froncie mogę nietylko sam przejść do nieprzyjaciela, ale nawet ewentualnie uwieść i pociągnąć za sobą wielu innych żołnierzy. Wobec tego pospolita przezorność nakazywałaby takiego człowieka na front nie wysyłać. Zwyczajne zaś ludzkie rozumienie sprawy kazałoby człowieka, o którego zdradzieckiem usposobieniu nie jest się przekonanym, bo się go nie uznało za stosowne powiesić, nie stawiać w tak drażliwe położenie, iżby nie będąc dotąd zdrajcą, w końcu nim zostać musiał właśnie wskutek szykan władzy.

Boć oto trzymano mnie w kryminale prawie dziewięć miesięcy. W więzieniu polowem strzelano ludzi tak łatwo i p bez powodu jak za rewolucyi francuskiej w trybunale rewolucyjnym Fouquier de Thionville'a. Przy tak ryczałtowem traktowaniu żywotów ludzkich muszę po prostu za cud uważać, iż mi się udało wynieść cało głowę. Jednakże sama nadzwyczajność mojego ocalenia byłaby dowodem, że nietylko sąd polowy, ale nawet uprzedzona do mojej osoby najwyższa komenda armii z arcyksięciem Fryderykiem na czele nie znalazła we mnie nawet takiego śladu winy, za który możnaby mnie bodaj zasądzić na tyle miesięcy więzienia, ile przesiedziałem w śledztwie. Takie zasądzenie, chociażby niesprawiedliwe, dawałoby naczelnikom sądu i armii, o ile po ludzku umieją czuć i myśleć, wolną rękę wobec człowieka, którego dręczono, ~~niewinnie~~ i dawałoby uzasadnienie dalszemu pastwieniu się: wszak to tylko sądownie karany winowajca.

Gdy jednak proces wytoczony z początku mnie samemu, a potem, wedle słów sędziego śledczego kapitana Žegaraca, nietyle przeciw mnie, ile przeciw kierunkowi politycznemu, któremu hołdowałem, nie dostarczył materyału nawet na wygotowanie aktu oskarżenia przeciw mnie, stało się widocznem, że tak sąd jak Naczelna Komenda armii doszły do przekonania, iż zaszła pomyłka. Po ludzku rzecz biorąc, należało mi się od władz zadośćuczynienie.

Zamiast niego jednak wyznaczono mi konfinacyę pod ścisłym nadzorem żandarmeryi. Jest to zatem tylko rozleglejsze więzienie. Ale ono wskazuje na brak nietylko dowodów ale nawet poszlak. Wszakże podejrzany kierunek polityczny nie przestał być dalej podejrzanym. Gdy się go chciało potępić, najwygodniej było zasądzić go w mojej osobie. Nie jestem hrabią, nie mam krewnych w sferach dworskich, nie mogę więc przez nich robić trudności w owych kołach. Nie jestem nawet austryackim Ekscellencyą i zasądzenie moje nie zrobiłoby państwu złej opinii za granicą – nie wywołałoby nawet hałasu. Mam zaś dość duże wzięcie w Galicyi i dość liczny zastęp naprawdę szczerze oddanych zwo-

lenników, zaczem moje skazanie wznieciłoby duży popłoch i posłużyłoby za odstraszający przykład. Gdy mnie nie skazano, widocznie kierownicy armii i państwa uważają mnie za niewinniejszego niż ja sam siebie.

A w takim razie po co konfinacya zamiast zadośćuczynienia? Czy jest to wolność ograniczona, czy też dalszy ciąg więzienia? Gdy byłem w więzieniu, odbywał się przegląd mego rocznika, ale mnie przed komisyę poborową nie stawiono. Czy mam się teraz stawiać, czy nie?

Optymizm kazał mi uważać konfinacyę za pierwszy szczebel do zupełnej wolności. Myślałem sobie, że panom kierownikom państwa wstyd tak otwarcie przyznać się do pomyłki, zaczem, gdy tylko zostanę wzięty do wojska, chcą mi dać satysfakcyę i przywrócić odjęte prawa, używając pretekstu, że wobec przyszłego obrońcy państwa milkną podejrzenia i złośliwości.

Takie rozważania skłoniły mnie do zapytania namiestnictwa linckiego o wskazówki. Wnet jednak zobaczyłem, że mogłem rozumować nieomylnie ze stanowiska ludzkiego, ale zupełnie fałszywie ze stanowiska austryackiego.

Namiestnictwo górnoaustryackie nie uznało stosowne dać mi odpowiedzi wprost. Przedewszystkiem poleciło urzędowi gminnemu w Bad Hall, aby ściągnął ze mnie protokół, gdzie, kiedy i za co siedziałem w więzieniu. Bad Hall jest malutką gminą: co więc wie wójt, to za nim wie cała gromada. Stałem się też natychmiast postrachem kobiet i dzieci, przedmiotem odrazy lojalnych poza granice ludzkie Rakuszan. Przechodziłem przez osadę jakoby wśród rózeg, a w kilku sklepach oświadczono mi, że dla mnie nie mają żadnych towarów.

W ten sposób namiestnictwo od razu zburzyło stan rzeczy, utworzony dla mej wygody przez sąd polowy, który chciał, ażeby oprócz żandarmeryi nikt nie wiedział, w jakim charakterze bawię w Bad Hall – przeciwnie, aby cała publiczność uważała mnie za dystyngowanego gościa, który używa tamtejszych kąpieli dla poratowania zdrowia. Namiestnictwo w ten sposób zadokumentowało swój żywy patryotyzm austryacki, czyniąc nieznośnem życie człowiekowi, który nie musiał być dosyć lojalnym, skoro go posądzono o zdradę stanu.

Wreszcie wójt tamtejszy, u którego gospodzie mieszkałem, oznajmił mi, że wedle rozstrzygnienia namiestnictwa mam się jawić do przeglądu.

~~Nie m~~ Nie spodziewałem się, aby mnie można uznać za zdatnego do żołnierki. Gdym jednak dnia 6. listopada 1915. zobaczył w starostwie w Steyr moich towarzyszów poborowych nago, spostrzegłem ze zdumieniem, że wobec nich wyglądam jako Apollo belwederski, z dodatkiem herkulesowej klatki piersiowej. Było ich pięćset – z czego zupełnie głuchy lekarz uwolnił jedynego kalekę z uschniętą nogą: wszyscy inni uznani za zdatnych. Ja stawałem ostatni jako zamiejscowy, więc w tem towarzystwie musiałem okazać się najzdatniejszym. Strach co tobyły za pokraki.

Dnia 18 listopada dostałem kartę powołującą ~~z Linzu~~, gdzie mi kazano natychmiast zgłosić się do czynnej służby wojskowej w 2. pułku obrony krajowej w Linzu. A więc znowu wyjątkowe zarządzenie co do mojej osoby, bo moi współtowarzysze przeglądowi mieli wstępować do wojska dopiero 6 grudnia. Czyli mimo przyznania mi charakteru i tytułu obrońcy ojczyzny jestem dalej z pod prawa wyjęty.

Nie wiele mnie to jednak zmartwiło. Oto rok cały przeżyłem w niepewności, nigdy nie wiedząc, jakie niespodzianki przyniesie dzień jutrzejszy. Stałem już niejako pod szubienicą przez pięć dni, a potem przez wiele miesięcy czekałem na rozstrzelanie – w okresie konfinowania każdej chwili obawiałem się ponownego aresztowania – i tylko, gdy te smutne przewidywania nie spełniały się, zacząłem nabierać otuchy, oraz przekonania, iż peryod nieszczęśliwy kończy się

i zaczynam dobywać się zpod panowania złej gwiazdy, zwanej w Galicyi pechem. Ale ostatnie tygodnie pobytu w Bad Hall stały się naprawdę trudnymi do zniesienia. Gdy zabrakło gości kąpielowych, zostałem prawie sam jeden obcy człowiek wśród nielicznych i znających się wzajemnie mieszkańców miejscowości. Kłułem ich też w oczy, bo z widzenia znali mnie wszyscy. Wysiedzieć cały dzień w gospodzie było niepodobieństwem – wyjść poza granicę małej gminy nie wolno – chodzić po osadzie nieprzyjemnie, a czasem niebezpiecznie, bo można spotkać się z zaczepką i z obelgą.

Nie dziw zatem, że powitałem powołanie do służby wojskowej jako ulgę, jako zmianę na lepsze.

Co prawda nie czułem do tej służby ani zdatności ani ochoty. Mam nogi artrytyczne (były już trzy razy po kilka miesięcy w gipsowych bandażach), na które musiałem często wyjeżdżać do Wiesbadenu lub Truskawca. Stopy są obolałe i mogę chodzić tylko w dużych bucikach szewrowych ze wkładką miękką pod podeszwą. Dotkliwość ta podwyższa się jeszcze przez liczne i wielkie nagniotki oraz tz. grubą skórę. W kostkach i w kolanach są jakieś moczanowe osady, skrzypiące jak zeschłe koło u drewnianego wozu, a ponadto są kolana tak drażliwe, iż mniej delikatne dotknięcie ich czemś twardem doprowadzić mnie może do zemdlenia. Do tego przychodzi przeziębiony i kapryśny pęcherz, mała ale dojmująca przepuklina, słabe serce, nie dozwalające na bieganie lub wspinanie się pod górę, wreszcie bardzo słabe ręce. Płuca i żołądek są dobre, co prawda.

Miałem więc słuszność, uważając się za niezdatnego do ponoszenia trudów wojennych.

Ale prócz tego nie miałem i ochoty. ~~Ocoja m~~ Od dziecka przywykłem do obrzydzenia wobec wojska. Instynktowe miałem pojęcie o żołnierzach, że są złoczyńcami, a o oficerach, że są głupcami i łajdakami. Było to jakieś tak bezwiedne i nieuświadomione przekonanie, że traciłem serce do kolegów nawet bliskich, kiedy wdziewali mundur, albo nabierałem do nich przesadnego przywiązania i uznania, kiedy się przekonywałem, że mimo żołnierskiego odzienia pozostawali nadal dobrymi i zacnymi chłopcami. Z żołnierzy nieintelligentnych wyjmowałem zpod wstrętu tylko tych, którzy się na służbę żalili. Unikałem zadowolonych z zawodu swojego, jako przepadłych dla społeczeństwa, a pod oficerów uważałem za coś gorszego niż psy wściekłe: prócz postaci nie zostawiałem u nich nic człowieczego. Oficer był u mnie ostatnim osłem, próżniakiem i rozpustnikiem – nawracałem się dopiero do tych pułkowników i jenerałów, którzy obok siwego włosa, co zawsze i wszędzie wzbudzał u mnie szacunek, mieli spojrzenie wyrozumiałe, a ruchy stateczne i powolne.

Istnienie wojska uważałem za zło konieczne, ale do armii czułem wstręt i uprzedzenie. Nie cierpiałem mundurów wogóle. Długie lata jako profesor musiałem nałamywać się i przyzwyczajać do mundurków studenckich; sam zaś, mimo że dla ś.p. ojca byłbym wszystko zrobił, nie sprawiłem sobie profesorskiego uniformu, chociaż nieboszczyk gorąco pragnął mnie w nim zobaczyć. Nie mogłem i koniec. Kiedy przed wojną myślano zaprowadzić dla profesorów przymus uniformowy, nosiłem się poważnie z myślą porzucenia nauczycielskiego zawodu.

A już największy wstręt miałem do munduru żołnierskiego. Nie tylko dlatego, że wydawał mi się brzydkim, ale że jako liberya cesarska był oznaką niewoli. Rozumiałem, że biedak musi, a głupiec chce nosić liberyę, ale do żywego oburzała mnie myśl, iż wolnych obywateli przymusza się do niewolnictwa i do liberyi. Winszowałem też sobie, żem ~~się~~ w młodości uniknął służby wojskowej, a cieszyłem się, żem nie musiał zostać ministrem i zawdziać galonowanej liberyi.

Wojsko, którego manekinowe ruchy wydawały mi się bezcelowymi, było u mnie synonimem torturowania ludzi. A równocześnie i synonimem trudu. Wojskowa żółtobura

bielizna, metalowa szalka do jedzenia i wspólny kuchenny kocioł ze szmelcowanym od sadzy kucharzem odbierały mi apetyt. Miałem fizyczny strach przed brudem. Pomyśleć tylko, że od dziesiątek lat musiałem przynajmniej raz na tydzień być przez 2 do 3 godziny w parówce, że codziennie zmywałem się caluteńki zimną wodą i że starałem się codziennie brać świeżą bieliznę, mimo używania osobnej bielizny nocnej.

Ten wstręt do brudu został był nieco przełamany przez czas pobytu w więzieniu, ale nie został całkowicie usunięty.

To był mój stosunek, że tak powiem nerwowy, do wojska. Zostawał jeszcze rozumowy. Oto miam iść do wojska austryackiego. Co to jest Austrya? Ani naród, ani nawet państwo. Jest to dynastya, która wciągu wieków, w sposób zawsze prawie naganny, nachwytała mnóstwo strzępków z przeróżnych narodowości, zawsze wbrew woli tych narodowości, i jakąkolwiek wojnę chciałaby rozpocząć, zawsze uzbraja braci przeciw braciom, popychając swoich poddanych do zbrodni przeciw najelementarniejszym uczuciom człowieczeństwa. Ta dynastya jest w tym organizmie sztucznym surrogatem narodowości. Natomiast surrogatem państwa jest rząd wiedeński, rekrutujący się z nieuczynnych, wygodnych, rozpustnych, do hulatyki skłonnych, a bardzo pysznych i złośliwych hofratów wiedeńskich. Ta jedyna spójnia owych ~~złepków~~ gałganków narodowości wytworzyła sobie system rządzenia jeden z najpodlejszych na świecie, będący dalszym ciągiem systemu Metternicha i uważa monarchię za laboratoryum, w którem surowy materyał różnolitych narodowości ma być przerobionym na półfabrykat, zdatny do germanizacyi. Takim półfabrykatem mają stać się owe okruchy narodowościowe przez zarganie węzłów ze swoimi rodakami czy wyznawcami jednej wiary, istniejącymi za granicą monarchii, a przez wytworzenie w sobie tz. patryotyzmu austryackiego. Jest to przecież zbrodnia przeciw naturze i wywrócenie wszelkich pojęć o człowieku, gdy się żąda, ażeby miliony rodzin zargały wszystkie najświętsze węzły, wyrzekły się wszystkich przywiązań, uczuć, popędów, tradycyi, najcenniejszych i najbardziej godnych człowieka, dla tego tylko, że to wydaje się wygodniejszem jednej jedynej rodzinie, chcącej nietylko używać i panować, ale miliony dusz gwałcić – dla swego widzimisię.

Zależność monarchii od sprusaczonych Niemiec sprawia, iż jest tylko logicznem oczekiwanie, że owe półfabrykaty, wykonane w fabryce austryackiej, muszą niebawem przejść do kuźni niemieckiej, aby się poddać ostatecznemu wykończeniu germanizacyjnemu i dostać stempel niemiecki.

Czy tego rodzaju widoki na przyszłość mogą obudzić w człowieku myślącym, a nie łaknącym zrywków z ręki pańskiej, jakiś zapał do wojny? do wojska?

A do tego doświadczenie wykazało w Austryi dowodniej niż w Rosyi, że wygrana państwa jest klęską ludności i naodwrót. Czy człowiek, nieżyczący współludziom nieszczęścia, może pragnąć zwycięstwa dla takiego państwa? Wygląda to tak, jakgdyby zachęcano austryackiego obywatela do waleczności następującemi słowami: „Walcz dzielnie synu! Gdy zwyciężysz i odznaczysz się, dostaniesz ty i twoja rodzina i cały twój naród w najdalsze pokolenia, stryczek na szyję.”

Austrya wywołała wojnę na życzenie Prus i w chwili, którą Prusy uznały za najlepszą dla siebie. Śp. arcyksięciu Ferdynandowi nie pozwolił Wilhelm II wydać wojny, wtedy, kiedy ona dla Austryi była konieczną. A kto wie, czy i śmierć tego następcy tronu, który chciał być niezależnym, chciał prowadzić politykę nie pruską, lecz austryacką, nie nastąpiła jeżeli nie z woli, to za wiedzą kół dworskich w Wiedniu i w Berlinie.

Z zamordowaniem arcyks. Franciszka Ferdynanda ukończyła się próba wyemancypowania Austryi zpod zależności od Niemiec. Odtąd Austrya jest już niewiele więcej wartą od jakiegokolwiek państwa związkowego Rzeszy. Zwycięztwo Austryi jest więc zwycięstwem Prus i ich systemu, który wykorzenił Słowiańszczyznę od Łaby i teraz pora wyjście Niemna. A więc bić się, aby przyspieszyć zgermanizowanie Polaków?

I przeciw komu bić się? Przeciw Serbom, czy Włochom, kiedy ci wobec sumienia i ludzkości mają słuszną sprawę – niesłuszną zresztą wobec zobowiązań, popisanych przez ministrów. Przeciw Rosyi biłbym się, ale w innych warunkach. Dziś osłabiając Rosyę zrywa się ostatni hamulec dla buty pruskiej – a prócz tego, strzelając do wojska rosyjskiego, prawie zawsze zamordujęs Polaka.

Nie! do takiej wojny nie mogę wzbudzić w sobie zapału.

Przeżywszy tyle lat w wolności myśli, słów i czynów, miałem tem większy strach przed wojskiem, jako ośrodkiem dyscypliny. Ślepe posłuszeństwo wobec niepoczytalnych i ograniczonych przełożonych wydawało mi się zaparciem się swego człowieczeństwa. Czułem się na to za starym, za poważnym.

Żadna idea, oziacająca tę twardą rzeczywistość, nie przyszła mi przyświecać, chociażby przez ułudę, przez oszukiwanie samego siebie, przez wmawianie w siebie rzeczy nieistniejących i nadziei bezpodstawnych, aby ułatwić owo wstąpienie do wojska.

Przekonanie, jakie miałem przed wybuchem wojny, o następstwach tej wojny dla naszej polskiej sprawy, utrwalało się podczas samejże wojny. Nie spodziewałem się dla nas niczego dobrego ze zwycięztwa którejkolwiek ze stron walczących. Był jednakże pewien odcień w tym dwusiecznym pesymiźmie. Zwycięztwo Prus – bo tak zawsze wyrażałem sobie mocarstwa centralne – było dla mnie końcem Polski. Zburzenie Kalisza, Kłobucka itd, zakaz polskiej korrespondencyi w Kongresówce, rozwiązanie Komitetu obywatelskiego, podatek absencyjny Hindenburga i jego polsko-żydowsko-niemieckie rady miejskie w Królestwie, zabór żywności, śmierć głodowa w Łodzi i innych centrach przemysłowych, obserwowana tylko naukowo przez Niemców, niedopuszczenie amerykańskiej pomocy dla głodnych, zniemczenie nazwisk (Kalisz-Grossgarten, Łódź-Neu-Breslau) i wszystkie tym podobne zarządzenia władz utwierdzały mnie tylko w tem przekonaniu, dostarczały dowodu na to, żem się w moich przewidywaniach nie mylił, że z tej strony nie ma żadnej nadziei, żadnej sprawiedliwości, żadnego zmiłowania, tylko beznadziejna zguba.

Wobec takich widoków na przyszłość zwycięztwo Anglii i Rosyi zostawiało przecież słabiuchny promyk nadziei, przynajmniej możność łudzenia się i niepopadania jeszcze w bezdenną rozpacz. Zwycięzców mogło być dwóch, a nawet trzech, bo do owego czasu głównych czynów gigantycznego oporu dokonywała Francya. Zwycięztwo tej strony byłoby zjednoczeniem wszystkich ziem polskich w jednem ręku. A to jest znacznem wzmocnieniem polskiej siły odpornej. Gdy trzech równorzędnych uczestników dzieli się łupami, każdy ma coś do gadania – a w sprawie polskiej Anglia i Francya nie są interesowane. Co więcej muszą się niepokoić zbyt wielkim wzrostem Rosyi, czyli mogą jej dać hamulec w postaci zjednoczonej Polski, wyposażonej w międzynarodowe gwarancye, które ewentualnie pozwolą im mieszać się w wewnętrzne stosunki zbyt groźnego sojusznika. W każdym razie wzmocniona, bo zjednoczona Polska, w razie ciemiężenia ma tylko jednego wroga, a nie trzech, może zaś liczyć na poparcie wszystkich przeciwników zbyt wielkiego rozrostu Rosyi. To nie jest jeszcze śmierć.

Ale też nie jest jeszcze i życiem. Zwycięztwo Rosyi jest zwycięztwem reakcyi, caratu i czynownictwa, oznacza zatem jeszcze straszniejsze wzmożenie się ucisku inorodców, zwłaszcza Polaków. Nie ma się zaprawdę do czego entuzyazmować.

Niemniej jednak są widoki na przetrwanie, gdy w Prusiech ich nie ma. Rosya staje się coraz więcej państwem narodowo mieszanem i nie jest wykluczone w dalszej

przyszłości porozumienie się między uciskanymi. Do tego konflikt między Rosyą a Anglią wydaje się w przyszłości nieuniknionym. Nawet w razie zdobycia Konstantynopola Rosya nie ma dostępu do żeglownego oceanu i musi ciążyć do zatoki perskiej. Persya rosyjska jest znowu klinem w kolonialnem państwie brytyjskiem, obejmującem Egipt, Arabię i Indye.

Nie jest wykluczonem – chociaż bardzo nieprawdopodobnem – że w widzeniu tej przyszłości myśląca czynniki rosyjskie, celem wzmożenia swojej siły, zechcą zaprowadzić w domu porządek przez zaniechanie ucisku i równouprawnienie inorodców. To dosyć nieprawdopodobne, ale przecież możliwe rozwiązanie trudności wewnętrznych na przyszłość mogłoby w pewnym wypadku być zaszczeniem wszystkich życzeń polskich. Dzisiaj, kiedy mocarstwa przemieniają się w olbrzymy, obejmujące całe kontynenty, mała etnograficzna Polska nie mogłaby się ostać bez oparcia się o olbrzyma. Wolałbym ją widzieć dominionem angielskim zamiast prowincyą rosyjską, ale gdyby Rosya dała Polsce pełną samodzielność i równouprawnienie Polakom w ziemiach litewsko-ruskich, byłbym całkowicie zaspokojony.

Na to jednakże nie liczę. Niemniej samo zjednoczenie ziem polskich choćby pod reakcyjną i ciemiężącą Rosyą zostawia przecież jakiś promyk nadziei, której zupełnie niema na wypadek stanowczego zwycięztwa Prus.

Najlepszem rozwiązaniem sprawy polskiej według mego mniemania jest wojna nierozegrana, zakończona wzajemnem wycerpaniem się obu stron wojujących i powszechną rewolucyą, która zmiecie trony, rządy i pojęcia zaborcze, a wprowadzi sprawiedliwość i pogotowie powszechne dla obrony świata przed nowemi wojnami.

Ponieważ i to rozwiązanie nie jest wykluczone, obowiązkiem Polaków jest jak największe oszczędzanie żywołów polskich, aby na wypadek likwidacyi starego porządku rzeczy znaleźć się w jak największej sile.

Takie były moje zapatrywania przed wybuchem wojny. One mi kazały w gazetach i na zebraniach zwalczać zapał wojenny, sztucznie rozdmuchiwany w Galicyi, a zalecać karne, czujne stanowisko wyczekujące. Te zapatrywania nietylko się nie zmieniły, ale utwierdziły się coraz bardziej w miarę rozwoju wypadków wojennych.

Nie mogły mnie zatem uczynić entuzyastą wojennym.

Do nich przychodziły rozważania osobiste. Nie miałem ochoty iść na wojnę, bo nie chciałem zabijać nikogo, nie mogąc wyosobnić tych, których z narodowego wyrachowania pragnąłbym zamienić w nieboszczyków, a nie chciałem także sam zginąć. Wydawało mi się – i wydaje się ciągle – że moje życie jednak jest potrzebne narodowi, którego kierownictwo ujęli z wybuchem wojny smarkacze, szubrawcy i oszajdusze. Prócz tego zginąć na większą chwałę Prus wydawało mi się najkrwawszą ironią, jaką życie może wogóle wytworzyć. Niemniej jednak w rozmyślaniach wolałem śmierć niż ranę – nie jako człowiek, ale jako Polak. Rozumie się, że jako człowiek bałem się kalectwa – ale jakakolwiek rana wydała mi się takim stygmatem niewoli i hańby, takiem piętnem poniżenia i odnaturzenia, że wolałem w myślach śmierć aniżeli ranę. Śmierć możnaby wytłumaczyć tem, że mnie mimowoli wysłano w okopy i dano zabić za obcą sprawę: byłaby ona zbrodnią nie moją lecz przemocy. Ale rana, zo

której zostaję się przy życiu, byłaby mi całe życie wyrzucała: oto bijeś się o panowanie pruskie nad światem i o przyspieszenie germanizacyi Polaków. Byłeś podobny do tego Tatara, który mając sam powiesić się na rozkaz Komendanta, starał się jak najpiesznej wykonać tę operacyę, „aby się bagadyr nie gniewał" na marudzenie. Ty i twoi towarzysze czynicie cały naród podobnym do onego Tatara. Mówicie do niego: Germanizuj się Polsko prędzej, aby się Wilhelm nie gniewał.

A jednak mimo tych wszystkich rozumowań i uczuć doznałem ulgi i uradowałem się, otrzymawszy kartę powołującą do bezzwłocznego wstąpienia do wojska.

Wynikało to z uczuć czysto osobistych.

Służba wojskowa ratowała mnie przed dwiema niepokojącemi obawami.

Żyjąc w ciągłej niepewności, byłem mocno wyczerpany nerwowo. Oczekiwałem ciągle ponownego aresztowania i śledztwa. W śledztwie zaś lękałem się podchwytliwych pytań, aby przez nieostrożność i przegadanie się nie „wsypać" kogoś. Wprawdzie myśli i pragnienia moje były znane, drukowane i jasne bez cienia wątpliwości. Nie mogłem więc nieostrożnie wypaplać jakichś tajemnic dla siebie i na moich zwolenników, bo niczego nie taiłem. Niemniej spostrzegłem w więzieniu, że aresztowano ludzi, a nietylko mnie bliskich, ale i całkiem mi obcych, jeżeli tylko Niemcy z Bielska nazwali ich moimi przyjaciołmi. Tymczasem Dr. Buzek Józef wystąpił był uroczyście ze stronnictwa demokratyczno-narodowego, aby nie stracić łaski w oczach czynników wiedeńskich. Kto w tym wypadku stchórzył, temu już nie wierzę. A on wiedział o istnieniu Ligi narodowej, może nawet za dużo wiedział. Obawiałem się, że zadenuncyuje wszystko, co wie i to czego nie wie, tylko się domyśla. Jak wtedy przyjaciół bronić i zastaniać, gdy się nie wie, który są zdradzeni, a który nie i co na nich doniesiono? W tej niepewności postanowiłem przeczyć wszystkiemu i ukryć się za całkowitą nieznajomość sprawy, ale bałem się śledztwa, a bałem się i takiego zaprzeczania w czambuł, bo kto wie, czy przez zręczne odpowiedzi nie udałoby się kogoś uratować. Wolałem więc uchronić się przed ponownem śledztwem, a najlepszą ochroną jest mundur wojskowy i zagubienie się gdzieś na froncie.

Powtóre moi przeciwnicy polityczni mogli mnie lada chwila zgubić. Wystarczyło dwóch krzywoprzysięzców, którzyby oni włożyli w usta jakiekolwiek słowa o cesarzu, o państwie, o armii, albo o widokach zwycięstwa, ażeby mnie ze świata sprzątnąć. Otóż nie miałem nic przeciw zrubieniu czy rozstrzelaniu, gdyby mnie śmierć spotkała za moje zasadnicze stanowisko, po prostu za to, że jestem Polakiem. Ale być zabitym za jakieś nieopatrzne słowo, za długi język wydawało mi się niegodnem i strasznem.

Wprawdzie w Bad Hall niebezpieczeństwo denuncyacyi było stosunkowo małe. W krajach czysto niemieckich nie zaprowadzono tego systemu szpiegowstwa, co w krajach słowiańskich i mieszanych. Ale tam dla kuracyi znajdowali się nieliczni Polacy cywilni i wojskowi, a przed nieznanymi rodakami trzeba było mieć się na baczności. Najlepiej nie zaznajamiać się z nimi, a gdy to się nie udało, nie gadać o wojnie.

Otóż służba wojskowa kładła kres owym obawom, uwalniała od tej ciągłej baczności, tego strzeżenia swoich słów, gestów, nawet spojrzeń.

Do tego przychodziła jeszcze pewna słabość woli. Prawie wstyd mi przyznać się do niej, bom ją zwalczał i potępiał u moich rodaków, a sam nie byłem od niej wolny. W tem okropnem zmaganiu się narodów zachciewało mi się być żołnierzem. Dzieją się rzeczy straszne i wielkie, w których wszyscy biorą udział — prócz mnie. Czytałem o strasznych

walkach artyleryi, a jam tej muzyki nie słyszał. Nie wiem co to jest życie w okopach, nie widziałem ataku, nie wyobrażam sobie, jak się żyje w pochodach, odwrotach, jak padają ranni i zabici. Jakaś ciekawość niezdrowa, czy atawistyczny pęd do żołnierki, czy może strach, aby mnie po wojnie nie wskazywano palcem jako tchórza, co się krył przed okazyą, wymagającą okazania całego hartu męskiego, czyniły mi myśl o wojnie prawie ponętną.

Aby zostać wiernym swoim przekonaniom politycznym, postanowiłem czynić co w mojej mocy, żeby się do wojska nie dostać, ale nie uważałem za nieszczęście, gdyby te usiłowania okazały się daremnemi. Dobrowolnie nie zgłosiłbym się do wojska nigdy, ale pod przymusem nieuniknionym siedłem tam prawie z ochotą. Tak bardzo stargało moje nerwy życie więzienne i konfinacyjne.

II Usunięcie ze szkoły oficerskiej.

Otrzymawszy kartę powołującą, oznajmiłem o tem tryumfalnie mojej gospodyni p. Mitter oraz jadającym ze mną obiady ks. Gillesowi (Prof. Emil Wiedeń XIII, Lainzerstrasse 23) i naczelnikowi stacyi kolejowej z Gänserndorf, którego nazwisko zapomniałem. Pośredłem do wachmistrza żandarmeryi, jako do władzy nadzorującej, aby mu powiedzieć, że chcę wieczorem dziś odjechać do Linzu, aby nazajutrz rano wywczasowany zgłosić się w komendzie. Wachmistrz wprawdzie pragnął, żebym to uczynił jutro rano o piątej czy czwartej, ale na moje nalegania machnął ręką i przyjął do wiadomości moje postanowienie.

To zachowanie się wachmistrza wytłumaczyłem sobie korzystnie dla siebie. Oto wychodzę z pod nadzorów i złośliwości władz cywilnych, przestaję być osobnikiem piętnowanym moralnie, a staję się zwykłym człowiekiem o równych z innymi prawach i obowiązkach. Był to stan przezemnie od dawna upragniony. Skończyły się więc czasy niepewności i ciągłego niepokoju.

Wesoły jak dziecko pobiegłem do parku zdrojowego, aby raz jeszcze popatrzeć na dalekie góry, zwłaszcza na osobliwy Traunstein, który uważałem za mojego brata w przyrodzie: bo był równie osamotniony, dziwaczny i do żadnej innej góry niepodobny. Dzień był zimowy ale pogodny. Słońce oświecało góry, pokryte śniegiem, a mój Traunstein, wybielony w rozpadlinach i szczelinach, wyglądał jak starzec, co się ubrał odświętnie. Te góry, to jedyni moi przyjaciele w owych stronach. Godzinami włóczyłem się po zdrojowym parku patrząc na nie, dumając o losach ojczyzny i własnych. Całe mnóstwo myśli i zachceń wiąże się z temi Alpami. A człowiek tak potrzebuje przywiązania, że nawet we wrogiej ziemi wygnania zabacza sercem o obojętną, niemą, a przez to dla każdego bliską sercu przyrodę.

Pożegnałem się też z Ulmanami i o czerwonym zachodzie słońca stanąłem na kolei. Noc zapadła zanim ruszyliśmy. Pociąg był prawie pusty. Po peronie chodził obywatel Bad Hallu Niemiec Szachowski, odprowadzając swego gościa przymusowego, rosyjskiego malarza, który tu był internowany i teraz wracał do ojczyzny. Wreszcie o godzinie 5° i kilkanaście minut ruszył pociąg i tak zakończyłem czas mojej konfinacyi w Bad Hall.

Było to dnia 18 listopada 1915.

Po krótkim czasie ukazał się księżyc bliski pełni i wyglądanie przez okno stało się rozrywką. W Rohr, gdzie się trzeba było przesiadać na główną linię, było już od księżyca zupełnie jasno. Czekanie trwało długo. Dziwna rzecz! Nie umiałem wczuć się w moje nowe położenie. Raz zdało mi się, że zobaczyłem wachmistrza żandarmeryi z Bad Hall, jak ciekawie patrzy,

czy ja też rzeczywiście odjeżdżam we wskazanym kierunku, a nie myślę uciekać – potem między oczekującymi na szczupłym peronie zdawało mi się, że widzę niektóre inne osoby z Bad Hall, które przypatrują mi się ze zdziwieniem i coś sobie o mnie szepcą – urzędnicy kolejowe wydało mi się, że patrzą spode łba, wtajemniczeni już w to, com ja za ptaszek i wezwani do pełnienia nadzoru. Źle mi było w tem otoczeniu, więc chodziłem przed peronem po piasku, sam jak zawsze.

Wreszcie nadjechał pociąg upragniony, co prowadzi przez Linz do Budziejowic. W pociągu były jeszcze mosiężne klamki, ale sztaby mosiężne dla oparcia się w oknach, a nawet tabliczki mosiężne zniknęły. Zabrano je na naboje. Nie było też firanek, jako rozsadników chorób zakaźnych. Widać wojnę w wozie kolejowym, chociaż jechała tylko publiczność cywilna. Bliżej Linzu okazały się chmury, wystąpiła mgła i księżyc zginął zupełnie.

Stanąłem w Linzu po siódmej i dla przezorności kazałem się zawieźć do hotelu „Deutscher Kaiser", bo tam radził mi żandarm zajechać. Gdyby mnie szukano, jestem na zapowiedzianem miejscu. Kazałem sobie zrobić kąpiel, czemu się ogromnie dziwił portyer, dziwiła pokojówka, chociaż dzieci narodu, chełpiącego się swoją schludnością, a wygadującego ciągle na polskie niechlujstwo. Potem poszedłem do restauracyi.

Co za rozkosz być wolnym człowiekiem. Jem w miejscu czystem, nawet eleganckiem i jestem szanowany jako gość, zamiast patrzeć, czy pierwszy lepszy nadstawnik nie wyrządzi mi impertynencyi. Naprzeciw mego stolika był duży stół pod ścianą, zajęty przez oficerów, między którymi ton nadawał jakiś jenerał o sztucznych zębach i zapewne sztucznej, bo zbyt pełnej i nieżywej czuprynie. Każda słodycz ma swoją gorycz: Dziś siedzę w jednej sali z nimi jako równowartny gość, jutro będę musiał naciągać się jak struna i „bić w dach" przed każdym z tych panów, nawet najmłodszym, z którym kiedyindziej niechętnie bym się wdawał w pogawędkę.

Na drugi dzień w mroźny, wietrzny, chmurny ranek pojechałem za miasto, aby się zgłosić w koszarach Landwery. Przyjechałem o siódmej, myśląc, że wojsko zaczyna wszystko wcześniej niż ludność cywilna. Ale biuro i biurokrata jest zawsze jednaki w mundurze czy bez munduru. Kazano mi zgłosić się o ósmej, bo dopiero wtedy przychodzą panowie kancelaryjni.

Jakoż wodzono mnie po różnych biurach dość długo, każąc się zgłaszać to tam, to ówdzie. Moje obawy przed brudem okazały się uzasadnionemi. Schody czarne od pyłu, skrapianego wodą, mury podrapane i okurzone, w kancelaryach zaś same brudne księgi i papiery, brudne stoły i kałamarze, brudne wszystko. Wreszcie załatwiono formalności i dano mnie do jakiegoś feldwebla. Stoły ponadrzynane i okurzone, lampa z zadymionem zupełnie szkiełkiem i przepaloną papierową umbrelką, kurz na oknie, krzesła połamane, piecyk żelazny na pół zardzewiały, okurzony i zbrukany popiołem u dołu. Podłoga wyboista z szerokiemi szparami, gdzie się mieści błoto, nosiła ślady niedawnego skrapiania i zamiatania bardzo powierzchownego.

Feldwebel ten oświadczył mi, że musi mi dać jakiegoś cugsfirera za eskortę i że właśnie posłał szukać takiego. Tłumaczyłem mu, że eskorty nie potrzebuję, bo skoro sam przyjechałem do Linzu, potrafię i sam zajechać do Brna Morawskiego, które ma być mojem miejscem przeznaczenia. Ale zamknął mi usta oświadczeniem, że taki jest rozkaz i że właściwie żandarmerya z Bad Hall popełniła niepoprawność puszczając mnie samego. Dał mi do wyboru: albo jechać ze wszystkimi rekrutami o drugiej popołudniu w konwoju, albo jechać samemu pod kierownictwem cugs-

firera o 12 w południe. Wybrałem to drugie.

Pułk drugi obrony krajowej rekrutuje się w pokoju z Górnej Austryi i ma siedzibę w Linzu. Podczas wojny jednak przeniesiono go do Berna na Morawie ze względów polityczno austryackich. Dla trzymania różnolitej ludności w ryzach rozmieszcza się podczas wojny pułki niemieckie i madziarskie w krajach słowiańskich, słowiańskie zaś regimenty w samych ośrodkach niemczyzny i madziarszczyzny. Wkrótce za tem zarządzeniem poszło inne: zaczęto mieszać wszelakie narodowości w jednym pułku tak, że z końcem drugiego roku wojny zdaje się, iż niebyło ani jednego regimentu, którego żołnierze pochodziliby naprawdę z okolic, w jakich się prawnie ma uzupełniać.

Po niejakiem czekaniu zjawił się kulejący cugsfirer, Kohnleichtner nazwiskiem, który miał mnie eskortować. Dostał marszrutę, wziął strawne i ruszyliśmy. Od chwili zgłoszenia się, należał się i mnie żołd, pieniądze za chleb oraz za jedzenie, jako zaopatrzenie na podróż. Feldwebel począł liczyć, przerywać sobie konceptami i wypłacił mi tylko trzecią część należytości. Jest to zwyczajna manipulacya podoficerów ~~mani~~ rachunkowych, magazynowych, żywnościowych itd.

Ruszyliśmy z moim chroniącym nadzorcą przez miasto ku hotelowi. Skończyła się moja pełna swoboda: jestem już związany z tym człowiekiem, a nawet poddany pod jego rozkazy. Niemniej jest to rozkosz iść sobie przez miasto nieznane, módz wstąpić do każdego sklepu i być pewnym, że się tam nie spotka zezowatego spojrzenia oraz grymasu niechęci. Ponieważ czasu było jeszcze dość, wstąpiliśmy do jakiejś gospody na obiad, bo mój przełożony nie śmiał wstąpić do lepszej restauracyi. W tej garkuchni widać już było wojenne ograniczenie w środkach żywności. Jedliśmy chleb własny, który roztropny cugsfirer zabrał z sobą, i mieliśmy tylko niewielki wybór mięsnych potraw. Za to piwo nie było jeszcze wtedy ograniczone. Ja płaciłem wszystko, aby nadzorcę przychylnie usposobić na przyszłość.

Zabrawszy rzeczy z hotelu ruszyliśmy koleją o 12°17' wśród mgły i pomroki. Ale już jechaliśmy trzecią klasą, bo marszruta tak była wystawiona. We Wiedniu stanęliśmy wieczorem i ~~tra~~ tramwajem dojechaliśmy do Staatsbahnhof wedle marszruty. Pociąg stał gotowy, a był podzielony na dwie części: ostatnia połowa przeznaczona dla wojska. Ze względu na mojego nadzorcę musieliśmy tam miejsca szukać.

Gdyśmy ruszyli, okazało się, że ta druga połowa pociągu nie jest ogrzewana. Żadne upominania na stacyach i u konduktora nie pomogły: dla żołnierzy musi wystarczyć zimny wagon. A jechał z nami w tym samym przedziale jakiś feldwebel prosto ze szpitala, a więc nawet bez płaszcza i dygotał z zimna. Położenie w sam raz dla rekonwalescenta. W ogóle jest to znowu austryacki system: w odezwach i gazetach wychwala się pod niebiosa cnoty i zasługi żołnierzy, a w życiu zabrania się im wstępu do sal restauracyjnych na kolei, nie opala się wozów, dla wojska przeznaczonych i nie dopuszcza się żołnierza nigdzie.

O godzinie 11. wieczorem stanęliśmy w Bernie i zajechaliśmy wedle wskazówek jednego z towarzyszów podróży do hotelu Pilsnerhof, ponieważ Berna nie znałem.

Nazajutrz 20. listopada poszliśmy do Landwehr-Ergänzungs-Kommando 2. pułku przy Thalstrasse. Zdaje się, że jest to jakaś szkoła, zamieniona w kancelaryę. I znowu włóczyliśmy się z piętra na piętro od feldwebla do feldwebla, aż nareszcie utknęliśmy w jednem z biur, gdzie miano wypełnić formularz dla mnie i dla mojego opiekuna. Nagle przypada do mnie jakiś feldwebel i woła, żebym natychmiast wszedł „zum Herrn Oberleutnant." Poszedłem za jego przewodem i znalazłem za biurkiem młodego oficera o białej twarzy, znacznym podbródku i wogóle wielkiej skłonności do otyłości, o czarnej dużej czuprynie i małym czarnym wąsiku. Okrutnie surowo spojrzał na mnie, oglądnął odzienie

dokładnie i nareszcie zapytał:

– Dlaczego Pan przyjeżdża pod eskortą szarży?

Zdumiałem się, poczem zapytałem, czy inni przyjeżdżają wolno, bo ja wolno do Linzu przyjechałem itd. Wysłuchał, wodząc badawcze oczy po całej postaci, ale powiedział, że to nic nie znaczy i przydanie szarży ma jakieś znaczenie policyjno sądowe.

Nie było rady. Trzeba było opowiedzieć swoje więzienie i konfinacyę, odpowiadać na pytania o zarzuty. Gdym skończył, powiedział ten oberleutnant mniej więcej w ten sens: „Co było, nie liczy się. Nas teraz Pańska przeszłość polityczna nic nie obchodzi. Jeżeli Pan był winny, powinni byli Pana zasądzić. Gdy tego nie zrobili, widocznie winy nie ma. Żołnierz nie jest ajentem policyjnym i tropić za niczyją przeszłością nie będzie. Dla mnie jesteś Pan żołnierzem i ja będę Pana osądzał na podstawie Pańskich żołnierskich usiłowań." Do tego małe kazanie, że mam być karnym pilnym i przykładnym, oraz małe samochwalstwo, że on już był na froncie i tęskni na front z powrotem, ale po opuszczeniu szpitala nie pozwolono mu jeszcze iść w pole, tylko zaciągnięto do nieprzyjemnej pracy biurowej itd.

A więc nie przestałem dalej być pod nadzorem specyalnym.

Dano mi żołnierza, który miał mnie zaprowadzić do kompanii zapasowej, gdzie mnie przydzielono. Kompania ta mieściła się w szkole przy Winterhollerplatz 22. Mój cugsfirer przyłączył się do nas i za wszystkie jedzenia i picia odwdzięczył się bodaj tyle, że mnie gorąco polecił tamtejszemu feldweblowi, ~~jer~~ służbowemu (Dienstführender Feldwebel). Mógł to uczynić tem skuteczniej, że ów służbowy był jego krajanem. Feldwebel polecił mi zjawić się na drugi dzień punktualnie o pół do siódmej rano i pozwolił odejść.

Poszedłem więc pochodzić po nieznanem mieście. Dzień był szary bez słońca i lekka mgła jak gdyby ze szronem wisiała nad ziemią. Szedłem, gdzie oczy poniosą, na plac Główny, teraz Franciszka Józefa, potem na plac Wilhelma II, a potem wyżej. ~~Szer~~ Od katedry w bok zobaczyłem coś podobnego do pagórka, więc poszedłem tam. Wspinałem się drogą między domkami, a potem w jakimś parku coraz wyżej, aż zobaczyłem mury wielkie i w nich wielki kompleks koszar, czy czegoś podobnego. Jestże to historyczny Spielberg, czy nie? Obszedłem po wygodnej drodze rozległe mury do okoła i znalazłem bramę, a nad nią napis, że tu w II wieku po Chrystusie był zamek rzymski Bruna, potem od XIII wieku mieszkali margrafowie morawscy, a od XVII wieku jest to więzienie stanu, obecnie więzienie wojskowe.

Zatem Spielberg, czy Grajgóra.

O! Polaku, wieczny wygnańcze! Więc pierwszą osobliwością, którą nieznany człowiek w nieznanem mieście musiałeś spotkać, to Spielberg. Czy nie jest to jakiś instynkt wiecznego rewolucyonisty, który bezwiednie skierował moje kroki przedewszystkiem do więzienia stanu? Czy nie jest to, jakoby wskazówka, że w dzisiejszym porządku świata miejscem najstosowniejszem dla Polaka jest Spielberg? A może to przepowiednia mojej przyszłości? Może tylko jakieś powinowactwo ducha, czy głos krwi? Dla czego właściwie przedewszystkiem tutaj trafiłem?

Śmiałem się z siebie i gdyby kto był obaczył mnie samotnie chodzącego z tym śmiechem do samego siebie, byłby mnie niechybnie poczytał za waryata. Tak! to niezawodnie jakieś chemiczne powinowactwo ducha. W każdym razie muszę być niezłym Polakiem wedle zakonu Pańskiego, kiedy mi się przytrafia taka przygoda.

Dunajewski, Smolka, Ziemiałkowski – to jedno pokolenie. Ale gdzież są ci, których mordowano i więziono za czasów Napoleona i Metternicha? Gdzie miejsce tracenia? Nie mogłem odgadnąć. Na zewnątrz murów jest park jakoby u stóp Wysokiego Zamku we Lwowie – ~~prze~~ do wnętrza murów wstęp wzbroniony.

Rozmyślałem też o sobie. Widocznie przyszedł do Linzu rozkaz – może z namiestnictwa górnoaustryackiego? – aby mnie prowadzić pod strażą. Czy mam ufać owemu oficerowi? Co on zacz? Skąd jakiś porucznik bierze się do gadania o sobie w ten sposób, jakoby rządził regimentem? Podobno wojskowi są bardzo czuli na swój honor – czy można liczyć, że taki oficer obiecuje tylko to, co jest w jego mocy i że potem zawsze obietnicy dotrzymuje?

Znacznie później dopiero dowiedziałem się, iż tym oficerem jest adjutant pułkowy, p. Klein, żyd galicyjski z Koropca w buczackiem. Miałem go za Urgermana.

W każdym razie muszę z tem się liczyć, że gdy jeden oficer wie o uprzedzeniach przeciw mojej osobie, wnet bodaj przez plotkarstwo wiedzieć będą wszyscy. Nie uśmiecha mi się zatem zbyt miły pobyt w koszarach. Nic tak nie nęka ofiary, a tak nie rozdrażnia przełożonego jak nieuchwytne, nieokreślone podejrzenie.

Pocieszałem się jednak tem, że wkrótce pójdę do szkoły oficerskiej, a przez ciągłe zetknięcie się z oficerami uczącymi zetrze się owo niedowierzanie i na jego miejsce przyjdzie tylko pogarda dla władz cywilnych, które wszędzie wietrzą spiski.

Swoją drogą odkryłem, że jestem jeszcze w sprawach austryackich mocno niedoświadczony. Gdy mi w Linzu powiedziano, że muszę jechać pod eskortą, uznałem to za rzecz naturalną, za zwykłą formalistykę. Widziałem przecież, że rekrutów zawsze odwożono. Gdy wojsko wyruszało do frontu, tworzono szpaler, przez który nie mógł się przecisnąć nikt z krewnych, aby odchodzącemu żołnierzowi wręczyć upominek na drogę. Publiczność cywilną batożono i tratowano końmi, a obrońców ojczyzny prowadzono w odosobnieniu jako zbrodniarzy na miejsce tracenia. Tak się wierzyło w zapał i patryotyzm austryacki, o którym zakneblowana i zniekształcona prasa śpiewa tak wzniosłe hymny.

To też uznałem jazdę pod eskortą za rzecz naturalną, za skutek jakiegoś ogólnego zarządzenia.

Zapomniałem jednak, że w Austryi ludność dzieli się na ludzi i na bydło i że ja jako profesor o złotym kołnierzu oraz dubeltowy poseł mam aż nadto wiele warunków, aby doznawać traktowania godnego ludzi. Mnie się należało jechać samemu, pierwszą klasą, pociągami pospiesznymi, gdy tłum prowadzi się pod nadzorem i batogiem. Gdybym był o tem pamiętał, byłbym zrozumiał już w Lincu, że dodanie mi eskorty jest ogromnem poniżeniem mojej osoby.

Nie skończyło się więc moje „z pod prawa wyjęcie". Szkoda się łudzić. Jak to mówi Mickiewicz:

Wiadomo, że kto z ruskim carem raz się zwadził,
Ten już z nim na tym świecie nie zgodzi się szczerze
I musi albo bić się, albo gnić w Sybirze.

Austrya Sybiru nie ma, ale ma za to oddanie w rekruty za karę. Zobaczymy, czy pozwolą mi mieszkać prywatnie, do czego jako jednoroczny mam prawo. Praw do uprzywilejowanej służby w charakterze tz. jednorocznego ochotnika nie powinni mi odebrać bez wyroku sądowego. Wyroku zaś żadnego nie wydano. Ale w państwie nieprawdopodobieństw i niemożliwości, jakim jest Austrya, wszystko jest możliwe.

Przyzwyczajony do ciągłego wiatru w oczy szybko zgodziłem się z losem, a kiedy ~~nazajutrz~~ później rozpisywałem na wszystkie strony kartki z widokami Berna, aby dać krewnym i przyjaciołom mój adres, czyniłem to z humorem, wesół, że nie muszę już obok swego nazwiska dodawać wyrazów: „konfiniert in..."

Następnego dnia 21. listopada zgłosiłem się wedle rozkazu o wpół do siódmej rano, to znaczy jeszcze w nocy na Winterhollerplatz. Było naturalnie za wcześnie. Jest to stała metoda wojska

austryackiego zarządzać wszystko przynajmniej o dwie godziny za wcześnie i kazać ludziom czekać. Czekałem więc przeszło godzinę w pustej sali ~~na~~ parterowej, przeznaczonej na pokój ordynacyjny. Zaspani i brudni żołnierze polewali brudniejszą jeszcze podłogę wodą, potem zabrali się do mioteł i wzbili w powietrze kurz taki, że kątów sali nie było widać. Po korytarzu i schodach odbywała się ~~ciągł~~ ciągła bieganina żołnierzy w zbyt wielkich, podkutych butach, to też hałas był znaczny, a krzyk jeszcze większy. Koszary nie są zacisznem ustroniem dla chorych na nerwy. Nagle ponad wszystkie wrzaski rozległ się rozpaczliwy, jakby ostatnim wysiłkiem z piersi dobyty krzyk: „Marode antreten" i przegłuszył wszystko. Po chwili zaczęli do sali napływać żołnierze odarci, brudni – jakiś kapral zaczął ich wyzywać i wykrzykiwać, kazał się ustawić w rząd i po chwili biegania, nieładu, zaglądania do drzwi, zakomenderował: „Habt Acht!" Stojący rzędem obszarpańcy wyciągnęli się jak struny, a we drzwiach stanął posępny, widocznie nie wyspany i zawcześnie wyrwany z pieruatów lekarz nieokreślonego wieku, w mundurze oficerskim. Później dopiero zobaczyłem, że miał rangę chorążego.

Wizyta lekarska ma w austryackiem wojsku osobne znaczenie i charakter. Lekarz wojskowy nie ma obowiązku leczenia, tylko powinien wyszukiwać i oddawać do ukarania tz. markirantów, to jest udających chorobę. Jest więc prawie zawsze gburem, rzadko nadzwyczajnie bada, natomiast zawsze wrzeszczy i często policzkuje. W miarę trwania wojny przeznaczano dyplomowanych lekarzy do szpitali i leczenia oficerów, a u szeregowców zastępowano ich chorążymi tj studentami medycyny bez egzaminów. Chłopcy z drugiego roku medycyny, mający o chorobach takie samo pojęcie jak blacharz, dostawali rangę chorążego i wolność babrania w materyale ludzkim. Sanitaryusz zwyczajny bardzo często lepiej rozumiał się na chorobach niż „fachowiec" to jest chorąży sanitarny.

Ten chorąży przynajmniej każdego zapytał, co mu brakuje. Miał też chorych dawniejszych, których pytał o rozwój choroby. Musiał być przypadkowo dość sumiennym człowiekiem.

Zauważyłem tu poraz pierwszy, a później stwierdziłem tylko to spostrzeżenie, że większość zwyczajnych „narodów" w wojsku austryackiem cierpi na przeróżne wrzody, które lekarze przecinają, wyciskają materyę i każą sanitaryuszom bandażować. Taki operowany musi potem przez pewien czas chodzić codziennie do wizyty lekarskiej, gdzie mu się codziennie zrywa opatrunek z ropiejącej rany i udaremnia przez to wygojenie. Dopiero po tygodniu lub półtora takiej opieki lekarskiej, kiedy mała ranka stała się wielką, obolałą raną, wyrzuca się go z oburzeniem za drzwi jako markieranta i gdy żołnierzysko przestanie chodzić do wizyty, a co za tem idzie, nie zrywa codziennie bandaży, sama natura goi mu ranę.

To zbyt gęste owrzodzenie jest tylko dowodem niechlujstwa, panującego w wojsku.

Oprócz wrzodów często pojawia się puchlina w stawach z powodu wykręcenia członków albo reumatyczna. Na to są znowu wcierania spirytusu kamforowego.

Szybko minęła ta wizyta, zaczęta nieopuszczalną ceremonią odczytywania gorączki wedle wymiarów kaprala sanitarnego. Obnażono pół tuzina łopatek, tuzin rąk i nóg, pan chorąży popatrzył i powiedziawszy sanitaryuszowi: „verbinden" albo „einreiben", szedł dalej. Kilku chorych, skarżących się na ból w piersiach lub w żołądku przeznaczył do pułkowej wizyty lekarskiej, a więc przed doktora dyplomowanego. Potem odszedł, a żołnierze sanitarii nacierali chorym nogi lub owijali ropiejące wrzody.

Z owymi ~~tuzinami~~ poważniej chorymi musiałem i ja wybrać się w drogę, albowiem ze mną miała się odbyć ceremonia tz. „Präsentierung", której może dokonać tylko

patentowany lekarz.

Pod dowództwem feldwebla sanitarnego ruszyliśmy w dwu rzędach w inną stronę miasta. Zaczynał się dzień mroczny, listopadowy. Przyszliśmy do jakiegoś obszarpanego budynku, o zakurzonych od pół wieku oknach i stanęliśmy na korytarzach i schodach, brudnych aż się płakać chciało. Tak przestępując z nogi na nogę, zawiewani przeciągami przy otwieraniu rozmaitych drzwi, przestaliśmy pełne dwie godziny. Słabo mi się robiło do upadnięcia. Wreszcie objawił się lekarz w zielonym, polowym mundurze, człowiek młody, tłustawy o przekrwionej skórze na twarzy, zapewne z powodu hołdowania alkoholowi, o oczach czerwonych i takim wyrazie twarzy, jak gdyby wracając z birbantki, miał był zaledwie czas na umycie się. Wilgotne całkiem włosy świadczyły, że rzeczywiście dopiero co robił tualetę.

„Marodów" było kilkudziesięciu. Rozpoczęło się znowu odwijanie ~~banda~~ rąk i nóg oraz zrywanie bandaży z ran. „Verbinden", „einreiben" rzucał lekarz i szedł od jednego do drugiego. Jednakże u kilku przesłuchiwał piersi i pukał w żołądek. Jednego przeznaczył do „Konstatierung", czyli otworzył mu furtkę do wydostania się z wojska. Zostało nas trzech, przeznaczonych do „Präsentierung". Kazał się nam rozebrać i pytał każdego, czego mu brakuje. „Bruch, Herzenschwäche und Rheumatismus" powiedziałem. Przyłożył ucho do piersi, kazał kaszlnąć i powiedział pisarzowi: „Geeignet – hat das Recht einen Bruchband zu tragen." A więc nie obowiązek, tylko prawo, ~~do~~ pozwolenie na noszenie bandaża. Jak gdyby tylko był to mój kaprys, na który łaskawie się patrzy. W sprawie reumatyzmu polecił mi zgłosić się do wizyty lekarskiej, gdyby mnie boleści schwyciły.

Koniec. Jestem żołnierzem i basta.

Wróciliśmy korowodem na Winterhollerplatz i feldwebel służbowy odesłał mnie do domu z nakazem przyjścia o pół do drugiej po południu.

Znalazłem się więc w kancelaryi o wyznaczonym czasie. Powiedział mi feldwebel, żem przeznaczony do piątego plutonu czyli cugu, którego komendantem jest jednoroczny Ziegler. Cug mieści się w sali frontowej na drugiem piętrze. Poszedłem tam przedstawić się mojemu przełożonemu. Był to młodzieniec lat najwyżej 21., drobny, choć wygimnastykowany, blondyn z dużą czupryną, starannie na bok zaczesaną, znacznym wąsikiem na szczupłej twarzy białej i z dużemi, poważnemi, modremi oczami. Przyjął mnie poważnie, wypytał, czy chciałbym mieszkać prywatnie i pocieszył, że to zarządzenie znaczy tylko na krótki czas, bo w tych dniach wszystkich jednorocznych ma się odkomenderować z kompanii zapasowej do szkoły oficerskiej.

Wkrótce wyszedł, ponieważ nie mieszkał razem ze swoimi żołnierzami, tylko w sąsiednim gabinecie, zwanym „Cadettenzimmer", razem z innymi aspirantami do stanu oficerskiego.

Rozglądnąłem się po sali. Stół, stopień i tablica zostały na świadectwo, że to sala szkolna – ale ławki były tylko dwie i to dla dzieci. Środek sali pusty, czarny jakby od miału węglowego, z półkolistymi śladami porannego skrapiania wodą. Pod ścianami piramidy rozmaitych sienników, po cztery w jednej, sterczących ku środkowi, a o ścianę opartych tylko wezgłowiem. Między piramidami sienników oparte o ścianę niewielkie czarne kuferecziki, z białymi napisami nazwisk

właścicieli. To cały dobytek osobisty żołnierza. Nad ~~gło~~ siennikami dość wysoko drewniane szafki szkolne, a na nich ręczniki, rzemienie, szadka tornistry albo worki na chleb. Wszystko jakieś tak niesympatycznie brudne i zużyte, chociaż widać, że porządku przestrzega się surowo.

Rozejrzałem się między kamratami. Ludzie dojrzali od 36 do 40 roku życia, wielu już siwiejących, a wszystko widać, że chłopi. Każdy trzyma fajkę w zębach i ćmią, aż świata Bożego nie widać. Kto dopadł ławki szkolnej, ten szczęśliwy. Inni siedzą na stopniu lub na swoich kuferkach, a reszta stoi. Ciężko będzie z tem żyć się, ale na szczęście niedługo to potrwa.

Nagle wezwano mnie do kancelaryi. Zbiegłem na dół i Feldwebel wręczył mi kilka koron. Były to pieniądze na zakupno tz. „Sooprietäten". Prócz tego dostałem kartki na chleb i poszedł do magazynu.

Uddałem się tam, ale znowu musiałem długo czekać, bo pan feldwebel magazynowy nie myślał od razu obsłużyć rekruta. Za mną przyszło kilku innych żołnierzy z kartkami od kapitana na pobranie zniszczonych części odzienia lub ubrania. Ja, jako świeżo przybyły, musiałem być wyekwipowany całkowicie.

Feldwebel pytał, a żołnierze magazynowi, stojący przy szafach lub stosach szmat, rzucali mi przeczytane artykuły na stół. „Dwie koszule", dwoje gaci, dwie pary onuc, bluza, spodnie, czapka itd. Przy butach zapytał mnie, czy chcę dostać, odpowiedziałem, że będę chodził we własnych, bom się bał komisnej skóry na moje obolałe nogi. Dostałem więc wytartą, spłowiałą i poplamioną bluzę koloru sinego „feldgrau", oraz płytkie ale niezmiernie długie spodnie, przeświecające biało na kolanach i siedzeniu. Były to najlepsze okazy w tym składzie starego szmaciwa, dane po wyborze z protekcyi. Płaszcz dostałem nowy, już zielonkawego koloru, lekki i prawie przezroczysty. W tym trudno by na mrozie leżeć!

Był to czas, w którym już dawał się uczuć brak materyału na ubrania. To też obok tego, że rekruci zazwyczaj dodzierają stare uniformy, dawano wtedy jednak takie zużyte gałgany, jakich w czasach pokoju nikt by nie wziął do ręki. Moje obydwy były jeszcze towarem doborowym. Czapek musiano w czasie pokoju narobić nieskończoną moc, skoro mimo, że wojna ~~wchodziła w drugi rok~~ trwała już prawie półtora roku, był zapas cały czarnych czapek. Przed wojną bowiem landwera nosiła sine bluzy, a czapki i spodnie czarne. Dobrałem sobie do głowy jakieś czupiradło z mosiężną rozetą i literami F. J. I. Jestem więc nietylko niewolnikiem, ale częścią inwentarza, bo noszę znak właściciela mojej osoby tak jak pies na halsztuku.

Na tem nie koniec. Rozpoczął się „Fassung" uzbrojenia. Gdy żołnierz wtrącił feldweblowi, że tego rekrutom jeszcze nie trzeba, odpowiedział mu władca: „Głupiś! To jest jednoroczny. Odchodzi w tych dniach do szkoły oficerskiej, a tam muszą mieć pełny rynsztunek."

Jakoż dostałem cielęcy tornister, rozdarty zupełnie, z rzemieniami pogiętymi, a bez sprzączek. Na pas dostałem parcianą szlę ze sznurków, bo brak był rzemieni. Stary namiot, trzy kołki i kto tam wyliczy wszystkie te drobiazgi, a wszystko stare, podarte, zepsute, jakoby tuzin nieboszczyków był ich używał aż do śmierci.

Zabrałem mój żołnierski dobytek w płótno namiotowe i przyniosłem do pokoju mego. Co z tem robić? Doświadczeni kamraci poradzili jedne rzeczy rozwiesić na szaragach, ~~inne~~ na inne sprawić kuferek, spakowawszy tymczasem do tornistry.

Ponieważ Ziegler dał mi wolne na popołudnie, więc dopilnowawszy, żeby krawiec kompanijny przyszył mi paski i guziki jako dystynkcye jednorocznego, oraz żeby

spodnie skrócił, wyszedłem na miasto, zobowiązawszy się, iż jutro zgłoszę się o siódmej rano.

W chwilach wolnych od pobytu koszarowego zwiedzałem miasto Berno i szybko się w niem zoryentowałem. Najchętniej przy pięknej pogodzie szedłem na górę Katedralną i na Spielberg. Jadałem w mieście.

Kiedy około dziewiątej wracałem do hotelu, przyjął mnie portyer przestraszony wiadomością, iż z Winterhollerplatz telefonowano, abym bezzwłocznie udał się na noc do koszar, we własnym interesie, jeżeli nie chcę narazić się na przykre następstwa. Zapłaciłem więc hotel, kazałem kufer znieść do magazynu i zatrzymać, póki się po niego nie zgłoszę, sam zaś poszedłem do koszar.

Feldwebel jeszcze nie spał i oświecił mnie, że z Komendy pułkowej przyszedł rozkaz, abym niezwłocznie szedł do koszar, bo mi nie wolno spać na mieście. Stało się. Okręg ograniczeń zacieśnia się i zaciska.

Feldwebel jednak, dobrze dla mnie usposobiony przez Kohnleichtnera, nie chciał mnie wysyłać na noc do mojego „Zugszimmer". Zoczywszy wracającego Kadeta Sachnera poprosił go o przytułek dla mnie w pokoju Kadetów. Trudno przecież takiego żołnierza umieszczać w tłumie, a ostatecznie pobyt mój tutaj niedługo potrwa, bo pójdę niebawem do szkoły oficerskiej.

Sachner zaprowadził mnie do Cadettenzimmer, zaznajomił z kilkoma obecnymi Kadetami i wskazał legowisko. Kadeci mieli po trzy sienniki na ziemi, spali więc dość wysoko i po kilka koców. Zresztą i u nich nie było nic pociągającego.

Na drugi dzień rano to jest 22. listopada obudził mnie ruch na korytarzu, raczej wstałem, skoro moi towarzysze leżeli i udawszy się do mojego cugu, przebrałem się na żołnierza. Cywilne manatki zawinąłem razem z futrem w papier.

Nietylko prawnie, ale i zewnętrznie byłem żołnierzem. Wstydziłem się sam siebie, a że cugsfirer postawił mnie w domu, więc snułem się po koszarach jak błędna owca. Do Kadetów, u których wypiłem kawę, nie śmiałem iść w ubraniu szeregowca. Jeszcze więc poranek nie był całkowicie żołnierski.

Dopiero na obiad stałem się pełnym żołnierzem.

W dziedzińcu koszar stała oszalowana deskami kuchnia o trzech otwartych oknach. Zachodziło się do niej „cugami" i dostawało się w jednem oknie chochlę rosołu, w drugiem jarzynę na wierzch od szalki, w trzeciem kawałek mięsa. Wprawdzie mięso nie było zbyt apetytnie podawane, bo na olbrzymim stole leżały pocięte kawałki, czyli porcye, które kucharz brał w palce i rzucał do szalki. Mimo wszystko obiad ten smakował mi wybornie. Rosół wojakowy, jako zgotowany z wielkich ilości mięsa, jest wyśmienity i żaden rosół restauracyjny mu nie dorówna.

Po obiedzie mycie szalek odbywało się na dziedzińcu pod kurkiem wodociągu. Moja była wprawdzie emaliowana wewnątrz na biało, niemniej tłuszcz ścięty zimną wodą nie chciał się puścić, a zlewany wodą i wycierany zapalczywie zabrał rękę na biało. Trzeba było szmatą czynić prawdziwe czyszczenie.

O drugiej popołudniu rozległ się krzyk: „Alle Einjährige Vergatterung marschbereit!"

Ojej ciężko mi było zaubierać się w te nieznane mi graty, zwłaszcza, gdy rzemienie były porwane lub sprzączek brakowało. Pomagali mi żołnierze inni, wiązaliśmy braki sznurkami i nakoniec jakoś to się dało złożyć.

Ktoby się był spodziewał, że było nas aż 72! Ruszyliśmy parami do Elisabethschule,

gdzie na korytarzu musieliśmy przestać znowu około dwóch godzin, aby się dowie= dzieć, że nasza szkoła znajduje się przy Gomperzgasse, odległej może o półtora Kilo= metra. Popołudniowe słońce jesienne prażyło, tornister naładowany obciążał nienawykłe do dźwigania ramiona i plecy, pas dusił oddech. Ciężka to była podróż.

Nareszcie stanęliśmy znowu w jakiejś szkole, zrazu na dziedzińcu, potem w sali gimnastycznej, zapełnionej ławami i czekaliśmy znowu, zdjąwszy tornistry. Rozglądnąłem się między mojemi nowymi kamratami. Sama młodzież lat dziewiętnastu i dwudziestu. Jeden starszy, wygolony jak biskupek, to Dr Panek, nie wiem jakiej narodowości, bo mówił po niemiecku wprawdzie poprawnie, ale z czeska. Jeżeli nawet uważał się za Niemca, to się Niemcem nie urodził. Znacznie później dowiedziałem się, że to sędzia powiatowy, ale narodowości do dziś dnia nie umiem określić.

Wszyscy inni to przeważnie nauczyciele, kilku studentów uniwersytetu, kilku uczniów seminaryum nauczycielskiego. Już galicyjscy nauczyciele ludowi odznaczają się mocną pewnością siebie, często zarozumiałością. Ale jest to jagnięca skromność wobec buty tych ananasów. Każdy patrzy z góry, jak mógł patrzeć Aleksander lub Cezar w ostatnim roku swego życia: twarze przeciągłe, wzrok poważny pogardą dla innych. Wszystko zapalone duchem wojennym, chęcią ujarzmiania i deptania innych, pewnością zwycięstwa nad światem, oraz ochotą przyczynienia się osobistego do tego zwycięstwa.

Zaczęli śpiewać: Deutschland über Alles, Heil dir im Siegerkranz, Lieb Vaterland musst grösser sein itp. Zaczęło mi być duszno w tem towarzystwie.

Niektórzy zabrali się do wywracania kozłów i wspinania się po przyrządach do ćwiczeń: Mój Boże! Toż w tem towarzystwie wygimnastykowanych młodych chłopców, ja stary reumatyk muszę zostać przedmiotem śmiechu i szyderstwa. Nie pomoże mi Dr Panek, bo choć ma wyżej trzydziestu lat, jest jak widać człowiekiem w pełni sił.

Uczniowie seminaryum przystąpili do mnie, aby się dowiedzieć, com zacz. Profesura przypadła im do smaku, a francuszczyzna lekko zaimponowała. Przebaczyli mi, jak wierzę, moją polskość i zaczęli gadać... o przedmiotach szkolnych, profesorach, ich wymaganiach, egzaminach. Rozmowa, której przedmiot całe życie nienawidziłem. Wnet rozeszła się wieść o moim zawodzie. Widziałem, że u jednych znalazłem łaskę, boć c. k. profesor to jednak coś bardzo austryackiego, czyli niemieckiego – u innych natomiast czytałem dalej lekceważenie dla mojej mniej wartościowej rasy.

Tymczasem kazano nam się ścisnąć w jednym kącie i na salę weszło kilkudziesięciu innych jednorocznych, wracających z ćwiczeń. Krzyk, wrzaski, potrącania: wreszcie jakiś aspirant odczytał im rozkaz dzienny.

Znowu inny oddział przyszedł z jeszcze gorszym hałasem i temu wypłacano lenunk.

Trwała ta cała wieża Babel może do siódmej godziny. Wreszcie zjawił się jakiś feldwebel i rozdał nam druki do wypełnienia, dotyczące urodzin, narodowości, studyów, zawodu itd. Przy rubryce: „Władam językami" zaznaczył ostro, że najpierw musi się wpisać język niemiecki, potem dopiero inne. Między tymi innymi język ojczysty trzeba podkreślić. Ktoby się nie zastosował i porządek zmienił, będzie karany.

Podniósł głowę gad Krzyżacki, siedzący w każdym Niemcu. Po zwycięstwach w Polsce i w Galicyi wydało się Niemcom austryackim, że już z nikim liczyć się nie potrzebują, więc precz z równouprawnieniem narodowości, bo Austrya musi być Krajem niemieckim: Das Deutschtum über Alles.

Byliśmy już u końca bardzo licznych pytań, kiedy wszedł znowu jakiś feldwebel i zawołał:

– Einjährig Freiwilliger Zamorski!

– Hier – odpowiedziałem.

– Nehmen Sie Ihre Rüstung, Alles, Alles, und kommen Sie mit in die Kanzlei.

— Was ist los? wołają inni, zaciekawieni, zdumieni nadzwyczajnym wypadkiem, gdy ja zacząłem pakować manatki.

— Weiss nicht — powiada feldwebel — wahrscheinlich wird er enthoben.

Ja miałbym być uwolnionym od służby? To niemożliwe. Kto Austryę zna, ten wie, że wszystkie cuda są możliwe, ale taki cud nigdy. Może mnie przeniosą do jakiego galicyjskiego pułku? Zobaczymy.

W Kancelaryi już siedział żołnierz służbowo ubrany z papierami w ręce, a feldwebel oświadczył mi, że z Komendy regimentowej przyszedł rozkaz, aby mnie usunąć ze szkoły oficerskiej, a odesłać do mojego „Truppenkörper", to znaczy do Kompanii zapasowej przy Winterhollerplatz.

— Ależ dla czego na Boga!

— Dowie się Pan w swoim oddziele.

Żołnierz ordynansowy wstał, zasalutowaliśmy obaj i wyszliśmy.

Powrót do Truppenkörper nie jest Enthebung, uwolnieniem z wojska. O tem wiedziałem. Ale czy mam być niedopuszczonym zupełnie do szkoły oficerskiej, do której chyba więcej posiadam uprawnień niż wszyscy moi kamraci niedawni razem wzięci, czy też odstawiony do rodzinnego pułku; nad tem łamałem sobie głowę. Całkowite usunięcie ze szkoły wydało mi się o tyle nieprawdopodobnem, że uważałem szkołę jako właściwe ~~prawi~~ prawo jednorocznika. Ponieważ przez żaden dekret nie zostałem pozbawiony praw jednorocznego, nie powinienbym być usuwanym ze szkoły.

W tych wątpliwościach doszliśmy późno bardzo na Winterhollerplatz, gdzie mnie odebrał ów życzliwy feldwebel. Gdy załatwił formalności z owym ordonansem, i odprawił go, zapytałem, co to może znaczyć?

— Pan wiesz, że byłeś konfinowany, więc regiment uznaje, że nie możesz być oficerem. Taka była odpowiedź.

Przeznaczono mnie do pierwszego cugu, który zajmował dwie sale na pierwszem piętrze. Poszedłem zameldować się cugsfirerowi. Był to podoficer komisny, z zawodu parobek, nazwiskiem Fürricht. Wyznaczył mi miejsce w drugim pokoju, gdzie „Zimmerkommandantem" był Kapral również komisny Franz Eder.

Weszedłem tam. Kapral okrągły, rumiany, z niskiem czołem, o oczach wyłupiastych niebieskich i pielęgnowanym blond wąsie, siedział za stołem i pił piwo z dużej szklanki. Przystąpiłem w pełnym rynsztunku, zasalutowałem i rzekłem:

— Herr Korporal! Einjährig Freiwilliger Zamorski meldet gehorsamst ~~seine~~ Einrückung.

Kapral się zdumiał, zaczął wypytywać, gdy wszedł Fürricht i wziął go na bok. Widocznie Fürricht był już uprzedzony, chodziło o poinformowanie Kaprala.

Ja tymczasem rozejrzałem się po pokoju. Świata bożego nie widać od fajczanego dymu. Sienniki w stosach, czarne kuferki między stosami, na środku dwie ławy (szkolne) złączone pulpitami, a w nich kilku fajczarzy przy szklankach piwa.

— Guten Abend Kameraden — zawołałem — mein Name ist Zamorski.

— Guten Abend odpowiedziano.

Zapytałem, gdzie jest miejsce do spania jeszcze nie zajęte, a gdy nikt nie odpowiedział, przypomniałem sobie, że to przecież z Niemcami sprawa z tego najnieuczynniejszego gatunku, więc poszedłem do drzwi i zapytałem, ~~czy to miej~~ czy kto śpi na tem miejscu w przeciągu, a gdy odpowiedziano, że nikt, złożyłem tam swoje rzeczy.

Usiadłem na stosie sienników, rozglądam się: wszyscy piją piwo. Przypomniałem sobie, że od obiadu nie miałem nic w ustach. Trudno! nie będę jadł wieczerzy.
Wtem otwarły się drzwi, weszła młoda dziewczyna z drucianym koszem, pełnym spienionych szklanek piwa i zawołała przeraźliwie czeskim akcentem:
— Winszt jemand ajn pir?
Jeść nie będę, ale piwa spróbuję się napić.
Trzymam więc szklankę w ręce i siedząc na siennikach poczynam dumać: Oto w tym brudzie, natłoku i dymie mam przepędzić może kilka miesięcy pod rozkazami parobków, którzy z pewnością pouczeni z góry będą się pastwić nad bezbronnym i pozbawionym opieki, a odartym z praw.
Nie jestem godzien zostać austryackim oficerem, bo to obniżyłoby godność tego stanu. Tylko bowiem ze względów honorowych nie dopuszcza się niektórych indywiduów do stała oficerskiego. Byłoby dobrze z armią austryacką, gdyby między krociami oficerów znalazło się bodaj dziesięciu, których godność osobista i cześć byłaby tak nieskalaną jak moja. Ale prawda! Inny jest honor ludzki, a inny oficerski.
Jestem zatem starożytnym austryackim sposobem „oddany do wojska”, co Rosyanie tak znakomicie wyrażają przez: „Atkazan w rekruty.” Ta jest tylko różnica, że w Rosyi ta kara spotyka człowieka po oskarżeniu, przeprowadzonej rozprawie, przy której obwiniony może się bronić i po na podstawie wydanego wyroku. W Austryi takich ceregieli nie potrzeba. Oto nie wiem, co mi zarzucają, bo mi zarzutów nie sformułowali, a przecież siedziałem dziewięć miesięcy w więzieniu i trzy w konfinacyi, a teraz zostałem wiecznym gemajną.
I już mnie nie puścili z powrotem do pierwszego plutonu, bo nim dowodzi człowiek intelligentny: obawiano się, aby mi nie okazywał pewnych względów. Oddano mnie parobkom na łaskę i niełaskę — niech się naznęcają bezkarnie nad znienawidzonym przez zazdrość intelligentem i do tego Polakiem.
Bo moją jedyną winą jest to, żem był całym Polakiem. W Austryi wolno pozować na Polaka, używać frazesów patryotycznych dla zamydlenia oczu tłumów, które wierzą, że równouprawnienie narodowości istnieje naprawdę, ale czuć i działać po polsku nie wolno. Stąd wszelkie prześladowanie przeciw mnie, stąd ta tajemniczość śledztwa i podejrzeń, bo rząd nie chce otwarcie przed światem ogłosić: W Austryi nie wolno być Polakiem.
Jest to system rosyjsko-pruski, podlany tylko specyficznie austryacką nikczemnością i tchórzostwem oraz obłudą.
Dobyłem notes i prócz kilku szczegółów zapisałem: „Bogu dzięki! Mam gorączkę.... Może mnie choroba przeniesie w inny świat, gdzie prześladowcy nie będą już mieć mocy.”
Od dymu zaczęły mnie piec oczy, a kapral nakazał spanie. Porozściełano sienniki po zabłoconej podłodze, zostawiając wązkie przejście między stołem a drzwiami na wskróś sali i zaczęto się rozbierać i układać. Dla mnie został przy drzwiach siennik dolny, który nabrał w siebie kurzu ze wszystkich na górę składanych, oraz podarty koc, którego nikt wziąć nie chciał. Z miejsca tego nikt nie miał ochoty zająć, bo od drzwi, nie przylegających do podłogi, był wielki przeciąg.

Modliłem się fizycznie i moralnie rozbity, prosząc Boga o śmierć w nocy.

gdy wtem z dziedzińca ozwały się melancholijne, przeciągłe dźwięki melodyj-nego austryackiego capstrzyka.
Kapral skręcił kurki u rury gazowej i noc nas otoczyła.
Pierwsza noc żołnierza ~~[illegible]~~ za karę.

III. W kompanii zapasowej.

Ciemno było o szóstej rano, gdy z dziedzińca dał się słyszeć głos trąbki, grającej ranną pobudkę. Aha! Tak się żyje według trąby, co przyjaciele nazywali słuchaniem psiej skóry. Gdy jednak nikt się w ciemności nie ruszał, leżałem i ja. Wkrótce otwarły się drzwi, z korytarza chlusnął snop światła i słup zimnego powietrza, a wchodzący żołnierz służbowy tz. Inspektion zawołał donośnie:
– Guten Morgen meine Herren! Tagwach! Auf!!!
A toż co za pozdrowienie poranne! W wojsku tytułuje się panem tylko przełożonych, nie zaś szeregowców. Później dowiedziałem się, że jest to jakiś prastary obyczaj w tem: Guten Morgen meine Herren, że oficerowie zadawali sobie wiele trudu, aby usunąć to powitanie, jako niezgodne z pojęciami dyscypliny, ale obyczaj koszarowy na podobieństwo nawyknień ludowych okazał się mocniejszym i nie dał się wykorzenić. Ani przez zakazy ani przez ośmieszanie. Poranne budzenie jest jedyną chwilą, w której koszary same się rządzą niejako. O tej porze oficerowie śpią gdzieś po swoich mieszkaniach w mieście, feldweble i plutonowi przeciągają się w osobnych pokojach, już to dla zaznaczenia swojej wyższości, czy dla pokazania, że Tagwache do nich się nie odnosi, już też dlatego, że korzystając z wolności chodzenia do 11 godziny po mieście, potrzebują jeszcze wywczasu. Czuwa tylko kapral dyżurny i jego pomocnik Inspektionsgefreiter. A że „kapralem ode dnia” może zostać zwykły Gefreiter, a w polu nawet szeregowiec, inspekcyjnym zaś zazwyczaj bywa szeregowiec, więc czuwa przez noc tylko dwóch z łona żołnierzy samych. Na tę chwilę koszary zostają samorządną republiką i żołnierzyska ten raz jeden tytułują się „panem”, jak w republikach „obywatelem”.
Zapalono gaz, wszyscy prócz kaprala i Gefreitera zerwali się na nogi ubierać się i myć się. W dużym korytarzu były umieszczone szerokie rynny cynkowe z kurkami od wodociągów w równych odstępach. Podstawiało się głowę i kark pod kurek i tak się odbywało mycie poranne. Gdym wracał do sali, już większość sienników była sprzątnięta z podłogi – resztę wleczono, zabierając śmiecie z ziemi i składano w stosy po cztery po pięć, wedle grubości. Na moim sienniku złożono też kilka razem z nazbieranym kurzem. Obejrzałem moją nocną koszulę: była czarna jak od sadzy. Nic dziw, wszak pył z pięciu obcych sienników gromadził się na moim. Ciężko będzie wygrać walkę z brudem.
Kapral wyznaczał codziennie ludzi do zamiatania kolejnego sali. Ci więc, przyniósłszy wody w szalkach, skrapiali podłogę, a kurz wzruszony przez ciąganie sienników, teraz wzbił się w górę i otoczył chmurą palniki gazowe jak mgła otula latarnie miejskie. Szybko rzucane miotły wzbijały tumany. Wkrótce „porządek” przywrócony, okna otworzone. Kto jeszcze butów nie wyczyścił, doczyszczał je na kuferku lub na podłodze, udaremniając pracę zamiataczy. Gdyby nawet wszystek proch był wymieciony, to z butów zostanie go dosyć, aby tego specyfiku nigdy nie zabrakło.
– Kaffee holen! – wołał inspekcyjny zaglądając kolejno do drzwi.
– Vergatterung zum Kaffee! zawołał kapral z pościeli.
Wyszliśmy na korytarz, ustawiając się parami, gdy inne roje już grzmiały kutymi butami po schodach. Szło się na dziedziniec wśród mroku, potykając się na nierównościach i ślizgając się po zamarzłych kałużach. Tam „Korporal vom Tage” pilnował porządku. Przystępowało się do oświetlonego okna kuchni, a kucharz wlewał każdemu choćby prawie półlitrową kawy, zabarwionej

nieco mlekiem na „kapucyna".

Nie wiem, jak się rzecz miała w czasach pokoju. Wówczas nie było już w wojsku kawy oryginalnej, tylko surrogat żytni albo jęczmienny, przyprawiany z cukrem w tzw. Konserwy Kawowe. Ale cykorya była także w tej mieszaninie.

Kawo wojskowa! To jedyny produkt, za którym teraz tęsknię. Słodzona tylko w miarę dała się pić na ciepło i na zimno o każdej porze dnia, przed i po jedzeniu. Wśród marszu zapas kawy zimnej we flaszce polowej gasił pragnienie lepiej niż alkohole, syropy, a znacznie prędzej i skuteczniej niż woda. Lubię kawę ziarnistą prawdziwą. Ale dwie małe szklanki czarnej wystarczą, aby wywołać noc bezsenną, a trzy nieprzyjemne bicie serca w dodatku. Tymczasem wojskową kawę bez kofeiny mogłem pić szklankami i spać dobrze potem. Rano zaś czyniła wrażenie odświeżające, wypędzając resztki senliwości i dając jasność myśli.

O Kawo wojskowa! jakżebym chętnie jeszcze się ciebie napił.

Mleko nie dodawało kawie smaku, tylko pożywności. Z takim napitkiem można było zjeść ćwierć a nawet więcej komiśnego chleba i podgrzać maszynę do przedpołudniowej roboty. Kapralowi przyniósł kawę jeden z żołnierzy. Znowu zjawił się inspekcyjny, wołając:

– Marode antreten!

Wreszcie i sam kapral wstał, pobiegł się umyć, a wróciwszy, podczas ubierania się, wystawiał obute nogi na stopień i kazał sobie buty czyścić. A ponieważ wszyscy żołnierze byli znacznie starsi od niego, więc scena była taka, iż młodzieniec stał jako władca, a szpakowaty, poważny człowiek, ugiąwszy się do jego nóg, czyścił mu obuwie.

Wszystko to działo się szybko, równocześnie.

Nareszcie poczęto wołać:

– Vergatterung!

Żołnierze pozaciągali płaszcze, jeszcze ten guziki zapina, tamten szczotką pociera, ów drugiemu zapina oliwkę pod brodą, tamtemu obojczyk zawadza, a już połowa staje na korytarzu formując się w dwa szeregi wedle wzrostu. Mnie wypadło stanąć w środku. Tamtemu żal jeszcze było włożyć fajkę do kieszeni i puścił ukradkiem ostatni kłębik dymu, a już jakiś kapral przyskoczył i wrzasnął, jakoby chodziło przynajmniej o morderstwo:

– Wissen Sie nicht, dass es verboten ist in der Einteilung zu rauchen!, ale mu przerwał Eder, komenderując:

– Reihen rechts um! Direktion Ausgang – marsch!

Wyszliśmy na dziedziniec, gdzie ustawiały się cugi w dwurzędach jeden za drugim, równolegle. Było dopiero pół do siódmej rano i noc jeszcze kryła wszystko, bo dzień zapowiadał się bez słońca.

Zaczęło się więc znowu czekanie. Czekanie jest w armii austryackiej najważniejszem zajęciem i najwalniejszym środkiem dyscypliny.

Gdy jednak po kilku minutach zaczęli żołnierze przestępować z nogi na nogę i tupać, bo zimno przejmowało od zamarzłej ziemi, trzeba było czemś zająć chwile czekania. Znalazł się już i nasz Zugsführer Fürricht, człowiek chudy, o długiej wąskiej szczęce dolnej, dużym, długim nosie, zapadłych głęboko oczach i sowiem wejrzeniu. Mierny jasny wąs miał ochotę szarzeć.

Ten więc polecił kapralowi: „Doppelreihen einteilen", a Eder zaczął wykrzykiwać: Habt Acht!... Rut; Habt Acht!... Rut. Dopiero powtórzywszy więcej jak pół tuzina razy te komendy, zabrał się do podziału. Idąc od najwyższych, ku najmniejszym, stukał każdego w pierwszym szeregu w pierś, mówiąc: Eins, Zwei: Erstes; Eins, Zwei; Zweites; Eins, Zwei: Drittes itd Rottenpaar.

Podzielono nas w czwórki. Była to dla mnie nowość, bo nigdy musztry nie robiłem. Nikt mi nie powiedział, co i jak robić – trzeba się było mieć na baczności. Dziwna jest u człowieka miłość własna. Oto bałem się najwięcej, żeby na mnie nie wrzeszczano. Wydawało mi się, że gdyby na mnie wrzasnął ktokolwiek, odebrałbym sobie niechybnie życie. Nie przeżyłbym tego, i koniec. A tymczasem w wojsku wszystko polega na wrzaskach. Od starszego żołnierza, który obucza rzeszę rekrutów do pułkownika wszystko wrzeszczy. Ci ludzie nie umieją

mówić, tylko wrzeszczą, zapienieni, wściekli, jakoby do wybuchu rozpaczy doprowadzeni. Jest rzeczą nadzwyczaj rzadką usłyszeć austryacką komendę, której donośność okazywałaby w tonie, że ~~jej~~ celem napięcia głosu jest dać się słyszeć wszystkim. Zazwyczaj komenda brzmi w ten sposób, jakoby komenderujący stracił cierpliwość, wściekł się i wybuchnął wrzaskiem.

To też gdy za przykładem naszego pierwszego plutonu, zaczęto musztrować wszystkie inne, rozległ się dziedziniec potępieńczymi wrzaskami, wobec których zgromadzenie obłąkanych furyatów wydałoby się niewinną zabawą ugrzecznionych dzieci.

Moi kamraci byli w musztrze już od 15 listopada. Wyobrażałem sobie, że musieli znacznie postąpić we wyszkoleniu i że ja będę mącił porządek przez moje nieobycie się. Na szczęście myliłem się. Ogłuszeni, zahukani, sterroryzowani, ogłupiali kręcili się im dalej tem gorzej.

Na piasnym dziedzińcu, gdzie plutony były od siebie oddalone tylko o dwa kroki, nie można było odróżnić komendy własnego cugsfirera od obcego.

Doppelreihen rechts um! Links Front! Kehrt euch! Reihen fallt ab, marschiert auf! brzmiało z różnych stron równocześnie, a żołnierz wszystko robił to, co usłyszał, nie pytając skąd głos pochodzi, bo na to nie było czasu. To też w jednym i tym samym plutonie, ten stawał do ściany twarzą, tamten grzbietem, ów zabiegał poprzednikowi z prawej ręki odtrącany, oglądał się coby zrobić: krzyk, wrzask, nieład. A gdy kto się pomylił, przyskakiwał do niego podoficer, jakoby w konwulsyach: oczy wyszłe z orbit, wąsy najeżone z wściekłości, zęby na wierzchu, jakoby gotów do rozdrapania mięso, piana na rozwartych wargach. I wrzeszczał i tupał i wyzywał.

Że w takiej atmosferze można stracić resztki ~~przywoito~~ przytomności, rzecz łatwo zrozumiała.

Na szczęście dla mnie, nie byłem tak zahukany jak inni i uważałem mocno na siebie przy czynieniu obrotów nieznanych, trochę myśląc nad znaczeniem komendy, a trochę patrząc na drugich. Byli między nami i dawni żołnierze, którzy owe arkana przerobili do znudzenia i ci ratowali sytuacyę przez odpychanie mylących się, lub pociąganie zagapionych za rękaw. Na tych się patrzyłem, czyniąc obroty, których mi nikt nie wyjaśnił, a które po wyjaśnieniu największy tępak mógłby pojąć w pół godziny.

Jest to wojskowa pedagogia: nie wyjaśnić, nie pokazać, a żądać i gniewać się na niezrozumienie. W ten sposób człowiek zmaltretowany, zhańbiony nabiera poszanowania dla starszych, którzy to wszystko wiedzą, a ponadto póty łamie sobie głowę wśród ciągłych poszturkiwań, aż sam sobie utworzy prawidła i zdobytych wśród takich trudności nie zapomni już nigdy.

U nas było tyle ułatwienia, że wszyscy żołnierze byli Niemcami i rozumieli przynajmniej słowa komendy językowo. Co się dopiero musi dziać w pułkach polskich i wogóle nieniemieckich. Tam przy tej pedagogice tz. „Rekrutenausbildung" musi być nie czyśćcem ale piekłem.

Po kwadransie takiej wściekłizny pozwolono ludziom odpocząć stojąc. I o dziwo! Nie posiadający się z wściekłości, gotowi pęknąć od gniewu kaprale i cugsfirerzy zaczęli śmiać się jak ludzie, przekomarzać się między sobą, wyczyniać tz. hece żołnierskie. Z chwilą wypowiedzenia słowa „Ruht" uśmierzyła się burza, ustały gniewy, wyparowała wściekłość. Czy były udane, nieszczere? Nie. To jest pedagogia i dyscyplina wojskowa. W służbie każdy jest przem warczącym, niezadowolonym — ale po służbie człowiekiem.

I było naszem szczęściem, że za ~~instrukt~~ komendantów dano nam starych, wytrawnych zupaków, którzy niejedno pokolenie rekrutów wykształcili. Mieli więc doświadczenie i dużo wyrozumiałości i nie brali poważnie naszej nieudolności. Przy komenderowaniu

przybierali tylko język i ton służbowy i nic więcej.

Wtem zjawił się feldwebel i podał komendantom plutonu rozkaz: Rapport antreten. Cugsfirerzy powtórzyli rozkaz z wściekłością, poczem z plutonów wysuwali się po kilku żołnierze przeznaczeni do raportu. Nowicjuszów pouczali plutonowi, jak mają salutować, co mają mówić, oglądali, czy guziki wszystkie zapięte, czy oliwka pod brodą stoi pionowo, czy czapka pokazuje rozetę na czole.

Tych ustawiono przed nami w jeden rząd. Było jeszcze dosyć bieganiny i przekleństw, zanim rząd wyrównano jakoby wedle sznurka. Potem jeszcze ćwiczenia: Rechts schaut! i Habt Acht! przyczem znowu nie obyło się bez wrzasków i wyzywań, zanim biedacy ~~potem~~ nauczyli się w takt przekrzywiać ~~do~~ głowę na prawo. Feldwebel zaczął chodzić od cugu do cugu i wypytywać, ilu stoi w szeregach, a ilu zostało w koszarach dla służby i dla choroby. Wszystko to spisywał na karteczce wedle dyktanda cugsfirerów i odszedł.

Już dawno minęła siódma, kiedy feldwebel okazał się w drzwiach głównego gmachu i wrzasnął: Kompagnie Habt Acht!

Kłapnęły obcasy o obcasy, ludzie wyciągnęli się jak struna i wszedł za feldweblem kapitan Wondrak, komendant I. zapasowej kompanii tj. naszej. Feldwebel odwrócił się twarzą do przybyłego, zasalutował i zdał meldunek. Kapitan wypytywał się go o coś i jakiś czas trwała pogawędka.

Kapitan Wondrak był człowiekiem trochę więcej niż średniego wzrostu, a w płaszczu wojskowym wyglądał na bardzo barczystego i grubego. Twarz miał rumianą okrągłą, tłustawą, wąsy długie jasne, wypomadowane, oczy w grubych powiekach na wierzchu głowy, szyję bardzo krótką. Wyglądał na zamożnego rzeźnika, który przestał osobiście bić nierogaciznę i wszedłszy do rady miejskiej, przyjmuje gesta patrycjusza, ale i poczciwego ojca.

Po skończeniu rozmowy, feldwebel zakomenderował:

– Rapport Habt Acht! Znowu podkute obcasy stuknęły o siebie.

– Rapport Rechts schaut! Wszystkie głowy w pierwszym rzędzie skręciły się w prawo. I znowu odwrócił się grzbietem do żołnierzy, znowu zasalutował i złożył meldunek o ilości ludzi, stojących przed kapitańskiem obliczem. Kapitan oddał pozdrowienie, a feldwebel odwrócił się twarzą do żołnierzy i zakomenderował znowu: Habt Acht! czyli głowy wprost.

Ludzie stający do raportu byli ugrupowani wedle przedmiotu, który ich przed kapitana sprowadzał. Podział był następujący: Dienst, Meldung, Bitten und Beschwerden, zum Rapport Befohlene.

Kapitan stanął przed pierwszym z szeregu, ten naciągnął się, mechanicznie napiął rękę do daszka, odjął jakby chciał ją precz odrzucić i nim kapitan zdołał pozdrowienie oddać, już recytował:

– Herr Hauptmann, Korporal X. Y. meldet gehorsamst die Übergabe des Dienstes als Korporal vom Tage – ohne Anstand – poczem znowu z tą samą sprężynową szybkością zasalutował. Kapitan znowu pozdrowienie oddał i postąpił przed następnego w szeregu, który wyprawiał to samo igrzysko. Dowcip dowódczy wyszkolenia polegał w tem, że kiedy poprzedni oddawał drugie, jeżeli tak można nazwać pożegnalne pozdrowienie, to następny musiał w tym samym czasie i w tem samem tempie czynić pozdrowienie wstępne, czy powitalne. Kapitan w jednej chwili oddawał oba, bo skończywszy z jednym, przechodził do drugiego, a nie miał czasu na podwójne opędzanie much ze skroni. Tak więc za każdym krokiem kapitana dwie ręce jak na sprężynach podnosiły się w szeregu do czoła, a kapitan równocześnie czynił ten sam ruch jako trzeci.

Szedł więc raport jak na sznurku manekiny: Ten oddawał służbę jako Inspektion, tamten odbierał jako Kapral, ów znowu jako Inspektion. Następni donosili imieniem cugów, że menaż dobra, dalsi znowu: ten że odebrał pieniądze, tamten pakunek itd. Przy prośbach jednak marjonetkowość ustawała. Żołnierzowi, proszącemu o urlop, długo perswadował, że urlopów dawać nie wolno. ~~itp.~~ ~~Wreszcie~~ Kto chciał dostać nowe buty musiał stare na nogach pokazywać itd. Wreszcie przyszła kolej na tych, których podoficerzy przeznaczyli do raportu na karę. Ten był „frech", tamten przyszedł po capstrzyku, ów

nie spełnił natychmiast rozkazu itd. Tak mówili interesowani podoficerzy. „Fünfzehn Tage Kasernarrest,” „Dreissig Tage Kasernarrest”, „Sieben Tage Einzelarrest,” „Drei Tage Verschärften” sypał kapitan i odsalutowawszy, przechodził do następnego.

Uf! To szybko idzie. Ten tatusiowaty pan nie jest jednak miękki w dotknięciu. Ale też i pojęcia o zasadach i sposobach wymierzania sprawiedliwości są w wojsku dyabelnie różne od pojęć cywilnych. Ani jednego z obwinionych nie zapytał, czy oskarżenie prawdziwe i co mógłby przytoczyć na swoją obronę. Obym nigdy nie potrzebował stawać u raportu!

Gdyby nie ta strona karna, byłby raport zostawił tylko komiczne wrażenie. Najzabawniej wyglądało to maszynkowe rzucanie rękami w takt. Co za idyotyczna zabawa. I to starsi ludzie w nią się bawią. Kapitan dochodzi czterdziestki, a żołnierze ani są młodsi.

Być może, że w czasie pokoju taki raport ma jeszcze jakiś sens. Kapitan, jako ojciec kompanii powinien znać wszystkich żołnierzy, bo ma na to czas, więc może znać także wszystkie ich potrzeby, a nawet przyjemności. Ale w wojnie? Komendanci zmieniają się jak w kalejdoskopie, kompanie i cugi nawet rozrywa się i przerzuca do innych pułków – poco te wszystkie ceremonie?

Ach tak! Wojsko wychowywa się dla parady w czasie pokoju, więc i wojna tego systemu nie może zmienić, bo to właściwa racya bytu wojska.

Jeszcze kilka komend feldwebla: Rapport Habt Acht! Rapport rechts schaut! Rapport eintreten a już kapitan odszedł, a za nim feldwebel.

Było już bliżej ósmej, kiedy się ta ceremonia skończyła. Każdy plutonowy zabrał się do swego cugu: Habt Acht! Doppelreihen rechts um! Marschieren Zug – marsch! i po kolei wyprowadzali każdy swoich za bramę. Takie więc było poranne błogosławieństwo i pozdrowienie od ojca kompanijnego i na nie czekaliśmy tak długo.

Wojsko powinno iść przez miasto krokiem paradnym – tymczasem rekruci nie umieli kroku trzymać. Toteż zaraz za bramą Fürricht biegał od początku plutonu do końca i krzyczał: Eins, zwei – eins, zwei. Gdy mu to się znudziło wołał dla odmiany: links, rechts; links rechts. Ale kiedy już zaczął się męczyć, ułatwiał sobie sprawę przez dawanie taktu tylko na lewą nogę: links – links – links. Przy tej okazyi pilnował porządku w szeregach, aby rzędy były równe i żołnierze wzajemnie się kryli: ausrichten, auf decken itd. Żadne, uczące się chodzić dziecko, nie bywa przez mamkę tak starannie pilnowane.

Wychodziliśmy z koszar nie na Winterhollerplatz, tylko przez bramę na tylną ulicę. Nią idąc w lewo powychodziliśmy do placu Winterhollera, a potem w jakąś ulicę w przedmieściu i skręcaliśmy w prawo po bardzo stromej ulicy. Tam trudno już było utrzymać krok, więc tam zazwyczaj wołano: Abgeblasen. Tam też można było w szeregu gadać i palić.

Tego dnia wyszedłszy na wyżynę za miasto, upatrzyliśmy sobie jakieś zaśnieżone pole niedaleko niewykończonego jeszcze szpitala i tam zaczęła się robota. Podzielono nas na oddziałki, pod komendą Fürrichta, kaprala Edera, gefreitra Müllera i instruktora Meyera i uczono nas chodzić, stawać na komendę, obracać się w prawo, w lewo, w tył w skos. Inne cugi poszły gdzieś indziej i zginęły nam z oczu.

Przy tak nudnej robocie ogromnie czas się dłuży. Powtarzanie jednego i tego samego w kółko nuży umysł i życie czyni do znieczulenia trudnem. Do tego teren był dla mnie z gruntu nieodpowiedni. Pole w jesieni zbronowane, teraz zmarznięte i śniegiem niezupełnie zarównane, miało dla nóg same niespodzianki. To bryłka odkrywała gwałtownie rzuconą z rozmachem stopę, to pod śniegiem krył się jakiś dołeczek, w którym noga wykręcała się znienacka, aż w kostkach chrupało. A pod nogi przy marszu patrzeć nie wolno, aby owe pastki odkryć. Moje boksowe buciki przemokły od śniegu na przyszwach, nagniotki rozpęczniały, kostki, kolana i stawy międzypalcowe w stopie bolą.

Około 10 dano nam kwadrans wypoczynku tz. Rast, podczas którego wolno było palić, a potem ta sama młocka na nowo, ale już w całym cugu. Spociłem się jak ruda mysz, zziajałem, serce mi biło. Cieszyłem się, że z czasem choroby te zwiększą się i uwolnią od tej służby. Cieszyłem się nadarmo. Te cierpienia były w sam raz wielkie, aby życie uczynić ciężkiem, ale za małe,

aby mnie rzucić na łoże. Rozwijają się dopiero teraz w niewoli i kto wie, czy nie sprowadzą szybkiego końca.

O jedenastej zeszliśmy z pola, aby wrócić do koszar, naturalnie odbywając drogę przez miasto w sposób paradowy.

Wszystko błoto z deptanego pola i odtajałych ulic zniesiliśmy do sali, aby było co zgniatać. Wkrótce też dano obiad, czyli po wojskowemu menaż, porządkiem zwyczajnym. Smakowała przewybornie. Wogóle jedzenie wojskowe było wówczas smaczne i pożywne, chociaż nieco jednostajne. Na obiad zawsze rosół – co prawda zawsze świetny – z jakąś przyprawką, mięso pieczone i niemałe, oraz jakieś warzywo: kapusta, kiel, ziemniaki, sałata.

Wymęczeni usiedliśmy, gdzie kto mógł. Ja starałem się dostać miejsce w owych drewnianych ławkach na środku. Kapral obiadował za stołem.

Wnet też pojawiły się dziewczęta z pobliskiego szynku, wołając: Wer winscht ajn bir? Zaczem piło się i piwo nawet dwie, czasem trzy szklanki. Ach! jak słodko było usiąść, jak ciężko opadały na ławę obolałe członki i jak trudno było podnieść się celem umycia szalki na podwórzu! Jakże smakował wtedy papieros!

Przerwa obiadowa trwała do pół do drugiej. Potem znowu Vergatterung. Ale po południu nie czekało się na nikogo, więc tylko plutonowi podali feldwablowi ilość wyruszających w pole, a potem każdy brał swoich za miasto osobno i tłukł z nimi marsze i obroty aż do pół do piątej. Wracało się około piątej na dziedziniec i tu zaczynało się czekanie na rozkaz, czyli Befehl. Rozkaz odczytywał zazwyczaj jakiś młody aspirancik przy latarni lub świecy. Ale rzadko działo się to przed szóstą. Panowie ci kazali ciągle na siebie czekać, mimo, że w rozkładzie zajęć było wyraźnie, że zimą rozkaz odczytuje się o piątej.

Po rozkazie wieczerza. Gulasz, flaczki, albo kawa. A potem wolne do dziewiątej. Mimo takiego rozkładu uważałem, że żołnierz naprawdę jest wolny dopiero o siódmej. Winę ponoszą figle szarżów podoficerów. Na wieczerzę jaż do dziewiątej przychodziły owe dziewczęta z szynkowni z piwem, więc potem wyczerpaniu, wymęczeniu, przybiciu i ogłupieniu, piwo smakowało.

Zasiadałem razem z innymi owe ławki – kto się tam nie zmieścił, siadał na kuferku swoim lub na gradusie szkolnym – i zaczynaliśmy pogawędkę, ciągnąc piwo, a paląc tytoń aż do zupełnego zaćmienia sali.

Jak cała prawie kompania tak i pierwszy nasz pluton składał się z górnoaustriackich chłopów w wieku od 36 do 40 lat. Przeważali ludzie, którzy wojska nie widzieli, bo ich w młodym wieku uznano za niezdatnych z powodu pewnych ułomności. Było też kilku takich, którzy odsłużyli niegdyś przepisane lata i odprawiwszy wszystkie ćwiczenia rezerwistów, wyszli z ewidencji wojskowej, osiągnąwszy lat 36. Jeden tylko był nieco młodszy. Powołany, jako rezerwista z początkiem wojny, dostał ranę pod Żurawnikami, a wyleczony w szpitalu, wrócił do kadry, aby potem odejść znowu w pole. Niektórzy z nich, jak np. Alois Bricklinger, byli zaiste siwi i łysi. Huemer miał uschniętą lewą nogę i nie zginał jej w kolanie. Wszyscy ćmili fajki napaniętałe, nawet w nocy mimo surowego zakazu. W nocy też czynili mniej wonne wiatry tem więcej, że dostawali ciągle z domu posyłki chleba i słoniny, której przed menażą i po menaży pałaszowali zdumiewające ilości. Czasami patrząc, pytało się, gdzie się to wszystko w tak niewielkiej chłopinie pomieści? Zresztą ludzie poważni, spokojni, dość milczący, do żadnych figli nieskłonni. Wszystko razem wziąwszy, byłem bardzo zadowolony, żem się dostał w takie towarzystwo. Byli mi stokroć sympatyczniejsi, niż niedawno opuszczeni młodzi koledzy ze szkoły oficerskiej.

Chłop górnoaustriacki uchodzi w innych niemieckich prowincyach za matołkowatego. Już prokonsul rzymski raportował Dyoklecyanowi, jeżeli się nie mylę, że o ludności i jej uposażeniu nie umie nic donieść, oprócz chyba, że płaci porządnie i regularnie podatki. Na podstawie tego, com widział i za pobytu w Bad Hall i potem w wojsku, musiałbym uczynić pewne rozróżnienia. Nie znam górnoaustryackich górali, ale ponieważ wól (Kropf, goître) panuje tam nagminnie, przypuszczam, że plenni się i matołkowatość. Natomiast w pagórkowatej ~~się~~ części jest ten chłop uderzająco ociężały i małomówny, i to zapewne wyrobiło mu ową niepochlebną opinię u innych współrodaków. Przyczyną jest zapewne

zbyt wczesne oddawanie się nałogowi tytoniowemu. Widziałem pochody trzynasto i czternastoletnich chłopiąt, a każdy dzierżył porcelanową fajkę w gębie z wizerunkiem kogoś z panujących w Austryi lub w Niemczech i z rymowanemi zdaniami o znaczeniu niemiecko-moralnem. Dymili też jak lokomotywy. Starszego Górnorakuszanina można chyba tylko w kościele i w urzędzie zobaczyć bez fajki w zębach. Ludność to drobna, przeważnie małego wzrostu, chuda, a raczej wywiędła i zawiła. Pracują mocno i wytrwale, ale z ociężałością. Ruchy mają niezgrabne.

Umysłowo mają świat ciasny, ale prosty. Są dumni z przynależności do szczepu niemieckiego. Postęp sprusaczonej Rzeszy imponuje im i napawa zadowoleniem, że to przecież rodacy. Rząd austryacki nie podoba im się, ponieważ nie umie w monarchii zaprowadzić ładu na wzór pruski i przedewszystkiem jedności narodowej: po dyabła w Austryi tych wszystkich Czechów, Słowieńców, Madziarów itd. Cesarz jest Niemcem, więc i ludność powinna być niemiecka.

Ponadto są nietylko monarchistami, ale najposłuszniejszymi poddanymi. Słuchać chcą i z psychologicznego nałożenia słuchać muszą. Nie lubią też parlamentaryzmu, bo najlepiej jest, gdy jeden rządzi. Ich widok musiał Metternichowi natchnąć określenie: „der beschränkte Untertanenverstand." Są uczciwi, nie kradną, denuncyować nie lubią. Jaką mają religię, trudno oznaczyć. Spałem z czterdziestoma, ale tylko jednego widziałem raz, jak się przed spaniem przeżegnał. Bywalcy natrząsają się z nauk kazalnicowych w sposób ciężki jak zwykle, a prostacy nie gniewają się na to wcale. Myśl ich nigdy do Boga nie ucieka - żyje przy ziemi i na ziemi. Będąc w domu, chodzą do kościoła i do spowiedzi wielkanocnej, bo tak władze każą. Myślę jednak, że gdyby zamknięto kościoły, pogodziliby się z zarządzeniem władzy. I znowu tylko patrząc na taki materyał, można zrozumieć, jak praktyczną była decyzya Lutra: „cuius regio, illius religio." Tutaj monarchowie byli katolikami, więc i ludność pozostała nadal w rejestrach wyznawców katolicyzmu.

Na wszystkie położenia w życiu mają pewne praktyczne maksymy, których słuchając, mogą bez urazy swego sumienia mordować, rabować i niszczyć: władza każe, a ma do tego prawo, Herrschaftsrecht, Kriegsrecht, Siegesrecht, Eroberungsrecht itd.

Jest to zatem najlepszy materyał na żołnierza, żołnierza w pruskiem ujęciu. Spełni każdy rozkaz, powoli ale dokładnie, i będzie na rozkaz pustoszył kraje obce ogniem i mieczem, a zawsze pozostanie spokojnym, rozważnym i we własnem sumieniu czystym. Na rozkaz dopuści się wszelkich okrucieństw, nie rozumiejąc nawet i nie odczuwając ich okropności, ale zrobi to na zimno, bez uniesienia i wybuchu. Dopiero ci, którzy pokończyli niedawno szkoły, wytwarzają w sobie nienawiść do wszystkich obcych, zwłaszcza Słowian i jakiś sadyzm mordowania.

Przyznając władzy (mniejsza o jej pochodzenie) wszystkie prawa, pamięta też o swoich, ale dość platonicznie. Chce mieć, co mu się należy, a więc wystarczającą menaż, nocleg itd. Gdy tego nie dostanie, notuje to w rozmowie z kamratem, jako niewłaściwość, która zdarzać się nie powinna. Ale od takiego ~~znaczenia~~ zaznaczenia do jakiegoś kroku osobistego, czy zbiorowego, aby się o swoje upomnieć - jest przepaść. Między sobą zaznaczają, że tak być nie powinno, ale przełożonemu nie uczynią nawet najposłuszniejszego przedłożenia - nie mówiąc o tem, że zażalenie, albo bunt czy nieposłuszeństwo są po prostu czynami nie do pomyślenia.

Przecież władza ma prawa zwierzchnicze, wyższe od uprawnienia poddanych, więc może popełniać i nadużycia. Nie powinna tego robić, to prawda, ale ostatecznie gdy tak jej się podoba, to ma do tego i moc i prawo.

Z tego psychologicznego podłoża widać, że jest to materyał na żołnierza najznakomitszy i że cała armia, złożona tylko z takich żołnierzy, mogłaby monarsze zapewnić panowanie nad całym światem.

Nie dziw, że było mi dosyć ciężko z nimi rozmawiać. Nie przez trudności językowe, ale psychologiczne.

Język górnoaustski jest mocno odmienny od literackiego. Wymawia go się tak, jakgdyby usta miały początek paraliżu i nie mogły dokładnie wyartykułować dźwięków. Różnicy między b, p; d, t; z, s; nie ma wcale. Co wyrabiają z dźwiękiem r, trudno opisać. W jednem miejscu wymawiają go z żydowska przez gardło, w drugiem zaznaczają przez dźwięk podobny do h, w innem, np. w końcówce -er zlewają z poprzednią samogłoską w a (Muta = Mutter). A pod akcentem przechodzi w o, zaś o w u. N na końcu opuszczają, a natomiast dodają w żeńskich rzeczownikach na e zakończonych. Ulica zowie się sztrosen (Strasse). Imiesłowy nie ~~dostają~~ zwykle przybranki ge na początku: „ea is kuma" znaczy: er ist gekommen. Siostra zowie się „szwista" itd. Najcharakterystycz.~~niejscem~~ znamieniem jest skracanie niektórych przysłówków: w górę = aufi (hin=herauf), w dół = obi (hin=herab) na zewnątrz = ausi (hin=heraus); do środka = ajni (hin=herein) itd. „Szau das tu inen sztol kimst wo tu ajnikhöhst" znaczy: Schau, dass du in den Stall kommst, wo hinein du gehörst, a odpowiada komendzie: Wracaj na własne miejsce w szeregu.

Nie umiem tym dyalektem mówić, ale w Bad Hall wsłuchałem się w niego tak dobrze, iż go prawie kompletnie rozumiem. Oni zaś rozumieli mój polsko-literacką niemczyznę dlatego, że z książki tak się czyta i ksiądz z ambony przeważnie tak mówi. Poza amboną, czyli poza krasomówstwem, ksiądz mówi już dyalektem i nauczyciel uczy w szkole dyalektem, chociaż drukowane każe czytać z literacka. Możnaby powiedzieć, że za wyjątkiem rzeczy drukowanych język niemiecki nie istnieje, chyba na pograniczu słowiańskiem. Tam bowiem ludność mówi językiem prawie literackim. Natomiast istnieje kilka odrębnych języków niemieckich, mających swoje dyalekty. Język południowo niemiecki, obejmujący kraje alpejskie różni się od północno zachodniego (Hamburg, Hannover, Schleswig) więcej niż język polski od ruskiego.

Gawędziliśmy więc powoli i z przerwami – oni dla przyzwyczajenia, ja dla bólu w kościach. Między nimi rychło wyróżniłem dwóch, z którymi przecież lepiej dało się pogadać. Jeden Franz Plöderl, człowiek wysoki, barczysty, o krótkiej grubej szyi, na której spoczywała szeroka biała twarz, okolona brodą ciemną, z nosem orlim i oczyma, wyglądającemi prosto z pod mnóstwa zmarszczek, uderzających w tym wieku. Czoło wysokie było nieco stożkowate i przechodziło w dużą, białą łysinę. Miał Plöderl początek wola czyli tz. Blähhals i dlatego trzymał głowę ~~narzuconą~~ odrzuconą w tył, patrząc zawsze w górę. Gdy miał ochotę popatrzeć wprost, nie zginał szyi, lecz tułów.

Był z zawodu starszym robotnikiem w fabryce tytoniu w Linzu i trudnił się ruchem robotniczym: należał do przywódców grupy chrześcijańsko społecznej, prenumerował „Reichspost" i o socyalistach mówił tylko żargonem obelżywym, przyjętym przez tę gazetę. Dowiedziawszy się, że jestem prezesem stronnictwa chrześcijańsko ludowego, uznał je za polską odmianę christlich-sozial i przylgnął do mnie. Można z nim było pogadać o polityce, o ruchu robotniczym, był przedmiot i był człowiek, który ten przedmiot rozumiał.

Wnet też przyłączył się do mnie Julius Hitzmüller, drobny człowiek, o koziej brodzie, bo na bokach twarzy włosy nie chciały mu rosnąć – z zawodu brat kucharz w kapucyńskim klasztorze Knittelfeld, noszący zakonne imię Frater Prosper. Ten był wyjątkiem w naszej gromadzie, bo nie palił, tylko zażywał tabakę. Jego wzięcie się i rozmowy o patrach

były mi bardzo sympatyczne, bo przypominały mi przez daleki refleks naszych Bernardynów ze Zbaraża i Kapucynów z Sędziszowa, między którymi wielu mam przyjaciół. Szkoda, że oprócz swojej biegłości w sporządzaniu obiadów, o sposobnościach, przy których potrzebne były takie nadzwyczajne obiady i o uwagach ojców, gwardyana, a czasem jakiegoś cywilnego gościa na temat tych obiadów, nie umiał o czem innem gadać. Polityka nic go nie obchodziła w przeciwieństwie do Plöderla.

Z innych kamratów ~~stan~~ dawny żołnierz opowiadał o bitwach w sposób nudny i nieobrazowy jak zwykle opowiadania żołnierzy uczestników, a reszta milczała.

W tem towarzystwie i wśród takich zajęć przepędziłem kilka tygodni, można powiedzieć, w odrętwieniu. Fizyczny wysiłek był zbyt mocny na moje nieprzywykłe do trudów kości i mięśnie, tak że po dniu ćwiczeń opadałem wieczorem na ławę bez woli, obolały i bez myśli. Jednakże sen pokrzepiał moje ciało o tyle, że nazajutrz mogłem znowu podołać trudom, aby na wieczór wrócić przytępiony na umyśle, bez myśli, bez uczuć, prócz uczucia bólu zwłaszcza w nogach. To też nie myślałem ani o rodzinie, którą pozostawiłem w niepewnem położeniu, ani o sprawie narodowej, ani o rozgrywających się wypadkach. Było mi to wszystko obojętne, czy obce, czy dalekie: bliskim był tylko ból w kościach i mięśniach.

W życiu koszarowem odmiany bywały bardzo nieznaczne. Zaczęliśmy przed południem chodzić na główny plac ćwiczeń, odległy może półtora kilometra od miasta, po obrzydliwej drodze polnej, przepaściście błotnej w czasie odwilży, a wyboistej i śliskiej podczas mrozu. Te ćwiczenia były z wielu względów przyjemniejsze. Droga tam i na powrót była dłuższa, mniej więc czasu zostawało na tłuczenie jednego i tego samego. Przy drodze w czas pogodny stały gdzieniegdzie dzieci, ofiarujące papierosy lub czekoladę na sprzedaż. Wydawało mi się jednak zdzierstwem, gdy żądały 16 hal za żeberko czekolady, a w dziesięć miesięcy później chętnie płaciłem po 70 i 80 hal. za to samo.

Na placu ćwiczeń również urozmaicenie. W czasie przerwy, zwanej Rast, pojawiały się kobiety z pobliskich wsi, sprzedając ciepłe kiełbaski, biszkopty, zakazany rum i tz. herbatę. W Austryi po roku wojny zabrakło herbaty oryginalnej, a jako herbatę sprzedawano preparowane listki ostrężyn i poziomek. Odwar z tych ziółek zawierał nieco garbnika i ściągał podniebienie – wszelako ocukrzony i zaprawiony rumem dawał się pić, rozszerzając przyjemne ciepło po członkach.

Wkrótce przypytał się do nas Kadet Fruwirth, nasz Komendant. Chłopiec najwyżej 19letni, smukły i rosły, o białej twarzyczce panieńskiej, z czarnym wąsem pod nosem i czarnymi włosami. Przymrużone oczy krył cwikierem. Ubierał się elegancko, ale po polowemu, a więc zielony mundur, zielona czapka szeregowca tylko z żółtoczarną rozetą i zielone owijacze na długich nogach.

Czynił wrażenie człowieka, który niespodzianie dostał się na nadzwyczaj szczytne i niebosiężne stanowisko, więc miewa chwile, gdzie się niedobrze na niem czuje. Wnet jednak przypomina sobie, iż takiej skromności nie trzeba pokazywać na zewnątrz i aby się okazać godnym władcą, nadrabiał grubiaństwem. Trochę dzieciak, trochę głupiec, jeszcze nie przepojony do cna pychą zarozumialec: w sam raz materyał na austryackiego oficera. Przychodził do nas i po południu, gdyśmy ćwiczyli tuż pod miastem na pierwszem lepszem polu. Trzymały się go wspomnienia dzieciaków szkolnych i chętnie urządzał po ćwiczeniach zabawy na polu jak „Kotka i myszkę", albo obrzucanie się piłkami śniegowemi. A zapominał o tem, że ci starsi ludzie, po odbyciu musztry uznaliby za najlepszą rozrywkę siedzenie w koszarach i leżenie na sienniku. Trudno jednak! Jego to bawiło, więc musiało bawić i podwładnych.

Ja w tych zabawach nie brałem udziału z odrazy, ale musiałem wymawiać się słabością nóg. Te studenckie rozrywki, nakazywane ludziom prawie ułomnym, którzy zostawili żony i dzieci na niepewność losu, aby iść po śmierć i kalectwo w wieku już mocno dojrzałym, wydały mi się niesmacznym szyderstwem z uczuć ludzkich. Nie mogłem brać w nich udziału. Pan Kadet

przyjmował moje wymówki do wiadomości, ale miał mnie na oku. Zresztą, jak się później dowiedziałem, miał z góry poruczony ostry nadzór nad moją nielojalną osobą.

Od 23 listopada sypał śnieg, a od 27. chwyciły mrozy i zima była przez pewien czas ostra. W tym okresie powinienem byłem zachorować, a nie udało mi się. Ja, który nigdyś nie mogłem stąpić bosą nogą na podłogę, aby nie dostać kilkumiesięcznego kataru, byłem pewny, że się zaziębię. Podczas ćwiczeń pociłem się, aż się lało, a gdy było wytchnienie, mroźny wiatr przewiewał mnie na wylot. I co to znaczy życie na powietrzu oraz fizyczne ~~ciał~~ ćwiczenia: nawet nie kichałem! Przemoczone nogi pęczniały, swędziły, dolegały, ale nie przynosiły zaziębienia.

Dnia 24. listopada zawołał na błoniach kapitan Wondrak całą kompanię, ażeby powiedzieć mowę, której treść była następująca: Jesteście ludźmi starszymi, którzy wedle praw powinni już być wolnymi od wojska. Jeżeli was jednak wbrew ustawom, które były w mocy przed wojną, powołano pod broń, to dlatego, że ojczyzna jest w ostatniem niebezpieczeństwie. Za mało już jest ludzi w wieku wojskowym, więc trzeba było sięgnąć po pospolite ruszenie i wezwać do obrony granic tych, których spokojne życie powinno by być przez młodszych i zdatniejszych bronione. A wojna skończyć się nie chce – przeciwnie chce się rozszerzyć, bo jak widać ze wszystkiego Rumunia zamierza przyłączyć się do naszych nieprzyjaciół i wydać nam wojnę. W tej ostatniej potrzebie zwrócono się do was: brońcie tej ziemi, która was tak długo żywiła. Wiemy, żeście starsi, wiemy, żeście przeważnie do służby koszarowej niezdatni – toteż nie myślimy z was robić żołnierzyków od parady, tylko przygotować was do służby polowej. W tej ostatniej potrzebie musimy brać coraz więcej ludzi, aby luki zapełniać. Dlatego też nowe rozporządzenia skracają czas wyszkolenia powołanych z sześciu tygodni na cztery, a potem czas służby w marsz-batalionie z tygodni czterech na trzy. W ten sposób po siedmiu tygodniach od wstąpienia do służby żołnierz powinien znaleźć się na froncie.

Dodał do tego nieco sosu austryacko patryotycznego i zapewnienie, że mocarstwa centralne jednak się nie dadzą pobić.

Mowa ta, za wyjątkiem obowiązkowych frazesów patryotycznych, oraz zapewnień, że niewinne mocarstwa centralne wojny nie chciały, lecz zostały napadnięte, zrobiła na mnie bardzo dobre wrażenie. Nie widziałem celu w naszych ćwiczeniach paradowych. Bo cóżeśmy dotąd robili? Piękne marsze, zachodzenia w prostej linii, obroty podług tempa, wybijanie kroków, aż ziemia stęka – a wszystko do taktu, razem i sprawnie, aby dać obraz maryonetek. Kadet Fruwirth nie był jednak z tego zadowolony i za każdym razem wołał: „besser!, besser!" a potem wyzywał nas od „Tachenierer" i groził, że będzie nas „czechen" (są to linckie brukowe wyrażenia; szykanowanie nazywa się tam „Tschodi" czy „Czoch").

Natomiast nie słyszeliśmy słowa o szyku bojowym, nie mieliśmy karabinu w ręce. Po tej przemowie kapitana pewnie i kadet zwróci uwagę na rzeczy najistotniejsze.

Jakoż tak się stało – to jest stało się po wojskowemu. Zaraz po południu wywiedziono nas w pole i kazano robić gimnastykę, czyli Gelenksübungen. Gdy Rumunowie dowiedzą się, jak pięknie robimy „Knie tief beugen", przestraszą się i wojny nie wypowiedzą – Włosi zaś uciekną przed postawą: „Hüften fest."

Wogóle jeżeli celem wojska jest wojna, a nie parada ku zadowoleniu jenerałów lub broń Boże członków Najdostojniejszej Dynastyi, to wręcz odwrotniejszego systemu nad austryacki niema.

Prawda! Nie było wtedy w Austryi karabinów. Dla pełniących służbę w głębi kraju wydobyto z magazynów stare modele Werndla i jeszcze starsze, a rekrutom nie pokazywano nawet strzelby. Swoją drogą nie żaliłem się na to, bo nie miałem nic do czyszczenia. A starego, zardzewiałego żelaziwa i cudotwórca nie zdoła ~~doszczyścić się~~ doczyścić się. Niemniej z punktu widzenia celowości widziałem we wszystkich zwyczajach i urządzeniach wojskowych tylko stek niedorzeczności. Jeden Mikołaj I. miał odwagę przyznać się do tego, gdy

powiedział: Je n'aime pas la guerre, elle me gâte l'armée. Armia jest zabawką dla panującego jak football dla szkolarzy.
Kompania zapasowa dostała nareszcie dwadzieścia kilka karabinów, wszystkich modeli, w tem nawet kilka rosyjskich, do których drutami około lufy, a gwoździami w kolbę przybito parciane szelki zamiast rzemienia. Karabiny te chodziły co pół dnia do innego cugu w ten sposób, że przyzbiórce przed wyruszeniem cug wyznaczony odbierał je od tych, którzy ich dotychczas używali. Na polu zaś pluton dzielono na oddziały, bo ludzi było trzy razy więcej niż broni. W ten sposób za cały czas pobytu w zapasówce miałem karabin w ręce pięć razy, a za każdym razem nie dłużej niż pół godziny. A uczono nas znowu tylko ruchów paradowych: Übungen mit dem Gewehre - Stellung - fertig, Hoch - an; setzt - ab; in die Balance; beim Fuss; Schultert; Rzemienie miały równocześnie chlastać, kolby jak jeden cios w ziemię uderzać, ręce równocześnie i równolegle poruszać się: cały oddział miał się kręcić jak na jednej sprężynie. Zapewne Serbowie, ujrzawszy sprawność austryackiego „Schultert" rzucą broń i zdadzą się na łaskę i niełaskę.
Prawda! Raz byliśmy na strzelnicy, a wypadło to w ohydne błoto. Pamiętam ten dzień 6 grudnia, bo naprzód była to nowość i urozmaicenie, a ponadto, dopóki mnie nogi nie rozbolały na dobre, bawiłem się wyśmienicie podczas marszu, patrząc na kadeta Fruwirtha. Prowadził całą kompanię i ten zaszczyt zapewne pierwszy raz w życiu spadły na niego, uderzył mu do głowy. Szedł przynajmniej jakie 20 kroków przed pierwszym szeregiem z dobytą szablą i przerabiał ramionami, pośladkami i łydkami jak koń razowy, a oglądał się na chodniki w mieście nietylko, aby dojrzawszy oficera zakomenderować „Ehrenbezeigung", ale aby być widzianym od cywilów. Dowódca kompanii: co za honor, co za cześć!
Mierzyć umiem nieźle, ale broń trzeba wypróbować, a tego w wojsku nie uczą. Niemniej dałem najwięcej celnych strzałów i na krótką chwilę zyskałem pewnego rodzaju uznanie między rzezańcami.
Nareszcie przyszła pierwsza niedziela 28 listopada. Zapewne z litości nad starymi kazano nam zostać w koszarach rano, a Fürricht wykładał o zachowaniu się w polu, o ubezpieczonym pochodzie, o przednich, bocznych i tylnych strażach, o czatach polowych itd. Było to więcej interesujące niż gwergryfy, a że po obiedzie zaraz był rozkaz i po nim wolne wyjście na miasto, więc ten dzień wydał się tak cudownie przyjemnym, tak boskim, iż dusza się radowała.
W międzyczasie odkryłem przecież w kompanii jednego Polaka i to o cudo! we własnym plutonie. Był to student seminaryum nauczycielskiego z Sokala nazwiskiem Maly. Dlaczego się tak po czesku pisał, nie wiem. Wymawiano go: Mali. Miał może 22 lat, cichy, spokojny i skromny. Oczekiwał urlopu dla zrobienia wojskowej matury, aby uzyskać wstęp do szkoły oficerskiej. Służył był pierwej w jakimś galicyjskim pułku, a przy rozbiciu jego dostał się przypadkowo do wiedeńskiego regimentu. Był wyćwiczony w obrotach i „gryfach" i odrabiał je doskonale, a bez natężenia, jak manekin.
Rozumie się, że przypiąłem się do niego jak pijawka, a chociaż mieszkał w sąsiednim pokoju, staraliśmy się być najczęściej razem. A choć nam dobrze było z sobą, rzadko rozmawialiśmy z sobą o położeniu narodowem, bo wtenczas niebezpiecznie było nietylko mówić ale i myśleć w skrytości duszy nielojalnie. Ja zaś, pamiętając o mojem wyjątkowem położeniu, nie chciałem i sam rozpuszczać języka i drugiego na śmiałe słowa wyciągać. Ujrzawszy bezkarność śmiałego powiedzenia wobec mnie, mógł był przez zapomnienie się powtórzyć to samo przed jakim denuncyantem. Tak wielki postrach szerzył śworzny system rządowy.

Z Małym wychodziliśmy w niedzielę na miasto: do kawiarni, na przechadzkę i na smięsną kolację w Pilsnerhofie. Zauważyliśmy rychło, że w Bernie Niemcy, jako klasa panująca, zabrali na swoją wyłączną promenadę ulicę Elżbiety, przez plac Franciszka Józefa do Kolei, a Czesi, ażeby swoje istnienie w Bernie zaznaczyć, odbywali niedzielny „bummel" w ulicy równoległej do ulicy Elżbiety. A chociaż po czesku wówczas prawie nic nie rozumiałem, przyjemnie mi było kręcić się między Czechami za to, że po niemiecku nie mówili. Mimo szubienic, które zwłaszcza wobec Czechów stosowane były na ślepo, naród ten nie tracił fantazyi, nie opuszczał nosa po sobie, lecz owszem twardo zaznaczał swoje istnienie i jego usprawiedliwienie. Mimo surowych kar tapetowano okna wystawowe trzykolorowymi papierami, a korrespondentki z krajami Korony św. Wacława (Czechy Morawa i Śląsk – oby popuchli! –) chodziły z rąk do rąk.

Ale już w najbliższą niedzielę pozazdroszczono nam tak długiej swobody. Rozkaz odłożono aż do trzeciej po południu, a jako zajęcie między obiadem a rozkazem dano tz. Salutierübungen! Rozpuszczono plutony w pojedynkę i objęto nimi pewne przestrzenie dziedzińca jak obwodem koła, rozstawiono w pewnych odstępach rozmaitych szarżów, przed którymi należało dla ćwiczenia oddawać ukłon wojskowy i puszczono te koła w ruch. Chodziliśmy więc przez półtorej godziny jak konie w kieracie, a co się który zbliżał ku szupakowi, naprężał się, nogi wyciągał niby tabetyk i na trzy kroki przed ową ważną osobą, skręcał ku niej głowę tak nagłym ruchem, jakby go od przeciwnej strony gąk ukąsił, lewą rękę opuszczał prosto w dół jak kawał nieruchomego drewna, prawą zaś wysuwał od łokcia naprzód niby dzidę sztywną, potem z tą samą sztywnością podnosił do daszka czapki, patrzył przełożonemu przez chwilę w oczy ~~jak gdy~~ siedzący[illegible], jakgdyby zamierzał go przebić, aż minąwszy go, odwracał błyskawicznym ruchem wprost przed siebie głowę razem z dłonią przy daszku, następnie odrywał rękę od czapki gestem szalonym i przechodził w chód zwykły, zanim zbliżanie się ku potentatowi innemu kazało mu z tą samą ścisłością powtórzyć owe zaklęte znaki.

O! Salutierübungen! Wy jesteście znamieniem wojska austryackiego i prawdziwym znakiem niewoli militarystycznej. Nietylko w pokoju, ale i w wojnie kładzie się na was nacisk najwyższy, jakobyście były najważniejszą racyą bytu wojska i żołnierza. Teraz w niewoli włoscy oficerowie nadziwić się nie mogli, że podobna z człowieka wykrzesać takiego pajaca. A w armii austryackiej zajmowano temi ćwiczeniami każdą wolną chwilę żołnierza, w kadrze, w etapach, w rezerwie, nawet w okopach i na czacie polowej (Feldwache) przed okopami w obliczu nieprzyjaciela. Oficer austryacki niczego nie zna u żołnierza, oprócz obowiązku do „Ehrenbezeigung." Pomiczeni żołnierza nie ocenia tylko po staranności w salutowaniu i w wybijaniu nogami podczas defilady. „Ehrenbezeigung" jest alfą i omegą umiejętności wtłaczanych podczas tz. „szkoły" tak w koszarach jak w polu.

Pamiętam, gdy ~~[illegible]~~ w sam dzień przebrania się za żołnierza miałem pierwszy raz wysłuchać rozkazu. Coto może być? Teraz podczas wojny, która już wygubiła zdatną do broni młodzież, co można żołnierzom ćwiczonym do pola ogłaszać publicznie! Może biuletyny z wypadków na froncie, może jakieś porywające odezwy, co budzą zapał i przymus wojskowy otaczają takim nimbem, że się potem z ochotą i ogniem robi to, do czego człowieka zmuszono! Gdzietam! Z polecenia Komendanta placu J. E. Löschmanna poleca pułkownik we wszystkich rozkazach ogłosić same słowa Ekscellencyi: „Zauważyłem, że żołnierze, a zwłaszcza ranni i ci którzy wrócili z pola, oddają ukłon wojskowy od niechcenia, niedbale, bez przyjęcia należytej postawy, a nawet starają się wcale go nie oddać. Polecam komendantom pułków i batalionów, aby nakarali surowe przestrzeganie regulaminowego salutowania, a winnych niedbalstwa żołnierzy poddawali surowej karze" itd. Pułkownik od siebie grozi, że będzie karał, a komendant kompanii dodaje jeszcze nowe zagrożenia.

Więc podczas wojny światowej, w której wyginęło już prawie całe wojsko aktywne, w której ćwierć monarchii była już w ręku nieprzyjaciela, Jego Ekscellencya nie ma innej boleści, troski, nauki do udzielenia żołnierzom nadto, że mają „strammu" salutować i mieć guziki pozapinane u płaszcza, gdy wychodzą na miasto?

Za cały czas służby wojskowej żyłem ciągle w tej atmosferze, jakoby wedle organizacyi armii oficerowie byli bogami, a żołnierze istnieli wyłącznie poto, żeby miał kto bogom cześć oddawać i,... co prawda, przed nimi drżeć ze strachu. Wojna jest tylko przykrem, ale chwilowem zamąceniem tego stanu rzeczy.

Moi kamraci nie suszyli sobie wówczas głowy nad tem, jak się wojna skończyć może. Władze powiadają, że zwyciężymy, to z pewnością tak być musi i koniec. A po zwycięstwie rządy już będą wiedziały co zrobić, my zaś wrócimy do domu, o ile będziemy przy życiu i to drugi koniec. Jeden Plöderl okazywał ciekawość, co się stanie i jak to może się skończyć. Natomiast jeden stroiciel instrumentów z innego plutonu powiedział mi raz: „My (to jest Austrya) i Niemcy zwyciężymy wszystkich, ale nas zwycięży głód i na koniec pobitymi musimy być my!" Jak na lojalnego Niemca wydało mi się to proroctwo trochę mocnem, ale śmiałem się w duszy, że austryaccy mężowie stanu, zaczarowani wiarą w niezwyciężoność Prus, nie mieli tyle rozsądku, co pół intelligentny zarobnik i rekrut pospolity.

Raz, gdyśmy wrócili z placu musztry, jeszcze przed obiadem rozwarły się gwałtownie drzwi, wpadł Kapral Eder i wrzasnął:

-Habt Acht!

Powyciągało się wszystko jak struny i wszedł sam pan Kadet Fruwirth, a kazawszy spocząć zarządził, aby otwarto kuferki i pokazano zawartość, bo przeprowadza rewizyę. Ja byłem tuż przy drzwiach, a miałem dwie duże walizki, więc jako pierwszy musiałem je otworzyć i wyjmować starannie bieliznę tak czystą jak brudną, oraz necesser toaletowy aż ukazałem dna w obydwóch. Potem kadet zaglądnął powierzchownie innym na wyrywki do kuferków i odszedł.

Nie przywiązywałem do tej rewizyi żadnego znaczenia, bo byłem już przyzwyczajony do różnych wojskowych niedorzeczności. Mój Boże! Toż chodziłem już był kilkakrotnie razem z innymi do tz. „Schwanzwizyty", chociaż jednoroczni są regulaminowo od niej wolni, a tacy starzy ludzie jak moi towarzysze, naprawdę takie już jej nie potrzebowali.

Dopiero po wyjściu z Kompanii zapasowej dowiedziałem się, że ta wizyta była nakazana z Komendy wyłącznie dla mnie. Spodziewano się znaleźć u mnie jakieś druki, odezwy lub broszury nielojalne. Nie umiem zgadnąć, co chciano uzyskać przez ewentualne wyłowienie czegoś zakazanego u mnie. Czy chciano przeszkodzić, abym przy pomocy polskich odezw nie zbuntował niemieckich chłopów i nie przeciągnął ich do obozu wszechpolskiego – czyteż chciano przecież coś znaleźć, aby mieć pozór do odebrania mi życia?

Pierwsze przypuszczenie wygląda na głupią złośliwość, ale kto zna armię austryacką nie powie, że jest niemożliwe.

Ale nie wykluczone jest i drugie przypuszczenie. Kto na mnie dybał z taką złośliwością, nie wiem do dzisia. Auditor powiedział mi, że denuncyację na mnie wnieśli imieniem tz. Naczelnego Komitetu Narodowego pp Dr. Władysław Leopold Jaworski i Ignacy Daszyński. Dowodu na to nie mam. Nie ceniłem nigdy wysoko ich wartości moralnej, ale do dzisia ciężko mi z całą stanowczością twierdzić, że oni rzeczywiście tę podłość popełnili. Że mnie nie lubili, mieli słuszność, bom ich siekł niegdyś okropnie, a tem boleśniej, iż zasłużenie. Ale gdyby nawet przypuścić, że byli zdolni do takiej nikczemności, to już powinniby byli włożyć mi w usta jakiekolwiek słowa

wedle austryackich pojęć karygodne i stwierdzić je przysięgą. Byłaby w nikczemności wielkość zbrodni przynajmniej. A tak stawiono mnie przed sąd doraźny, potem trzymano w kozie przez dziewięć miesięcy, potem oddano w rekruty, odebrawszy milczkiem wszelkie prawa – a ja dotąd żyję. Popełniliby więc nikczemność tem głupszą, że daremną.

Mdziałem, iż rozkaz mego aresztowania wyszedł z naczelnej Komendy armii, a był podpisany przez zastępcę szefa sztabu generalnego jenerał porucznika von Höfera.

Nie jest więc wykluczone, że arcyksiążę Fryderyk, germanizator Śląska cieszyńskiego, zawziął się na mnie, ponieważ pracowałem nad tem, aby Polacy Ślązacy podnieśli głowę. Możliwe, że arcyksiążę Karol Stefan podszczuł marszałka polnego, bo miał do mnie urazę, iż śmiałem przeciw niemu i przeciw jego kandydatowi wejść do Sejmu jako poseł właśnie powiatu żywieckiego, w którym jego zarządowi dóbr wyrządzałem liczne trudności. Osobiście też znalazłem się u niego nie jako dworak, ale jako człowiek równy człowiekowi, co go wprowadzało wprost w osłupienie.

Może więc szachercy szukali sposobu na ukręcenie mi karku i biedacy znaleźć nie mogli.

W każdym razie ci nieznani mi prześladowcy musieli mnie uważać za nieprzyzwoicie głupiego, jeżeli przypuszczali, że dla niebezpiecznych dokumentów nie znalazłbym lepszego schowka nad otwarte koszary, albo że nie miałbym lepszego zatrudnienia nad zbieranie niebezpiecznych druków. Takie kollekcyonerstwo!

Czasami jednak zastanawiałem się nad moim losem. Myślałem, że tylko początkowe wykształcenie ~~wezmę~~ na ohydę w kompanii zapasowej, a potem jednak pójdę do szkoły oficerskiej. Tę nadzieję opierałem nie na uczciwości rządu austryackiego, lecz na wyrachowaniu. Przypuszczałem, że sterownicy państwa i naczelnicy armii nie zapomnieli szkolnej mądrości, że dubius est belli eventus i że licząc na zupełnie pewne zwycięstwo pod skrzydłami pruskiemi, jednak asekurują się na wypadek gdyby to zwycięstwo nie okazało się stanowczem i całkowitem, albo gdyby go całkiem nie było. Niemniej nawet w wypadku kompletnego zwycięstwa jeszcze zostaje pytanie, jak się sprawy ułożą? Czy mimo buty niemieckiej nie trzeba będzie pofolgować nieco polskiemu narodowi, dlatego, że go za dużo dostało się monarchii? Albo też, czy nie będzie potrzeba zwrócić się do narodów nieniemieckich, a więc i do polskiego także, aby oparłszy się na nich zrzucić zbyt ciężką hegemonię pruską?

W takim razie jednak należałoby pamiętać, że jestem posłem, że zwołanie parlamentu może okazać się potrzebnem nawet podczas wojny, albo że później żywioły opozycyjne znajdą w moich prześladowaniach mocny argument do uzasadnienia swojej niechęci wobec rządu i swojego braku zaufania w jego słowność, czy poszanowanie ustaw.

Po co więc nadaremnie jątrzyć? Albo mnie powiesić, albo gdy się mnie zostawiło przy życiu, przestać mnie dręczyć. Rozumiem wszelkie bezprawie, prowadzące do jakiegoś celu, ale łajdactwo dla łajdactwa jest mi niezrozumiałe.

Mimo tych rozumowań, któremi chciałem rozpędzić strach przed kampanią zimową, przeczucie mówiło mi, że pójdę w ogień jako prosty żołnierz. Czułem to, że jestem zpod prawa wyjęty, a że dwa razy zerwałem nogi zupełnie, zacząłem się cieszyć, że mi się 5. grudnia pokazała puchlina w kostkach. Będę chory, więc będzie lepiej.

W początkach grudnia przyszła odwilż. I o dziwo! Póki był śnieg suchy trudniono nas obrotami, chwytami karabinu i innemi paradowemi figlami. Gdy błoto się rozlazło, a ziemia przemokła głęboko, przypominano sobie, że mamy iść na wojnę, a nie wiemy jeszcze, jak się to robi. Wyprowadzono nas więc w pole między

miastem a błoniami, ustawiono dwa plutony na wzgórzu, a nas rozpuszczono w tyraljerkę czyli rozwartą linię i kazano ów pagórek zdobywać. Biegliśmy więc częściami tz. szwarmami naprzód po roli bronowanej, po roli pokładanej i po zasiewach ozimych, a potem: „Nieder", to znaczy: padaj plackiem. Szarżowie zaznaczali padanie klęknięciem, ale my musieliśmy całemi piersiami, brzuchem i kolanami buchać w bryzgające błoto i leżeć wedle przepisu. Dopiero gdy wilgoć przejęła kolana, zrywaj się i biegiem pędź kilkadziesiąt kroków naprzód, aby się znowu położyć i czekać. Wprawdzie domyślaliśmy się, dlaczego trzeba się kłaść na ziemię, ale nam celu nikt nie wyjaśniał. Główny warunek był, żeby linia tyraljerska była prosta jak sznurek – czyli dalej parada. A pod górę naturalnie: „Laufschritt!": skokiem. Popaćkaliśmy się jak niebożkie stworzenia, ale to mniejsza wobec tego, że glinkowate skiby czepiały się butów jak klej i że u jednej nogi trzeba było dźwigać kilka kilogramów błota, aż w mózgu strzykało.

W tem niechlujeniu żołnierzy leży także wojskowa pedagogia, która zmierza do tego, aby w żołnierzu, dla rozrywki tylko, zabić wszelki wstręt, niechęć i obrzydzenie, wszelkie poszanowanie siebie i człowieczeństwa w sobie, aby potem mieć tylko bezwolny, zahukany, ogłupiały i przestraszony bezduszny materyał w ręku. A wrzasku i ryku było stanowczo więcej niż kiedykolwiek, a tysiąckroć więcej niż w prawdziwej bitwie.

Gdyśmy po tem dziele wrócili na dziedziniec koszar, kadet Fruwirth postawił zbłoconą nogę na kamieniu i kazał staremu Bricklingerowi wyczyścić ją sobie. I pochyliła się mleczna głowa do stóp młodzika, zgarniając błoto. Pan Fruwirth jest może także synem człowieka, który nie ma przywilejów jednorocznego. Ciekawość, coby rzekł, gdyby widział, jak inny smarkacz z galonikiem każe się jego ojcu chylić do swoich zbłoconych butów? Może byłoby nieprzyjemnie, a może uznałby, że wszystko jest w porządku, skoro ów smarkacz ma gwiazdki, a jego rodziciel nie? Kto wie, jakimi drogami chodzą myśli i uczucia kandydata na austryackiego oficera!

W każdym razie mogę stwierdzić, że kłamstwem jest eufemistyczne twierdzenie, jakoby pewnych ofiar i trudów żądano w wojsku tylko ze względu na konieczność, na potrzebę obrony państwa, ~~całości~~ ogółu – żąda się niewolnictwa w służbie osób a nie w służbie idei i społeczeństwa.

Byłem smutny, niepewny jutra, zawsze oczekujący pogorszenia losu i przykrych niespodzianek, zawsze właściwie samotny, ale spokojny. Jedynym wypoczynkiem nietylko ciała ale duszy było spanie, bo miewałem sny osobliwe, albo piękne. Śniło mi się raz, że proces mój skończył się po wojnie i skazano mnie na dwa lata więzienia oraz utratę profesury – innym razem, że byłem w gościnie u „ministrowej" i podczas gdy zajadałem tort, ona łamiąc ręce mówiła: „To nieszczęście! Pokój zawarty i Niemcy znowu nas opuściły; Austrya będzie musiała ponosić koszta wojny." A ja na to ustami, pełnemi tortu: „A więc moje będzie na wierzchu – zawsze przed tem ostrzegałem".

Te sny nawet świadczą, czem dusza była zajęta nawet nieświadomie.

Dnia 7. grudnia zapowiedziano z Kancelaryi, kiedyśmy wracali po rannych ćwiczeniach, że o 2. mam się stawić przed Kancelaryą. Ponieważ plutony szykowały się i opuszczały koszary o ½ 2, więc zostałem sam jeden. W Kancelaryi dowiedziałem się, że dzisiaj mam odejść do „Marschbataillon'u". Taki rozkaz przyszedł z pułku.

Poczerniałem cały. Więc ja najstarszy wiekiem w kompanii, a najmłodszy wysłu-

leniem zostałem już przeznaczony do formacyi bojowej i na front! Tak więc bardzo o mnie pamiętają. Złość moich prześladowców nie usypia nawet na chwilę.

Zatem precz z marzeniami! O przywróceniu należnych mi praw niema mowy, a więc i o odesłaniu do szkoły oficerskiej. Szkoda łudzić się. Nieodpowiedzialne z powodu ogłoszonego stanu oblężenia łajdaki, nie mogąc mnie sądownie skarać na śmierć, bo samowola byłaby zbyt widoczna, wysyłają mnie na front w nadziei, że kulka włoska czy rosyjska uwolni ich od mojej niewygodnej osoby.

Omal nie zapłakałem z bezsilności, a także i smutku.

Człowiek starszy, zwłaszcza nie czujący w sobie nadmiaru sił, co zdaje się, że rozpiera ciało, nie lubi zmian. Przywykłem do moich górnorakuskich chłopów, znalazłem formy współżycia, więc najchętniej byłbym razem z nimi szedł i do formacyi bojowej i w pole. Przywiązanie łączyło mnie tylko z Malym. Ale do innych nawykłem. Bałem się nowych znajomości, bo już owładnął mną zabobonny fatalizm (który mnie do dziś nie opuścił) że każda zmiana wychodzi u mnie na gorsze. Będą więc gorsze warunki i gorsi ludzie. Toż w wojsku nie można liczyć na dobór ludzi, gdy przymusowo powołuje się wszystko co żyje, gdy nawet zbrodniarzy wypuszcza się z więzień i stawia pod broń jako obrońców ojczyzny. Stąd mój smutek. Ponadto bałem się bardzo kampanii zimowej. Przepędzenie kilku miesięcy w szkole oficerskiej byłoby odwlekło mój odjazd w pole do wiosny, a może do lata.

Wszystko więc spiknęło się na mnie.

Do bezdennego smutku doprowadzało mnie, że nie wiem właściwie, kto mnie prześladuje. System austryacki.... to dobrze, ale kto jest jego wyrazem: feldmarszałek, czy gabinet z hr. Stürgkhiem na czele? Gdybym był wiedział kto, byłbym pracował głową nad sposobami, aby mu bodaj życie uczynić trudnem, skoro w mojem położeniu nie można marzyć o obaleniu takiego potentata.

A tu nic, nie zostaje nawet dla rozerwania myśli, tylko pozostać w bierności chłopskiej i czekać, jakie niespodzianki jutro przyniesie.

Zacisnąłem więc zęby i powiedziałem sobie: „A jednak nie dam się." Gorzały mi policzki, gdym wracał do sali, ale wnet zacząłem gwizdać i składać manatki. Od czasu do czasu zgrzytnąłem zębami i mruknąłem: Całujcie mnie gdzieś idyoty. Za chwilę znowu mruczałem: I co mi zrobicie? Drwię z was wszystkich. Szkoda, że nie wiem komu mam to powiedzieć w oczy. Ale pluję wam wszystkim w gębę od starego z rozmiękczonym mózgiem na tronie zacząwszy, a idąc przez całą sforę tak zwanych członków dynastyi aż do gończych piesków, zwanych członkami rządu i do wszystkich moich komendantów wojskowych, którzy są tylko idyotycznymi pomocnikami oprawców.

Gdym tak wyładował nieco mój gniew, ulżyło mi mocno i zacząłem rzecz rozważać z drugiej strony. Najgroźniejsze przesilenia kończą się zawsze u mnie śmiechem. ~~Ał~~ To też i w tej sytuacyi znalazłem zaraz stronę śmieszną. Oto potentaci, którzy przywłaszczyli sobie władzę życia i śmierci, w toku tak ważnych spraw nie spuszczają z oka mojej persony. Dobrze jest pamiętać o wszystkich ruchach armii w Polsce i we Włoszech, ale nietrzeba ani na chwilę zapomnieć o Janie Zamorskim z Grogowca, bo to równoważnie wielka sprawa.... A bodaj tych matołków las ogarnął!

Kto wie, czy klęski austryackie w roku 1914 i w początkach 1915 nie pochodziły stąd, że sztab generalny zamiast pamiętać o wojnie miał wyłącznie głowy zaprzątnione moją osobą? W Austryi wszystko możliwe.

I co mi zrobili? Pokazali wszyscy razem na kupę tylko bezsilność własną — i tchórzostwo. Bo jeżeli im zawadzam, toć mając katów pod ręką, powinni mnie byli zgładzić jak

jak szczura. Czy się bali zbyt wielkiego echa w Kraju? Bardzo wątpię. Zdaje mi się, że wszelkie ~~[illegible]~~ wiarołomstwa lubią wywoływać przestrach – nawet organizują demonstracye, aby mieć sposobność do przelewania krwi i wzbudzania zgrozy i terroru. Raczej nie chcą tak wprost na siebie brać mojej niezasłużonej śmierci – wolą mnie posłać na front, aby powiedzieć, gdy zginę, że to zwykły przypadek wojenny. Na ten wypadek z pewnością umieszczą ciepły nekrolog w gazetach pod tytułem: Den Heldentod für Kaiser und Vaterland erlitten etc. A zapominają o tem, że w tym pośpiechu, z jakim mnie po ową bohaterską śmierć posyłają, leży całkowita zbrodnia morderstwa obmyślanego. Zostanie wina i tchórzostwo zarazem.

Dalibóg! gotuje mi los Uryasza. A jeśli żadna rosyjska, włoska czy serbska kula nie wygodzi im tej przysługi, to co? Uryasz miał ładną żonę, a Dawid był młody – tymczasem ja jestem bezżenny, a zresztą i wiek arcyksięcia czy bodaj hr. Stürgkha nie pozwala im już na słodkie przedsięwzięcia. Byłaby jednak heca, gdybym na wojnie nie zginął, mimo że tyle wpływowych osobistości wygląda mojej śmierci.

Te złośliwości pomyślane wprawiły mnie już w dobry humor. Żałowałem, że nie ma wolności pracy, bo chciałem wyrysować siebie jako Giewont, na który feldmarszałek, ministrowie i członkowie Naczelnego Komitetu Narodowego, ubrani jako uliczniacy z kosrulą w tyle, rzucają kamieniami i nawet do stóp nie mogą mu dorzucić.

Zupełnie gotów do drogi stanąłem o wyznaczonej godzinie przed Kancelaryą. Feldwebel magazynowy zjawił się nagle i zażądał, żebym walizki otworzył. Nowa rewizya. Gdym wyciągnął necesser i chciał otwierać, przerwał z grymasem: „Nie tego szukam." Tak! wiem, czego szukacie i żal mi was wszystkich razem i tych padleców, którzy takie rozkazy wydali i siebie bezwolne narzędzie, które z człowieka masz podobno tylko postać.

Okazało się, że ze mną odchodzą do marszbatalionu jeszcze dwaj inni żołnierze. Czyżby to przesiedlenie nie było tak wyjątkowem? Byli to aktywni żołnierze, którzy już brali udział w bitwie, a wróciwszy ze szpitala, przepędzili kilka dni w Kadrze. Z rozmowy dowiedziałem się, że obaj są Czechami. Ach tak! Wyjątkowość zarządzenia nie traci nic ze swojego posmaku: Wrahi Czesi nie mogą długo siedzieć w Kadrze, zwłaszcza w mieście na pół czeskiem.

– Rozkazujmy! Kapral służbowy wziął papiery za rękaw i już się zabierał komenderować, gdy feldwebel magazynowy popatrzył raz jeszcze na mnie, kazał walizki zostawić na podłodze i iść za nim. W magazynie kazał mi zewlec płaszcz. Jakto? bez płaszcza w zimie mam chodzić? Ach nie! Tylko mój płaszcz był zbyt ładny, zbyt nowy na podejrzanego politycznie zbrodniarza. Dostałem łachman stary, z plamami brunatnemi niby od pokostu, a niby od przepalenia, a tak obrzydliwy, że podejrzewałem w nim miliony zarazków chorobowych. Za rękawem znalazłem później mnóstwo kartek, zwanych w wojsku „przepustkami" to jest pozwoleń na pobyt w mieście poza godzinami, w szpitalu dozwolonemi. Ilu rekonwalescentów, a ilu nieboszczyków chodziło w tym łachmanie, który teraz kryje grzbiet austryackiego profesora o złotym kołnierzu i posła parlamentarnego i sejmowego.

Tak opuściłem koszary przy Winterhollerplatz, gdzie, jak się w kilka dni później dowiedziałem, byłem pod osobliwym nadzorem Kaprala Edera, cugsfirera i Kadeta.

IV. Marschbataillon.

Pojechaliśmy tramwajem przez całe Berno aż do gminy Schreibwald (jak się po czesku nazywa, nie wiem). Tam na pograniczu gmin stoi daleko od drogi dawna fabryka cukru, używana podczas wojny na koszary formacyi bojowych. Od gościńca prowadzi do niej droga dość długa, ogrodzona z obu stron wielkiemi siatkami drucianemi. Budynki fabryczne są ujęte w takież samo oparkanienie. Dróżyna błotnista; u bramy stoi straż wojskowa: wchodzimy w obręb. Czarne błoto wszędzie i niechlujstwo. Po załatwieniu formalności przez Kaprala eskortującego

zaraz w najbliższym budynku prowadzą nas do olbrzymiej szopy murowanej, krytej dachówką. Z przodu jest brama wjazdowa, do której prowadzi pomost z desek, bo wejście jest na wysokości podłogi wagonu kolejowego. Listewki przybite na spojeniach desek zastępują schody.

W środku ciemno. Od wejścia prowadzi do wnętrza skośny, bardzo długi pomost z desek, ale już bez listewek, bo przy tej pochyłości powinien się każdy utrzymać w równowadze na własnych nogach.

Obszerna przestrzeń podzielona rzędami rzadkich słupów drewnianych na pięć długich naw. Między belkami biegną, dla zaznaczenia podziału, dołem po dwie deski i na wysokości człowieka po jednej, przypartej do poprzecznego belka. W szopie jest sufit, z rzadka przerwany oszkleniem, które dostarcza światła z góry przez dach.

W każdej tak utworzonej długiej ~~nawie~~ nawie mnóstwo sienników, opartych wezgłowiami o deski przedzielające, zostawia w środku wązkie przejście. W jednej nawie jest miejsca na przeszło dwustu ludzi, to jest prawie na pełną kompanię polową, która liczyć powinna 240 żołnierzy.

Gdy się którąkolwiek z naw przejdzie wzdłuż całą szopę, znajdzie się między ostatnimi belkami a drugą ścianą poprzeczną budynku szerokie miejsce, gdzie stoi pod ścianami kilka „pryczy" dla szarżów. Nagle okazało się światło: szopa jest oświetlona elektrycznie, ale lampek niewiele i na granicy świateł jest wcale ciemno.

Ponieważ przyszliśmy dosyć późno, i nie było komu nas przeznaczyć do jakiejś kompanii, mamy gościnę spać w oddziale sanitarnym pod lewą ścianą w nawie ostatniej. Komendantem oddziału jest cugsfirer żyd. Wogóle austryjacka służba sanitarna jest przepełniona przez żydów.

Wyznaczył mi siennik, złożyłem na nim rzeczy, usiadłem i patrzę.

Jeżeli w tamtych koszarach krzyczałem wniebogłosy na brud, to tutaj widzę, że tam był cud schludności, komfortu i elegancyi w porównaniu do tego, co się ma w „Zuckerfabrik". Na podłodze chlupiące pod nogami błoto – przez rzadkie okna w suficie przecieka woda: wygląda tak, ~~jakby~~ jakby człowiek siedział w kałuży. Nie dziw. Prawie ośmiuset ludzi siedzi w tej szopie, a wszyscy chodzą przez jedną bramę i wszyscy z dziedzińca i z drogi przynoszą błoto na butach. Czyszczenie widać, że się odbywa co rana miotłą, ale to nie wystarcza.

Za tylną ścianą jest sklecony z desek wychodek, w którym 50 ludzi może równocześnie załatwiać potrzebę. Brr! Jest to takie obrzydliwość takie masowe załatwianie się w towarzystwie, nie mówiąc nic o wstrętnym w nosie zapachu: trzeba się będzie i do tego przyzwyczaić.

Tymczasem zaczęły wracać plutony z ćwiczeń. Zbłocone to nie do poznania, ale żywe i młode. Idąc między siennikami, zawadzają o nie schlastanymi butami: nie zazdroszczę tym, którzy na tem spać muszą. Wszystko uzbrojone w karabiny, mają plecaki, pasy i bagnety. Ale odzienie stare, brudne, ohydne. Ja, który po wydaleniu z oficerskiej szkoły musiałem oddać mój rynsztunek, nie miałem nic oprócz bielizny i lichego ubrania.

Gdy przyszli żołnierze sanitarni, cugsfirer odczytał im rozkaz, poczem razem z nimi poszedłem po kawę. Do błocie, do bardzo brudnego budynku i jeszcze brudniejszej kuchni z najbrudniejszymi kotłami.

~~Nazajutrz~~ Długo siedziałem dumając, wreszcie zanotowałem w pamiętniku: „nie dam się" i poszedłem spać w nieopalonej szopie.

Nazajutrz rano wezwano mnie do kancelaryi, gdziem się dowiedział, żem przydzielony do trzeciej kompanii polnej, drugiego plutonu. Nasz batalion był już siedemnastym z rzędu, który miał iść na wzmocnienie strzaskanego przez wojnę regimentu. Dostałem też kartkę do magazynu, mocą której miałem otrzymać rynsztunek.

Stałem przed magazynem więcej niż trzy godziny, a pan kapral nie raczył mnie odprawić. Przychodził, pytał czego chcę, a gdy przejrzał kartkę, powiadał: „Wart'nur" i szedł sobie. Nie przywykłem jeszcze do tego, aby mi ktokolwiek mówił: „ty", nie przywykłem też i do czekania – trzeba się było przyzwyczajać.

Zameldowałem się też u mego cugsfirera. Był to jednoroczny Knocklinger.

Wysoki, kościsty, choć chudy, twarz miał drobną, białą, pociągłą, szczękę dolną długą i wysuniętą naprzód jak u starców, dlatego, że zęby dolne trzymał przed górnymi. Na małej górnej wardze cofniętej wstecz, miał czarniawy wąsik; brwi ciemne mocno narysowane odbijały od śnieżnobiałego czoła; włosy jasne, oczy modre. Był to człowiek niezwykle wygimnastykowany, a długimi palcami wyrabiał sztuczki jak czarodziej w budzie jarmarcznej.

Komendantem plutonu był młody aspirant Kranzl, wysoki barczysty blondyn o bezwąsej twarzy wiejskiej dziewuchy.

Gdym otrzymał cały rynsztunek, oprócz karabinu, wskazano mi miejsce naszego plutonu i kazano wybrać sobie siennik wraz z niezajętym miejscem. Zabiwszy kilka gwoździ w belek poprzeczny, można było rozwiesić niektóre manatki. Reszta leżała na podłodze przy sienniku.

Zaraz popołudniu stanąłem już w szeregach. Prócz mnie wszyscy mieli karabiny. Cały batalion, a więc i nasz pluton składał się prawie wyłącznie z samych młodych chłopców od 18 do 20 lat. Więcej niż trzy czwarte stanowili Niemcy, a reszta była to mieszanina wszystkich austryackich narodowości z przewagą Polaków. Mnie wypadło spać obok Polaków z jednej strony.

Niestety! Ze smutkiem muszę powiedzieć, że Polacy na ogół bardzo źle się przedstawiali. Kłótnie i bójki były ciągle między nimi, wrzask i niesforność wychodziły z tego kąta. Toteż wyróżniłem z nich wkrótce cichego chłopczynę Andrzeja Romka z Gaju w Krakowskiem, ale mimo wielkiej życzliwości, co było z nim gadać, skoro taki młody? Był to typ tego, co nazywam gospodarskim synem w najlepszem znaczeniu.

Z innego plutonu wpadł mi w oczy Szatkowski, rosły, prosty, dobry żołnierz o rasowej podłużnej twarzy i orlim nosie. Ten był legionistą i miał szarżę kaprala – przeznaczony do szkoły podchorążych, został ranny i odszedł do szpitala. A po szpitalu mimo próśb i zabiegów wzięty jako austryacki rekrut do niemieckiego pułku, gdzie naturalnie jego kapralstwa nie przyjęto do wiadomości. Od niego dowiedziałem się wiele upokarzających wiadomości o stosunkach wewnętrznych w legionach. Policzkowanie i urzędowe, wedle starych metod, bicie w skórę ma tam należeć do regulaminowych rodzajów kary. Jeszcze brudniejszą karą jest zabieranie ukaranym żołnierzom lenunku przez kapitana, który w ten sposób bogaci się rychło. Rabunek i plądrowanie ludności cywilnej polskiej przez legionistów jest ~~tylko~~ rzeczą naturalną, codzienną, którą się wykonywa bez wyrzutów sumienia jako psotę studencką.

Okropnie przykro było tego słuchać i on też niechętnie opowiadał o tem, ale żem był ciekaw, wypytywałem. Awans i to szalenie szybki zastrzeżony tylko socyalistom: inni siedzą niestychanie długo na stopniach kaprali i podoficerów. Mimo tego Szatkowski chciał był wracać do legionu, bo i w nim obudzono poprostu religijny kult Piłsudzkiego.

A zresztą nie było ponęty, któraby go wiązała z drugim pułkiem obrony krajowej. Widzieliśmy, że panuje tam jakieś obrzydzenie do Polaków. Sądząc po ludzku, można było ~~sę~~ oczekiwać nienawiści i wstrętu do Czechów. Ale psychologia ludzka jest odmienna od niemieckiej.

Niemcy, którzy przez tyle wieków mają garść Czechów niejako w środku swego obszaru, a dotąd ich zgermanizować nie potrafili, mają respekt i strach przed Czechami. Niemiec zna tylko uszanowanie dla batoga. Ponieważ Czesi nietylko ~~nie~~ dali się zjeść, ale ponadto wyrządzili Niemcom wiele trudności, Niemcy się ich boją. Próbowałem zagadać z inteligentami niemieckimi o Czechach, nie dało się. Zacinał zęby, mrużył oczy i wymijał pytanie. Widocznie dławi go wściekłość bezsilna. Uważałem też przytem pewien wyraz twarzy, który odpowiada polskiemu motaniu na wąsie, a zdawał się mówić: „Porachujemy się po wojnie". Wnosiłem z tego, że po wojnie, który

zwycięzkiego końca pod wodzą Prus był pewny każdy wykształcony Niemiec, wywrą zatą tłumioną złość, całą zajadłą wściekłość na Czechach, że poprostu wytną cały naród, a kraj skolonizują. Aż do owej chwili nakazywali sobie milczenie, aby nie wywoływać różnic, które mogłyby zmniejszyć i udaremnić to pewne zwycięztwo: niech Czesi dalej walczą, choć nie wierzący, w austryackich szeregach.

Tak dało się odczuwać u wszystkich inteligentnych Niemców. Zresztą ci, którzy byli mniej skorzy do bójek, woleli także o Czechach nie mówić z osobistych względów. Czesi trzymali się tak między sobą, że nawet złodzieja czeskiego kryli, a kto chciał wszcząć burdę z jednym, miał ją ze wszystkimi. A nie byli to chłopcy, którzyby cośkolwiek puszczali płazem. Do tego większość umiała po niemiecku i nie dała się nikomu pobić na języki. Przezorniej więc było unikać zaczepki z takimi, zwłaszcza że było dosyć chłopców krzepkich i rosłych między nimi.

Zupełnie inaczej z Polakami.

Niemcy wiedzieli, że Prusy skazały Polaków na zagładę. Przypuszczali więc, że Polacy okażą bodaj tyle ludzkich uczuć, co deptany robak. I nagle ze zdumieniem spostrzegli, że ci Polacy nietylko poniewierki nie pamiętają, ale owszem Prusom na pomoc wystawiają dobrowolnie legiony i głoszą, że Polska istnieje tylko w parze z Prusami. Wprawdzie niby to legiony wiązały się przy Austryi, ale to tylko pozór, boć w wojnie chodzi o zdobycie panowania nad światem dla rasy niemieckiej, a przywódcą i organizatorem tej rasy są Prusy. Toż Austrya, na wypadek zwycięztwa, zostanie tylko państwem związkowem.

Wobec tego nabrali do Polaków tego wstrętu, jaki się ma do człowieka, który za policzki całuje w rękę.

Prócz tego nienadarmo w Niemczech pisze się i czyta tak wiele książek. Z nich zostało przecież w tym najsamolubniejszym narodzie nieco osadu z etyki, która każe odwdzięczać się za dobro. Otóż Polacy przez narzucenie się ze swoją legionową pomocą odwołali się do wspaniałomyślności niemieckiej — a to właśnie ich najbardziej gniewa. Za wspaniałomyślnego uchodzić jest rzeczą przyjemną, ale wspaniałomyślnym być jest niepraktyczną, a musieć nim być jest nawet oburzającą. To są pierwsze czynniki tego zbiorowego uczucia, którego inaczej nie umiem nazwać, jak obrzydzeniem: wzgarda i gniew za chęć moralnego wymuszenia.

Do tego przychodzi wstręt dorobkiewicza brudnego do biedaka, który wprawdzie ozłaca swoją biedę opowiadaniem o dawnych czasach dobrobytu, ale niemniej jest żebrakiem i to natrętnym. Samo przypominanie o istnieniu Polaków jest już natręctwem. A Niemcy uważają się za coś olbrzymio wielkiego — wielcy zaś nie lubią przedewszystkiem natręctwa.

Ponadto żaden z Polaków nie umiał po niemiecku. Bywał bezradny i znakomicie nadawał się na przedmiot ciężkich, ale i głupich niemieckich dowcipów.

Nie było też między nimi żadnej solidarności. Gdy jednego spotkała nagana od szarży, albo przykrość od kolegi, inni cieszyli się, że ich to ominęło. Miałem wrażenie, jakoby każdy instynktem przyznawał i za naturalne uważał panowanie Niemców, siebie zaś za niewolników, przeznaczonych do brania cięgów i jakoby każdy czuł się szczęśliwym, kiedy chłosta spadała nie na niego chwilowo.

Smutne to były spostrzeżenia. Ponieważ nie miałem żadnej szarży, nie myśleli o tem, aby słuchać moich uwag. Dopiero kiedym pociągnął za sobą gefreitera Koguta, ten powagą swojej gwiazdki począł w nich budzić poczucie solidarności narodowej; to

nie umieli rozeznać, kiedy mówi przez niego wolny obywatel, a kiedy przełożony, którego trzeba słuchać.

Uważałem też, że Polacy są bardzo skłonni do ciasnych przywiązań. Był dumny ze swojego cugu, swojej kompanii itd i miał ochotę patrzeć z góry na współrodaków z innych oddziałów. Wierny, stary sługa – ale sługa tylko, wieczny sługa.

Dlatego właśnie podobał mi się Jędruś Romek, bo był tylko człowiekiem, nie przez rozumowanie, ale przez naiwność i brak znajomości świata. To że nie rozumiał, dlaczego miałby być gorszym od każdego innego żołnierza i że nawet nie odczuł potrzeby zastanawiania się nad różnicami wśród żołnierzy czy obywateli tylko ze względu na ich narodowość czynionemi, dawało jego całemu zachowaniu się spokój, skromność ale i pewność siebie.

W innych kompaniach było kilku intelligentnych Polaków. Przedewszystkiem sędzia Nowak, w randze sędziego powiatowego z Radomyśla. Posiadał stopień aż gefreitera. Służył był w polskim pułku. Gdy drugi regiment landwery wzmacniano grupkami z różnych pułków, on przyprowadził transport galicyjskich żołnierzy ze swojego pułku. Natychmiast podpułkownik Heidrich zatrzymał go w landwerze jako instruktora dla słowiańskich żołnierzy. Daremnie Nowak chodził po raportach, daremnie prosił o powrót do swego pułku, albo o dopuszczenie do szkoły oficerskiej: wszystkie prośby odrzucano. Póki był w II kompanii zapasowej miała ta niesprawiedliwość pozory uzasadnienia: trzymano go jako instruktora, więc nieliczono się z jego uprawnieniami. Ale gdy z wyszkolonymi żołnierzami przeszedł do formacyi polowej, zginął i ten pozór, a zostało bezprawne, choć faktyczne pozbawienie praw. Dlaczego? P. Nowak nie brał udziału w polityce, nie należał do żadnego stronnictwa, nie był więc podejrzanym. Ale wobec Polaka nie trzeba mieć skrupułów. ~~[illegible]~~

Ten sam los spotkał jego przyjaciela, którego nazwiska nie pamiętam. Także urzędnik, prawie 30 letni, także Gefreiter. Ten jednak, gdy wszystkie urzędowe kroki zawiodły, przycichnął na chwilę, ubrał inną bluzę, na którą rzekomo nie miał czasu naszyć odznak jednorocznego i kiedy szukano ochotników do oddziału karabinów maszynowych, zgłosił się i został przyjęty przez niedopatrzenie. W owym czasie nauka w tym oddziale trwała jeszcze kilka miesięcy i odbywała się w głębi kraju. Zyskał więc tyle czasu, że mógł rozpocząć dalsze kroki celem dochodzenia swoich należnych praw.

Tak więc nie trzeba było być politycznie podejrzanym tak jak ja, ani byłym więźniem stanu: wystarczyło być Polakiem, aby w niemieckim pułku zostać z pod prawa wyjętym. Awans był niemożliwy, bo taki polak nie włada „należycie" językiem niemieckim.

5

Szarżami mogli zostać tylko młodzieniaszkowie niemieccy. Byli to prawie sami jednoroczni, a więc tz. intelligentni ludzie. Jeszcze plutonowi i aspiranci wyglądali trochę na dorosłych, ale od kaprala w dół poprostu dzieciaki. I tu dopiero spostrzegłem, że szarżowie aktywni, którzy po długiej pracy dorabiali się po jednej gwiazdce, mieli mimo swoich koszarowych wrzasków więcej uczucia i taktu ludzkiego, niż ci niby wykształceni chłopcy, wyrwani z ław szkolnych.

Chłopiec w okresie mutacyi głosu tz., zwanej pubertas w łacinie, bywa zazwyczaj złośliwy, kapryśny, skłonny do znęcania się i dzikości, nieczuły na ludzkiej życzliwości niedostępny, nie chcący i nie umiejący drugiego zrozumieć, stawić się w obce położenie. Siebie i swoje popędy nerwowe ma za przepis, obowiązujący innych – ulega sile, a wetuje sobie własne uleganie pastwieniem się nad słabszymi. Gdy go wzięto do wojska i rychło dano władzę kapralską, był taki smarkacz najnieznośniejszym przełożonym. Ja miałem jeszcze szczęście, że moimi przełożonymi zostali już rozważniejsi ludzie i bardzo dobrzy: Aspirant Kranzl, plutonowy Knocklinger, kapral Mader, sami jednoroczni. Ale w innych plutonach

było prawdziwe piekło ze strony Leitnera, Schmieda i innych.

Widziałem, że w polskich pułkach jednoroczni bez względu na szarże trzymają się między sobą, na różnice stopni nie zważają, a unikają szarżów-komisnych. Niejaki zapęd do tego samego uważałem i w niemieckim pułku – ale było to bardzo połowiczne. Widocznie przepisy austryackiej organizacyi wojskowej zmierzają do zbudowania nieprzebytego muru między stanem oficerskim, a żołnierskim i każą wyzbywać się tym, którzy są przeznaczeni na oficerów w przyszłości.

Jednakże dusza niemiecka jest hierarchiczna, nie tyle kastowa. To też po krótkim pobycie w jednym oddziale zawiązywała się zażyłość między kapralami i cugsfirerami aktywnymi i jednorocznymi, uwieńczana zazwyczaj przez ważny w życiu niemieckiej duszy fakt „tykania się."

Pomagał w tem brak różnicy w intelligencyi. Zarówno ten, który oddawał się studyom jak i ten, który pracował w wolnym zawodzie, mówili dyalektem i nie znali żadnego obcego języka. Różnica intelligencyi mogłaby na sumę wyrazić się po prostu przez określenie, że ten przeczytał więcej książek niż tamten.

Inaczej u Polaków. Niebyt wielka różnica między dyalektami a językiem literackim sprawia, że każdy chodzący do szkół mówi językiem książkowym, wyróżniając się w ten sposób od niewykształconego. Ponadto każdy uczył się obcych języków, z których w wojsku wprawia się w niemiecki i w ten sposób przy każdej sposobności zaznacza się ta „przepaść" między żołnierzem, a jednorocznym, zmierzającym do rangi oficera. Niemcy natomiast ani w szkołach ludowych ani w wydziałowych nie uczą się żadnego obcego języka.

To też polscy jednoroczni stronią od zwyczajnych szarżów i trzymają się na uboczu jako osobna wybrana kasta. Niemcy natomiast uważają tylko na stopień wojskowy. Jedni są arystokratami, drudzy militarystami hierarchicznymi.

U Polaków bardzo często oficer uważa jednorocznych za równych sobie i poza służbą przestaje z nimi po koleżeńsku. U Niemców oficer jest już czemś na wzór byzantyńskiego cesarza. Z wysokości tronu pozwala oddawać sobie hołdy.

Ale i u jednorocznych trudno spotkać już aspiranta, któryby z jednorocznym cugsfirerem zadawał się po koleżeńsku. Aspirant Niemiec uważa siebie za pół oficera i rozluźnia stosunek zażyłości z kolegą kapralem czy cugsfirerem, skoro tylko dostał żółty pasek na kołnierz. Dopóki w wojsku austryackiem istniał stopień kadetów, każdy Niemiec, który go osiągnął, zrywał natychmiast związki koleżeństwa i przyjaźni ze swymi kolegami i starał się z nimi mówić tylko służbowo, kiedy obowiązuje tytuł „Sie" do przełożonego. A gdy oni w to się już wprawili, wdawał się czasem z nimi, ażeby ich tytułować per „du", a odbierać od nich tytułowanie „Sie".

Chorąży i oficer nie znał już absolutnie swoich dawnych przyjaciół i kolegów. Zdarzały się nieraz wypadki, że przyjaciel starszy wiekiem, który młodszemu pomagał naukowo i materyalnie w szkole, gdy się teraz znalazł w tym stosunku, przemawiał do niego: Herr Leutnant wollen die Güte haben, itd. a otrzymywał w odpowiedzi: Kannst schon ruhig sein. Najosobliwsza, że czuł się przez to uszczęśliwionym, zaszczyconym, podkletionym: Pan lajtnant był łaskaw z nim mówić także niesłużbowo.

Bynajmniej nie uważano takiego zrywania przyjaźni czy zażyłości za coś niewłaściwego. Przeciwnie uważano to za rzecz, która sama przez się rozumie się. Nigdy mi się nie zdarzyło słyszeć z ust takiego opóźnionego w awansie jakiegoś cienia urazy, czy rankoru: jeżeli przypominał dawne, cywilne stosunki, to tylko z dumą, ażeby pochwalić się, że on miał szczęście być kolegą lub pomagać dzisiejszemu panu porucznikowi.

Dosyć więc dziko było mi w tych stosunkach tak obcych, a tak niezgodnych z tem, co mnie się wydawało naturalnem i ludzkiem. My Polacy jesteśmy poza nieznaczną szczyptą arystokratyzmu

przedewszystkiem indywidualistami – Niemcy przeciwnie są cząstkami większej organizacyi, kółkami, śrubkami itd jednej maszyny, ślepymi uznającymi tylko hierarchię. Toteż spadłem tam już na samo dno nicości jako pospolity szeregowiec. Było to tem łatwiejszem, że Komenda regimentu w ślad za mną przysłała opisanie, stawiające mnie pod nadzór policyjny wszystkich szarżów.

Robiono też raz także powszechną rewizyę kuferków. Plutonowy Knocklinger jednak zwołał swój pluton i powiedział, iż tak wierzy w patryotyzm austryacki wszystkich, że rewizyi nie przeprowadzi, lecz zda sprawę, iż niczego podejrzanego nie znalazł, a przestrzega tylko, ażeby w przyszłości również nie brać żadnych odezw i broszur niedozwolonych, bo za to czeka śmierć. Było to więc przestrzeżenie, żeby każdy pozbył się jak najprędzej karygodnych papierów, jeżeli je posiada.

Dla czego Knocklinger tak postąpił, nie wiem. W innych Kompaniach i cugach przeprowadzono rewizyę, a gdy u Czechów znaleziono dość takich druków, polecono Kadetowi Masnemu, aby winnym wytłumaczył rozmiary przestępstwa i ciężką karę, jaka za nie czeka. Albo więc owe druki nie były tak bardzo zbrodnicze, albo sobie powiedziano, że stosownem miejscem egzekucyi dla tych czeskich chłopców będzie front włoski.

Być może, iż Knocklinger właśnie przez mnie nie urządzał rewizyi, bojąc się, aby się u mnie jednak coś nie znalazło. Dowiedziałem się bowiem, co prawda, znacznie później dopiero, że kiedy kapitan Ott w imieniu komendy pułkowej polecał roztoczyć nade mną ścisły nadzór, plutonowy Knocklinger sam jeden spośród obecnych podoficerów miał odwagę powiedzieć, iż tego się nie podejmuje, bo nie jest agentem policyjnym, a jeżeli władze coś niestosownego na mnie znalazły, niech mnie w pole nie wysyłają, tylko do więzienia. Wiem to z ust innego jednorocznika, który był przytem i notuję, aby zostało w pamięci, iż nawet między Niemcami znalazł się człowiek, mający poczucie godności osobistej i ludzkiej, oraz prawe sumienie. Co prawda, to Knocklinger być może za tę śmiałość został aspirantem o miesiąc później niż jego rówieśnicy, chociaż ze wszystkich był najzdolniejszy i najzdatniejszy. Sam nigdy mi nic o tem nie mówił, chowając tajemnicę urzędową.

Życie moje w fabryce cukru płynęło w tych warunkach smutno, ale urozmaicenia miałem więcej niż w kapasówce. Rano o wpół do szóstej budzenie czyli Tagwache, ale już bez trąby. Inspekcyjni budzili sakramentalnem: Guten Morgen, Meine Herren, Tagwache: Auf! Potem mycie się w takiejsamej szerokiej rynnie z kurkami jak przy Winterhollerplatz – następnie zgromadzanie się plutonami dla otrzymania kawy w kuchni. Chociaż na dziedzińcu płonęła już czasem lampa łukowa, dostęp do kuchni był zawsze ciemny, błoto przez długi czas nieprzebrodzone. W razie przymrozku niejeden przewracał się razem z kawą.

Wkrótce odkryłem kantynę, w której można było dostać prawie wszystkiego. Tam też po urzędowej kawie wchodziłem, aby się napić białej kawy, zjeść chleba z masłem, zalać to grogiem, który użyczał ciepła na długo, oraz zakupić wędliny i chleba na drugie śniadanie. Chleba komiśnego prawie nie jadałem, bo go nie było gdzie chować i prawie zawsze mi go kradziono. Później wolałem darować któremuś z Polaków zawsze głodnych, niż tuczyć nim złodzieja.

O pół do siódmej już cała Kompania miała stać przed szopą w pełnym rynsztunku. A posiadałem już wszystko oprócz karabinu, przedewszystkiem Rucksack czyli plecak. Ten gniótł mnie z początku w sposób niewypowiedziany, ale wnet się i do niego przyzwyczaiłem. Dnia 14 grudnia dostaliśmy wszyscy nowe karabiny i bagnety prosto z fabryki, więc i ja miałem swój także z liczbą 8017 F. Stare pozostały dla naszych

następców.

Wychodziło się albo na główny plac ćwiczeń przez całe miasto, to jest kilka kilometrów, albo na niedaleki Plac Sportowy w Schreibwald. Rozumie się, że z Placu sportowego wracało się przed 12tą, a z Głównego około trzeciej.

Cośmy tam robili? Wojennego nic. Rozwijanie kompanii albo batalionu w nienaganny dwurząd prawie kilometrowy; łamanie dwurzędu w plutony dwurzędowe, stojące kompaniami o 6 kroków jeden za drugim; znowuż tworzenie kolumn, ustawionych czwórkami, w równych od siebie odstępach, a idących jednym krokiem i jedną linią, oraz tym podobne figielki paradowe. Były i zachodzenia czyli tz. Schwenkungi i Bóg wie jakie jeszcze mieszanie kompanii i plutonów, które Mickiewicz słusznie porównywa z mieszaniem kart przez szulera.

A od czasów Mickiewicza nie zmieniły się takie zapatrywania na przeznaczenie wojska. Jak wówczas w Rosyi, tak dzisiaj w Austryi jest ono tylko dla parady. ~~Odbywał~~ Wykonywaliśmy owe obroty, zachodzenia, rozwijania i zwijania przed kapitanami obcymi, przed podpułkownikiem, a raz przed jenerałem. Za każdym razem musieliśmy nakoniec czynić defiladę przed tym panem: jedną na błoniach, drugą w mieście. Przed jenerałem defilowaliśmy także raz nie w czwórkach, ale w kolumnach, czy jak się tam zwie owa formacya dwurzędowa, na błoniu.

Naprzeciw powracającemu batalionowi wychodziła muzyka, ażebyśmy przez miasto trzymali jeden krok, oraz ażeby grać do defilady. To był nasz przywilej jako batalionu polowego. Podpułkownik stawał z jednej strony ulicy, muzyka z drugiej i mięłoliła pewien marsz w kółko, póki ostatni szereg nie przeszedł. A trwało to długo. Płynęły czwórki za czwórkami, a co się który szereg zbliżał do podpułkownika, zaraz wszystkim ręce opadały z ramienia na kolbę, odpychaną w tył, piersi wysuwały się naprzód, głowy zawracały w prawo i każdy patrzył mu w oczy. Pan Heidrich zaś stał z miną nadąsanej baby, co policzki w dół opuściła i patrzył ostro każdemu w oczy, siląc się nadać spojrzeniu wyraz świdrujący, przeszywający. Okropnie śmieszni są ci wojskowi ze swojemi oczyma. Posiada jakieś idyotyczne te okienka duszy, jeden czerwone jak u królika, drugi schowane w fałdach wymienia, mięsistszych niż u krowy, trzeci coś nakształt w mleku gotowanej ceraty i wytrzeszcza to, omało z oczodołów nie wyrzuci. Widać układanie, widać silenie się i człowiek miałby mu ochotę powiedzieć: „Nie natężaj się biedaku tak mocno, popuść, nie udawaj!" Ale darmo! Do kabotyńskiej literatury dostał się frazes o sokolim lub orlim wzroku wodza i dziś każdy piernat, każdy wymoczek albo bibosz musi robić orła albo sokoła. To wytrzeszczanie oczu bez siły i bez wyrazu przez wyższych wojskowych wprawiało mnie zawsze w dobry humor. To też choć po długich ćwiczeniach na piaszczystem błoniu, po uciążliwym marszu przez brukowane ulice miasta, nogi i serce odmawiały posłuszeństwa, chociaż w bólu i pocie przeklinałem zapowiedzianą defiladę, gdym jednak zobaczył p. Heidricha, jak udawał Napoleona z orlim wzrokiem, zbierał mnie taki pusty śmiech, że miałem już odszkodowanie za trudy. To było lepsze od najdoskonalszej francuskiej farsy. Lichy aktor, który zaważyje i okazuje pewność siebie oraz przekonanie, że stworzył arcydzieło niedoścignione – wzbudza politowanie. Głupi pułkownik austryacki, który ma się za mędrca i udaje sokoła w spojrzeniu – jest tylko wysoce komicznym.

Ten p. Heidrich, o ile sobie przypominam, nigdy nie mówił w rozkazach pułkowych o niczem innem, jak ostre salutowanie, czyszczony mundur, wszystkie guziki, oraz oliwka pod brodą. W czasie wojny światowej miał tak głowę tem zajętą, że ciągle do tematu powracał; przyznawał, iż żołnierz, przychodzący wprost z pola, może nie mieć oliwki, ale surowo zalecał, że pierwsze kroki takiego żołnierza muszą być skierowane do sklepu, w którym się ten towar sprzedaje, bo inaczej kara. Mało brakowało, a byłby w rozkazach podawał adresy tych sklepów i o Regiments=

befehle" stałyby się gazetą reklamową. Może po mojem odejściu z Berna i to się stało — niczym się temu nie dziwił.
Raz pamiętam na błoniu przyprowadzono przed p. Heidricha do tz. Regimentsrapportu jednego żołnierza bez rynsztunku, jak się później dowiedziałem prosto z pola. Żołnierz zasalutował i stanął sobie swobodnie. Wtedy podpułkownik wpadł w pasyę i zaczął się sierdzić do oblt. Gänsera, komendanta batalionu, jak śmie stawiać przed jego oblicze rekruta, którego nie nauczono, jak się ma przy raporcie zachować. Oberlajtnant wtrącił, iż to nie żaden rekrut, tylko stary żołnierz, który dziewięć miesięcy przepędził w polu. — „Und würde er sein ganzes Leben im Schützengraben zugebracht haben — wenn er beim Rapport die Fersen nicht schliesst, ist er bei mir kein Soldat" odrzekł podpułkownik, dając ekstrakt mądrości wojennej, kierującej armią austryacką.
Pewnego razu, gdyśmy zziajani, przepoceni, wymęczeni na nic około trzeciej zrobili w mieście defiladę i poszli dalej, zawrócono nagle cały batalion. Dwóch oficerów latało konno po trotuarach, rozbijając przechodniów cywilnych, stał się krzyk, rwetes, myślałby kto, że wybuchła rewolucya, albo Rosyanie wynurzyli się pod Bernem. A to tylko defilada nie podobała się p. Heidrichowi, bo któraś z dwustu maszerujących czwórek nie szła w idealnie równej linii. Więc kazał defiladę raz jeszcze ~~powrócić~~ powtórzyć. Muzykanci, którzy szli na naszem czele, musieli znaleźć się przed pułkownikiem, więc pędzili w pojedynkę po chodnikach, roztrącając przechodniów kołyszącemi się trąbami.
Wreszcie zatrzymano nas, muzyka rozpoczęła znowu kotowaciznę tego samego marsza, znowu wyrównały się szeregi, bijąc nogami i naciągając się, oraz kręcąc głowami, ale dla odmiany w lewą stronę. P. Heidrich stał na koniu z miną zadąsanej prostytutki i patrzył teraz po sokolemu z rumaka. A kiedy batalion zaszedł w środek miasta, minąwszy dawno podpułkownika, zawrócono nas znowu i przy dźwięku tego samego marsza kotowrotka, defilowaliśmy znowu, ale teraz, patrząc w prawą stronę.
Po ukończeniu tej defilady muzyka chciała odejść do domu. Ale pod nieobecność podpułkownika wysunął się nowy, choć mniejszy dygnitarz, p. Oberlajtnant Gänser, komendant batalionu. Kazał muzyce wyforować się na czoło i odprowadzić nas do koszar, aby przed wejściem urządzić defiladę przed swoją jasnością. Muzykanci na żadnym koncercie nie spracowali się tak, jak w owym dniu. Jednakże uratował ich od czwartej defilady adjutant batalionowy. Byliśmy już niedaleko naszej fabryki, kiedy przypadł na koniu do Gänsera. Co gadali, nie wiem, ale Gänser spochmurniał srodze, kazał muzyce odejść, jednakże sam stanął na koniu przed skrętem do fabryki i kazał nam tłuc w ziemię nogami miarowo, a patrzeć sobie w oczy. Bez muzyki odbyła się czwarta defilada. Klął żołnierz, na czem świat stoi, ale naprężał się ostatnim wysiłkiem, naciągał obolałe nogi i zaspokajał próżność oficerską. Wszak po to istnieje.
Pamiętam, jak wtedy padłem na siennik i mimo głodu nie poszedłem z innymi po obiad.
Zazwyczaj chodziłem po obiedzie do kantyny na tort, piwo i czarną kawę. Jednakże w połowie grudnia zabroniono sprzedaży ciastek, więc odtąd szukałem sera, albo poprzestawałem na piwie i czarnej kawie.
Po południu chodziliśmy bez tornistrów „Gewehr und Patrontaschen" na Plac Sportowy, a czasami nawet na dziedzińcu naszej fabryki tłukliśmy wieczyste „gwergryfy". Żaden nie umiał strzelać, choć szedł na wojnę, ale paradowe hokuspokus ~~z~~ z zdejmowaniem karabina z ramienia, opuszczaniem do nogi, oddawaniem salwy itd szły już potem jak w ma-

szynie.

Jedną spostrzegłem różnicę ~~między~~ w traktowaniu ludzi tu a w zapasowej kompanii. Tam na wszystko, co się zrobiło, parskał Kadet: „Das war nix! besser! besser!" Tutaj upominał nas naprzód Knecklinger, aby zrobić dobrze, a gdy rzeczywiście dobrze poszło, wołał: „Gut war's" i kazał odpoczywać. Byłem zdumiony, ale robiłem te błazeństwa z ochotą i uwagą, bom wiedział, kiedy dobrze, a kiedy źle, bo na dobre wykonanie był odpoczynek. Tymczasem tam chodził człowiek jak tuman, gdyż największe wysiłki były zawsze niewystarczającymi, więc i niechęć i brak wiary we własne siły były nieodstępnymi towarzyszami żołnierza.

Około piątej wracało się do szopy na czyszczenie karabinów, około szóstej rozkaz i kawa. Zbity na kwaśne jabłko, o kościach prawie połamanych, z mięśniami obolałymi, jak wiązka nici, rzucałem się już o ósmej na siennik, aby spać dziewięć do dziesięciu godzin. I ten sen twardy przywracał kościom oporność i zdatność. Nieraz wieczorem byłem przekonany, że się na drugi dzień nie podźwignę z barłogu, że obudzę się spuchnięty – tymczasem chociaż ciężko, ale się podnosiłem, a pierwsze pół dnia przechodziło nawet dosyć łatwo po wypoczęciu.

W tem zajęciu nie miałem myśli ani uczuć, oprócz odczuwania fizycznych niedomagań. Nagle przyszedł list od siostry w odpowiedzi na moje doniesienie o przejściu do formacji polowej. Żałuję, że go nie mam. Skąd ta kobieta znalazła akcenty, wrzynające się w serce i wstrząsające wszystkiemi uśpionemi uczuciami – nie zgadnę nigdy. List był pisany poprostu łzami i krwią serdeczną. To też zatrząsnął całą moją duchową istotą i obudził duszę w poniewieranem stworzeniu. Odczułem, że mam matkę i siostrę, że mam kochaną wieś rodzinną, że mam życie, którego strata jest dla tych osób tragedyą i chwycił mnie żal, jak huragan. Widziałem kobiety płaczące tak żywo, że zdawało się dotknąć ich można. Nie umiem tego stanu wyjaśnić i podać ku zrozumieniu. Było to niejako jasnowidzenie uczucia. Matka i siostra jak żywe, chata rodzinna tak dokładnie widziana, że fotografować by ją można; różne zakątki Głogowca; przypomnienia scen i widoków z czasów młodości i dotykalność niejako miłości rodzicielskiej i rodzinnej: to wszystko wędrowało przez mózg, jako szczęście nieodwołalnie stracone, niepowrotne. I dla czego? Dlaczego ja, który z przywiązania do rodziców uczyniłem sobie po prostu religię, mam właśnie być przyczyną największych cierpień dla matki! Jam winien tych łez i smutku! Powinienem był wedle rad matki siedzieć cicho i toczyć naprzód taczkę mego zawodu, a byłbym dzisiaj niechybnie reklamowanym dla celów szkolnych, zawsze panem, a nie sługą parobków. Czy mam sobie co w mojem politycznem życiu coś do wyrzucenia? Bynajmniej! Ale najlepiej było nie brać się do polityki. I znowu widzę kąt izby rodzinnej, w którym matka siedzi i płacze. Przychodzi siostra, stara się smutek pokryć opryskliwością, ale żal przemaga w niej, więc bierze głowę w dłonie i wybucha płaczem. A ja temu winienem, ja to sprawiłem.

Chodziłem więc przez kilka dni jak oszalały z cierpienia. Żadne umęczenie, żaden ból fizyczny nie zagłuszał tego smutku i nieraz w nocy wiłem się jak robak. Płakać się chciało tak, aby wypłakać pamięć, życie i duszę. W notatkach mam tylko słowa: „Oj boli, boli..."

Rozrywkę w tym smutku sprawiły mi odwiedziny Tadeusza Tabaczyńskiego z Krakowa. Napisałem był bowiem do tamtejszych przyjaciół, że jeżeli mnie chcą jeszcze raz w życiu obaczyć, niech do mnie przyjadą. Ponieważ było u nich krucho z pieniędzmi, więc uradzili, że albo Dr Maryan Starzewski, albo Tabaczyński, jako kolejarze mają jechać do Berna.

Było to w posępną niedzielę, poowijaną we mgły i mrok jak stara babka w berlacze, kiedy zawołano mnie ku bramie, od której zaprowadziłem Tadeusza do kancelaryi oficerskiej. Po krótkiem marudzeniu dowiedziałem się, że mam wolne na cały dzień. Cały dzień też przepędziliśmy w mieście.

Tabaczyński opowiedział mi, że rozpoczęto starania w mojej sprawie i że Starzewski,

który kilkakrotnie był w Wiedniu, ma jak najlepsze nadzieje. Wprawdzie prezes Koła Dr. Biliński wymówił się od ~~pos~~ wstawiennictwa słowami przed ujęciem kwestyi, że to co przed wojną nazywało się oryentacyą, nazywa się teraz zdradą stanu, ale nawet minister Georgi zainteresował się tą sprawą i niedawno kazał sobie po raz drugi przysłać akta do przejrzenia.

Wobec tego radził mi napisać listy do Abrahamowicza, Głąbińskiego i Stasia, ~~Do Abraha-~~ które on sam ~~zo~~bowiązał się odwieźć potajemnie adresatom – bo cenzura byłaby ich nie przepuściła. Do Abrahamowicza napisałem natychmiast, przedstawiając momenta prawne, jakich mógłby użyć z powodzeniem u rządu. Człowiek to obcy, z innego stronnictwa, ze mną niczem nie związany – jeżeli ten interesuje się moją sprawą, trzeba mu rzecz wyjaśnić i o pomoc poprosić.

Natomiast stanowczo odmówiłem pisania do Głąbińskiego. Prezes mojego stronnictwa i mój niby przyjaciel powinien był albo mnie uwolnić z więzienia, albo przyjść siedzieć w jednej celi ze mną. Ja byłbym w danym wypadku tylko tak postąpił. Były austryacki minister i rzeczywisty tajny radca, gdyby był człowiekiem dorosłym do wielkości chwili, powinien był albo całe stronnictwo usprawiedliwić, albo też zgłosić się do poniesienia odpowiedzialności. A byłby to piękny austryacki obrazek: sąd nad nieskazitelnym w innych kierunkach ministrem o zdradę stanu. Wielkie chwile dziejowe wymagają wielkich ludzi i wielkich gestów. Tymczasem Głąbiński wydawał mi się małym, coraz mniejszym. Niepytany przez nikogo wygłaszał w Wiedniu oświadczenia o stanowisku demokratów narodowych, niezgodne z prawdą, a ogromnie austryackie, nie polskie. Stronnictwa nie uwolnił od podejrzeń, najwyżej ocalił samego siebie od aresztowania: nie wiem nawet, czy to była jego korzyść.

Gdy Tabaczyński nalegał, odpowiedziałem, że nie znając stosunków ani prądów – bo w więzieniu byłem od świata odcięty – nie potępiam Głąbińskiego, tylko aż do wyjaśnienia sprawy uważam mój stosunek do niego za zawieszony. Nie jest nawet wykluczone, że gdy poznam prawdziwy stan rzeczy, przeproszę Głąbińskiego za podejrzenia i umniejszanie wartości, chociaż są one moją wewnętrzną własnością, którą wyjątkowo tylko Tabaczyńskiemu zawierzam.

Co do osobistej sprawy – jeżeli Głąbiński chciał, mógł ją zbadać i popierać – jeżeli tego nie zrobił z własnego popędu, nie jest godzien listu odemnie. Wolę iść na front niż prosić człowieka, dla którego szacunek mam w zawieszeniu.

I mimo najusilniejszego nacisku oparłem się i listu do Dra Głąbińskiego nie napisałem.

Uległem natomiast natarczywości Tabaczyńskiego i napisałem list do radcy Stasia. Był on również posłem i moim przyjacielem; w czasie wojny został auditorem oberlejtnantem w krakowskim sądzie polowym. Dowiedziałem się, że poruczano jemu śledztwo w mojej sprawie, ale nie przyjął, wymawiając się, że jako mój przyjaciel popadłby w kolizyę ze swojem sędziowskiem sumieniem. Miałem za to do niego żal. Toż stałem już jedną nogą pod szubienicą, a uratować mógł mnie sędzia śledczy. I on znał doniosłość sprawy, a nie przyjął jej, zdając mnie niejako na pełne fale – niech mnie inny zaprowadzi choćby do szubienicy. Tak bał się o samego siebie, że mnie wydał na pastwę wrogów. Urazę więc miałem, pochodzącą z zawiedzenia się na przyjacielu.

Niemniej szukałem i wymówek dla niego. Nie było wykluczone, że jego referat mógł zostać odrzuconym, jako stronniczy: wszak obaj należeliśmy do stronnictwa, które było ścigane w mojej osobie. Wtedy śledztwo mogło być rozciągnięte także na niego, nietylko za należenie do stronnictwa, ale także za nadużycie zaufania

przez nakręcanie śledztwa w mej sprawie. Mogliśmy więc obaj pójść na śmierć. A wystarczyło powieszenie jednego.

Taka dbałość o samego siebie była mi także bardzo przykrą, bo Stasia serdecznie lubiłem, ale brałem w rachubę tę atmosferę strachu, jaką roztoczono w państwie i jego niesilne nerwy. Zmalał mi także w oczach, nie wyglądał na człowieka, który wzrostem duszy dosięgnął wielkości chwili dziejowej – ale wiedziałem również, że w mojej sprawie odbywał przyjacielskie pogawędki z kapitanem Żegaracem i że tym rozmowom zawdzięczać należy wyjście śledztwa z innej strony. Może byłby mnie sam nie zdołał uratować, a przez wpływ na drugiego uchronił mnie od stryczka i kuli.

Najważniejszym jednak argumentem, dla którego napisałem list do Stasia, a do Głąbińskiego nie, był wzgląd, że moja uraza do Stasia pochodziła z przyczyn, obchodzących tylko moją osobę, podczas gdy Głąbiński jako firmant stronnictwa powinien był stosować się do postępowania całości, a więc między innymi i mojej osoby. Przez zaniedbanie tego obowiązku zgrzeszył wobec sprawy publicznej, a nie prywatnej lub osobistej.

Tabaczyński jest nad wyraz zacnym człowiekiem, ale nieco lekkim i pospiesznym. Ukołysał mnie nadziejami, których może z Krakowa nie wywiózł i przedstawił rzecz tak, jakoby było wszelkie prawdopodobieństwo wydobycia mnie z armii. Być może, że gdybym był umiał udawać choroby i zaczął w tym czasie dręczyć lekarzy, a równocześnie rozpisywać listy na wszystkie strony świata z żaleniami na cierpienia, że wtedy nacisk posłów na rząd, a potem nacisk rządu na feldmarszałka mógłby mi był przynieść zmianę na lepsze. Ale ja chorób udawać nie umiałem i nie chciałem. Czekałem na ulgi jako na prawo należne, nie chciałem natomiast łaski, któraby za sobą pociągnęła zobowiązania ~~istotne~~ moralne lub zobowiązania się przez przysięgę, podpis podchwytnego formularza lub coś podobnego. Pragnąłem najmocniej zakończenia sprawy – niechby mnie skazano, ale przez to równocześnie stwierdzonoby, że rząd przez lat pięćdziesiąt okłamywał rozmyślnie Polaków, ogłaszając, że ideały narodowe wolno pielęgnować, a w chwili stanowczej karając śmiercią za wierność wobec tych ideałów.

Niemniej jednak odwiedziny Tabaczyńskiego wyrwały mnie z rezygnacyi i napoiły nadzieją. Każdej chwili wolnej czekałem na wezwanie do kancelaryi, aby usłyszeć, że jestem uwolniony od służby wojskowej; każdorazowe pojawienie się oficera w szopie budziło we mnie bicie serca: oto przychodzi uwiadomić mnie o uwolnieniu. Gorączkowałem się przez kilkanaście dni – a całkiem niepotrzebnie. Nadzieja uwolnienia była jednak najskuteczniejszem lekarstwem na zgryzotę z powodu smutku matki i siostry. Uwolnienie moje ukoi najlepiej ich żałobę.

Nareszcie ~~[illegible]~~ wezwano nas pod magazyn, aby dać wojenny rynsztunek. Przedewszystkiem całe nowe ubranie. Wówczas żołnierz idący w pole miał jeszcze prawo do zupełnego wyekwipowania, jak panna do ślubu. Ubranie było bardzo liche koloru zielonkawego: feldgrün. Spodenki tylko do kolan, spinane sprzączką w przegubie, a na łydki dostaliśmy włóczkowe „sztuce", które u wejścia do trzewików owijało się ~~ze~~ szeroką taśmą tz. „Schneestreifen." ~~Dwie~~ Parę bielizny letniej po jednej sztuce bielizny zimowej, onuce letnie i zimowe, siwy szalik na szyję, opaska na brzuch, kamizelka z futerka króliczego – i kto tam wypowie wszystkie te szmaty i szmatki, w jakie nam się kazano owijać, nie chroniące skutecznie przed zimnem, ale zabierające na ubieranie się niezwykle wielką ilość czasu. Nowe ruksaki i brodsaki przyszły naturalnie. Do tego dwie kołderki, namiot, paliki, przybory do czyszczenia obuwia i do czyszczenia karabinu, nowe czworokątne szalki, cwibak, cztery konserwy, dwie kostki kawy konserwowej,

płyny na odmrożone nogi itp. Zabrać to wszystko było sztuką, ułożyć w tornistrze ~~zagadką, a~~ łamigłówką, a dźwigać trudem nad trudy.

W odróżnieniu od wszystkich armii nowożytnych żołnierz austryacki musi dźwigać na sobie nietylko to czego potrzebuje, ale czego ewentualnie potrzebować może. Mieliśmy iść na skaliste góry, ale każdy dostał łopatkę, a szarżowie siekierki z liną, aby było co dźwigać. Przepełniony ruksak jest przekleństwem żołnierza. Z nim nie rozstaje się w szturmie, ataku, w ucieczce. A gdy się do niego włoży jeszcze 140 lub 200 naboi, trudno go sobie zadać na plecy samemu. Widziałem włoskich żołnierzy w ataku: nieśli tylko karabiny i naboje w torbach. My chodziliśmy wiecznie z całym magazynem na plecach.

„Napisał wielki jenerał Jomini, że koń, nie człowiek, dobrą jazdę czyni." Gdyby ten rozwlekły strategik znał był dzisiejszą armię austryacką, byłby mógł napisać, że naładowany nad 40 kilogramów tornister i porcye rezerwowe czynią dobrą piechotę. Za zjedzenie konserwy mięsnej była kara dwie do sześć godzin wiszenia u słupka, oraz odciągnięcie wartości z ~~ze~~ żołdu. A cena konserwy w czasie mojej służby wojennej rosła od 1 kor do 4 K 60 h.

Z butami był u mnie kłopot. Skoro tylko przyszedłem, dostałem górskie trzewiki o poczwórnej podeszwie, obitej do koła ogromnymi gwoździami zupełnie szczelnie i z gwoździami na ~~środku~~ podeszwie i obcasu. Jeden taki trzewik ważył do trzech kilogramów. Ponieważ pół dnia ćwiczeń w takich butach zerwało mi zupełnie nogi, wróciłem do własnych „polowych oficerskich" bucików: feldmässige Offiziersschuhe. Nie chcąc jednak tamtych dźwigać w ciężkim tornistrze, zostawiłem je pod siennikiem i po powrocie z ćwiczeń już ich nie znalazłem. Doniosłem natychmiast o kradzieży, ale zamiast rozpoczęcia poszukiwań dostałem karę za pozostawianie rynsztunku w koszarach. Później dowiedziałem się od „marodów" pozostających w domu, że feldwebel magazynowy zbiera zawsze po odejściu kompanii wszystkie pozostawione rzeczy, aby je na nowo wpisać do katalogu i sprzedać państwu jego własność, skradzioną jego obrońcy.

Teraz więc nie dostałem butów górskich i szedłem na wojnę we własnych, znacznie lżejszych. Pan magazynowy nie mógł bowiem ponieść ~~zł~~ uszczerbku w niedozwolonych dochodach.

Wkrótce zaprzysiężono nasz batalion. Z przysięgami w Austryi ma się rzecz osobliwie. Czy rząd przyjmuje przysięgę, jako akt wiążący sumienie zaprzysiężonego, czy też nie – tego nie wiem. Wedle sumienia, pojęć religijnych, a nawet prawnych taka przysięga nie ma żadnego znaczenia, bo jest wymuszona. Ktoby chciał się uchylić, dostanie kulkę w łeb. W dawnych czasach, kiedy wojsko składało się z ochotników, miała przysięga wielkie znaczenie honorowe. Było to najszczersze, a dobrowolne przyjęcie na siebie zobowiązań. Teraz jest zabytkiem dawnym, wedle sumienia i religii obrażającym, ale bez moralnej wartości. Zapewne rząd nie ufa strachowi, jaki obudził w żołnierzu przez ogłoszenie krwiożerczych kar na niepostuszeństwo lub zdradę i chce go wzmocnić przez zabobon, licząc na trwogę, jaką w uczciwym prostaku budzi sama myśl krzywoprzysięstwa. Zbójeckim zamysłom cynicznych panów ma przyjść w pomoc uczucie religijne człowieka.

To jednak, co się z przysięgą wyprawia, powinno w każdym, mającym nieco zastanowienia, obudzić właśnie wątpliwości co do religijnego znaczenia przysięgi. Wszak każdy z nas przysięgał już raz, gdy go uznano za zdatnego do służby wojskowej. Minęło zaledwie kilka tygodni od owej chwili. Jeżeli przysięga ma moc wiążącą, duchową, religijną, to to zobowiązanie wiąże człowieka aż do śmierci. Pocóż je powtarzać? Czyżby dawniejsza przysięga nie miała

już wartości? Dlaczego? Wyrazy są też same. Czy może dawniejsza nie ma znaczenia przez jakiś błąd organiczny w ceremonii? Żołnierz tego nie zauważył i restrykcyi mentalnej nie czynił. Jeżeli jednak zachodzą takie usterki, to nasuwa się wątpliwość, który z tych dwóch aktów należy brać poważnie, a który lekko? A jeśli oba mają równą ważność, to po co po raz drugi „wzywać imienia Bożego nadaremnie?"

I powstaje wtedy mocno niereligijne przeświadczenie, że przysięga wojskowa na kształt źle zakorkowanej perfumy wietrzeje bardzo rychło. A skoro tak, to obowiązuje i ta druga na tak krótką metę, jak pierwsza.

Ale w Austryi musi się jednym ciągiem przysięgać. Urzędnik przy każdem przeniesieniu, przy każdym awansie przysięga ponownie i dlatego administracya austryacka roi się od nieuczciwych i nieumiejętnych urzędników. Żaden nadużywający władzy urzędnik nie myśli o przysiędze, którą złożył dobrowolnie w odróżnieniu od żołnierza, a nie myśli dlatego, że rzecz powtarzał regularnie jak gdyby jakąś formułkę ukłonową przy wejściu do salonu.

System austryacki nie zrywa z religią, tylko przez wysługiwanie się nią ciąga ją po błocie i drwi z niej. Dla religii lepszem byłoby prześladowanie.

Otóż na tę przysięgę zebrano cały batalion przed szopą w dzień dżdżysty i brzydki.

Oficerowie przysięgali z kadetami osobno, a żołnierze asystowali przytem z dłonią u daszka czapki. Wiadomo bowiem, że oficerowie nie należą do wojska, lecz jako ulepieni z innej gliny są jego panami. Zapewne i Pan Bóg austryacki, kiedy sądzić będzie dusze o dotrzymanie lub złamanie przysięgi, urządzi ~~w niebie~~ na przedmieściu osobny Vergatterung oficerski i wydawać będzie wyroki na podstawie innych ustaw niebieskich.

Po oficerach rozdzielono żołnierzy wedle narodowości.

O rozczulający obrzędzie! Oprócz tej jedynej chwili nie uznawano w regimencie istnienia języków i narodowości, nie dano nigdy żadnego wyjaśnienia inaczej jak po niemiecku, chociaż byli ludzie władający kilkoma językami. Ja się kilkakrotnie wymawiałem, że wytłumaczę Polakom, Rusinom i Czechom pewne polecenia – zawsze nadaremnie. Przy codziennem zatrudnieniu jest rzeczą pożądaną, aby Polak stał jak głupiec, bo to dodaje Niemcom otuchy do poniżania Słowianina, jemu zaś samemu wdraża przekonanie o konieczności języka niemieckiego i o wyższości rasy niemieckiej: Słowianin powinien być pokorny i posłuszny jako niewolnik, póki się nie zgermanizuje, aby się dobyć z niewoli. Jeżeli przez niezrozumienie wyjaśnień Polak zrobi coś w ćwiczeniach mylnie, i owszem! Gdy ton koszarowy wymaga wrzasków od podoficera, jest rzeczą wyśmienitą, że ten wyładuje nagromadzoną wściekłość pod adresem Polaka, bo głowy niemieckie zostaną oszczędzone: ubija się w ten sposób dwa ptaki jednym strzałem. Wojskowa dyscyplina, polegająca na ujadaniu, zostanie zachowana i różnica między rasą panów niemiecką, a rasą niewolników słowiańską zaznaczona.

Ale w polu mógłby ten głupi Polak wierzgnąć jak źróbek i zamiast bić się o zacieśnienie łańcucha na własnej szyi, przejść do nieprzyjaciela. Należy go od tego powstrzymać, zwracając się do jego uczuć religijnych.

Dlatego przyprowadzono oficerów władających językiem czeskim, polskim, ruskim, nawet rumuńskim i każdy z nich wygłaszał mowę, czytał formułę przysięgi w języku żołnierzy, rozdzielonych w narodowe grupy.

To system krzyżacki. W Prusiech, gdzie postawiono hasło: „Ausrotten" znalazły się w chwili wybuchu wojny polskie książeczki do nabożeństwa dla polskich żołnierzy, gdzie modlitwy zalecały boskiej protekcyi najcnotliwszą dynastyę Hohenzollernów, zwierciadło doskonałości wedle przejrzenia Chrystusowego. Liczono na nowe wydanie Bartków Zwycięzców, których po zwycięstwie zamierzano dalej albo wyrzucić z ojczystego

W Galicji w koszarach!

zagona, albo zgermanizować.

Przysięga wierności jest wielkiem oszustwem wobec Boga i religijnych ludzi. Mniejszem jest msza żołnierska. Byłem w Bernie w formacyi połowej czwarty tygodnie, ale raz tylko odkomenderowano nas na tz. „Kirchengang" albo „Kirchparadę". Wśród zwyczajnych wrzasków, wyklinań i wybuchów wściekłości zgromadzono batalion jeszcze przed świtaniem, zaprowadzono czwórkami do Kościoła i wyszła msza. Muzyka wojskowa — przywilejowy przysmak batalionu bojowego — grała oklepane i nudne melodye, zdaje mi się Haydna, ale nakoniec zadęła i „Gott erhalte". Dusza żołnierza pobożnego ma zwracać się do Boga nie w sprawie własnej, lecz z modlitwą za cesarza, który może z tego Boga drwi i tę wiarę prześladuje, ale niemniej w sercu żołnierskiem nabiera religijnego namaszczenia. Jeżeli już musi się oszczędzać żołnierskie zabobony, należy je wyzyskać dla cesarza.

Ale msza jest tylko pozorem, ustępstwem dla przesądów ludowych. Właściwym celem chodzenia do Kościoła jest defilada.

Po opuszczeniu świątyni zbierają się plutony w dwuszereg i grupują kompaniami. Nie obywa się to bez potępieńczego wrzasku, bez obelg, poszturkiwań i przekleństw, które zapewne nabierają świątobliwego uwielbienia, skoro padają na świętem miejscu. W ten sposób niepoczytalny podoficer z nieczystym pyskiem dostaje kapłańskiego nimbusu, a niemiecka komenda świętości niezrozumiałej łaciny z kanonów. Celem zaś wszystkiego jest oddanie hołdu jakiemuś wyższemu oficerowi. Był nim u nas naturalnie p. Heidrich, bohater, zastawiający własnemi piersiami ojczyznę w Bernie.

Uformowano oddziały, stu dostało kułakiem w bok (przy cywilnej ludności nie wolno bić po twarzy), dwudziestu przeznaczono do raportu, padło kilka tysięcy przekleństw, od których sowitości skręciły się ze skwierkiem przedwieczne wnętrzności matki ziemi i batalion ruszył kompaniami we czwórkach. Znowu na jednej stronie ulicy stanął spieszony podpułkownik, po drugiej znowu muzyka zaczęła grać w kółko jedno trio z ordynarnego marsza, znowu komendanci kompanii wysforowani przed czwórki ruszyli nienaturalnym krokiem, jakoby mieli kolana z tyłu, nie z przodu, znowu zabrzmiała komenda i żołnierze na raz skręcali głowy na lewo, skąd pan Heidrich patrzył po sokolemu z miną nadąsanej prostytutki. Wszystko tak jak zawsze.

W ten sposób oddaliśmy raz w miesiącu hołd, ale komu? Nie Panu Bogu, tylko panu Heidrichowi. Pan Bóg był tylko przyczepką do p. Heidricha. I tu uważ pobożny chrześcijaninie, o ile najwyższym na niebie i na ziemi musi być sam pan cesarz, skoro takiemu zeru, takiej cesarskiej jednodniówce jak podpułkownik musisz oddawać cześć okazalszą niż Panu Bogu. A oddajesz mu ją nie raz na miesiąc, jak swojemu Stwórcy, ale często, ilekroć jemu się spodoba, ponadto zaś z reguły zawsze równocześnie ze czcią, oddawaną Bogu. Zachodzi bowiem obawa, że przez twój „beschränkter Untertanenverstand" gotów byś przy okazyi pobytu w Kościele zpostponować w swojem sercu pana Heidricha wobec Pana Boga.

O potrzeby religijne dba się w wojsku bardzo. Przed wyruszeniem na front odkomenderowano nas do spowiedzi i Komunii gdzieś o piątej rano, co w zimie jest jeszcze głęboką nocą. Nietylko plutonowi, ale i jeden patryotyczny kapłan, chodząc jako szpieg po Kościele, pilnował, aby wszyscy przystąpili do trybunału pokuty i do stołu Pańskiego. Taki bowiem jest „befel". A gdy oczyszczeni na duszy i pełni Boga, bo nakarmieni Bogiem żołnierze opuścili Kościół, znalazł się i p. Heidrich pod Kościołem i odbyła się naturalnie defilada. Jeżeli przez Komunię Bóg zstępuje w człowieka, tedy ośmiuset pełnych bóstwa ludzi, razem z zamieszkałym w ich wnętrznościach Bogiem naciągało nogi, waliło butami w bruk i zawracało twarzą

i otrzyma na cześć p. Heidricha. „Naciągnij się! naciągnij bydlaku! Zwrot w prawo na raz! Uderz! Uderz kopytem!" „Nie bój się! Jak złamiesz nogę, dostaniesz nową z magazynu."

Osiemset prawie ludzi oczyszczonych na sumieniu oddawało hołd człowiekowi, który może właśnie wrócił na pół pijany z lampartki – ale ten człowiek był aż podpułkownikiem: „oberstleutnant", a to więcej znaczy niż hufiec cherubinów.

Na wilię urządzono nam gwiazdkę. Panie linckie, tak opowiadano, sprawiły prezenty dla swego domowego pułku.

Pod jedną ścianą skośną szopy ustawiono długi stół, a na nim poukładano numerowane pakieciki. Ścianę całą wybito austryackiemi chorągiewkami i gałązkami jedliny, a w środku naturalnie portret cesarza. Oficerowie zebrali się przy stole, oświetlonym elektrycznie, a jeden wygłosił mowę, której treścią było, że dla człowieka nie ma wyższego celu na świecie, jak dać się zarżnąć i okaleczyć za cesarza. Stłoczone bractwo śpiewało potem „Gott erhalte". Czy jesz, czy pijesz, czy śpisz, czy tęsknisz za rodziną i stroną ojczystą, czy święcisz pamiątkę przyjścia Zbawiciela na świat, zawsze i wszędzie pierwszą i ostatnią myślą twoją musi być cesarz.

Dla czego? Czy nam co przysłał na gwiazdkę bodaj? Ech! to nie. Czy może, skoro mu żal własnych pieniędzy, wyznaczył z funduszów państwowych, czyli naszych własnych, coś, aby starym dzieciom w ten pamiątkowy dzień wyznaczyć jakąś rozrywkę lub niespodziankę? I to także nie. Wojna ciągnęła się już zbyt długo, kasy pustoszały, więc żołnierzom zaprzestano urządzać niespodzianki.

Żołnierz miał dać się zabijać, bo tak cesarz chce i koniec. Żołnierz ma się poczuwać do wszystkich obowiązków, ofiar, zaparć się wobec cesarza, gdy cesarz wobec niego nie poczuwa się do żadnej wzajemności, bo takie jest właśnie urządzenie, taki porządek na świecie i koniec.

Po mowie wywoływano żołnierzy imieniem i nazwiskiem, aby każdemu wręczyć zwiniętą w rulonik kartkę z numerem. Rozumie się, że z powodu ścisku nie obeszło się bez niezdrowych wrzasków, wygróżek, obelg, przyczem oficerowie patrzyli piorunująco z pianą na ustach. To należy do porządku.

Trwało to bardzo długo, zanim rozdano z górą siedemset karteczek. Następnie brano jeden pakiet za drugim i odczytywano numer na nim wypisany, a właściciel kartki z tym samym numerem miał się zgłosić po odbiór podarka. Teraz zamieszanie nie miało granic, to też i wściekłizna przełożonych dochodziła do konwulsyi. Kłopot był z Polakami i Rusinami, którym musiałem wbijać w pamięć niemieckie brzmienie numerów, aby się mogli w porę zgłaszać.

Ja dostałem fajeczkę, paczkę tytoniu fajczanego i pudełko zapałek. Nie było już podarków droższych, urozmaiconych lub obfitych. Ludność cywilna, która z początkiem wojny obsypywała żołnierzy podarkami przy wszystkich sposobnościach, a nawet bez sposobności, była już wyczerpana i sama zaczęła odczuwać braki. Inni dostawali nici, guziki, świece, rzadziej orzechy lub kawałek czekolady. Olbrzymia większość byłaby wolała nie dostać żadnych podarków, ale też i nie stracić tyle czasu pod przymusem, zamiast go zużytkować dla użycia resztek swobody. Gniewało ludzi najwięcej to, że prawie do każdego pakieciku były dołączone kartki pocztowe, z drukowanym już adresem ofiarodawcy, który w ten sposób dopominał się o podziękowanie. Być może, że tych pakietów było pierwotnie znacznie mniej, ale za to zawierały więcej treści – w takim razie nie żal było wojakowi dziękować, skoro sobie ocukrzył usta i wypchał tobołek. Ale domaganie się wdzięczności na piśmie za drobnostki, których się miało ochotę nie przyjąć, wyglądało na brak wstydu u ofiarodawcy. Przeklinali też żołnierzyska nad miarę, ale tylko niektórzy odpisali w romansowej nadziei, że zawiążą jakąś interesującą

znajomość.

~~Śpiew jeden wogół, stanowiący w życiu żołnierskiem urozmaicenie tak wielkie, i~~

Widziałem, jak Polacy i Rusini chodzili osowiali. Nie taka gwiazdka chodziła im po głowie i nie taka wilia. To też zebrałem, ilu się dało, w naszym kącie, zafundowałem kilkanaście flaszek piwa i nieco sardynek i wezwałem do kolendowania.

O nieśpiewny polski narodzie! Dlaczego mamy tak oryginalne, tak fascynujące melodye i dlaczego nikt ich śpiewać nie umie? Nie umiałbym nawet powiedzieć, czy lubimy śpiewać czy nie. Polak w młodszym wieku, gdy pracuje, idzie, gra, musi nucić lub gwizdać – widocznie lubi śpiew. Tymczasem, w towarzystwie Polacy nie śpiewają tak jak inni Słowianie albo nawet i Niemcy, chyba że sobie podchmielą. Śpiew więc nie jest ich potrzebą jako środek do wywołania pewnego nastroju, pewnych wspólnych uczuć, lecz jest tylko oznaką podochocenia. Gdy chłopiec wiejski w cudny poranek dosiędzie konia, aby jechać w pole lub na pastwisko, gdy młody drwal rozrusza się zimną w lesie i krew w nim grać pocznie, gdy studenci zasiędą wagon, jadąc na wakacye, gdy młodzież uwiędza wycieczkę, gdy parobek idzie ku wybranej dziewczynie – muszą śpiewać. Ochota rozpiera im piersi i przejawia się w śpiewie. Jest więc ten śpiew wynikiem podniecenia, choćby tylko przez szybszy chód wywołanego, ale nie jest środkiem wspólnej radości, sposobem do wywołania wspólnego nastroju, nie jest potrzebą artystyczną. Stąd w intelligentnych domach chce się śpiewać dopiero po pewnej ilości podchmielistego alkoholu. Jest to bowiem śpiew wybuchowy. A ponieważ temperamenty są różne, więc i śpiew nie jest nigdy zharmonizowany, zgodny. Zaledwie śpiewacy, ćwiczeni, śpiewają zgodnie – ale tylko nuty, ujęte w nuty i w harmonię. I stąd znowu wynika, że Polacy, śpiewający w sposób nieco tylko kulturalny, śpiewają obce nuty, a nie swoje. Jest nieocenioną zasługą Galla, że zharmonizował wiele polskich pieśni ludowych i dał bodaj tym nielicznym adeptom nut pisanych pokarm swojski, zeutywniony drukiem w stałą formę.

Bo inne nuty, nawet najmelodyjniejsze kolendy, śpiewa każda parafia trochę inaczej, a w każdej parafii znowu każdy odkolnik przystosowywa melodyę do swego niewyćwiczonego głosu.

Prawda, że polskie melodye, jako skrajnie indywidualistyczne, nie nadają się do naturalnego wtórowania. W ruskiej melodyi nawet nieśpiewak znajdzie swoją tercyę i wtóruje, bo melodya niejako sama się o wtór dopraszа. Polskie melodye przeważnie można śpiewać tylko unisono i chyba bardzo wytrawni muzycy dobiorą do nich akompaniament stosowny, ale ten będzie już dziełem sztuki i wielkiego znawstwa. Słyszałem jedynego organistę śp. Gąsiorowskiego w Sieniawie, który z akompaniamentu do „Gorzkich żalów” wyprowadzał efekty, jakim równych nie zdarzyło mi się słyszeć. A był to niepozorny człowiek, ale naprawdę muzyk z Bożej łaski.

Otóż zeszli się chłopcy: parobcy wiejscy, terminatorzy stolarscy, szewscy, rzeźnicy z różnych stron Galicyi i próbowaliśmy kolendować. Z wyjątkiem trzech czy czterech, oklepanych już przez organy całego kraju, okazało się, że żadnych więcej wspólnych kolend nie znamy. Ja umiem melodye może stu kolend, ale zaledwie przy każdej trzeciej znajdowałem jednego lub dwóch, którzy ją znali i przy każdej takiej innych. Nie dało się wiele wskórać. Krakowiacy Kozieczcie chcieli odrobić swoją operkę: „Pasterzu! czy widzisz tam? ot tam?” chociaż żaden jej nie umiał. Przyczeliśmy więc nieco,

na urągowisko polskim Kolendom i ku złośliwej radości Niemców.

Położenie stało się przykre i kłopotliwe. Toteż po licznych, prawie zawsze nieudałych próbach, zaproponowałem rozejście się. Ale to zaszło coś, co mnie zabolało mocniej niż policzek. Jeden ze współrodaków zawrzasnął: „Boże wspieraj."

Czy już nawet wilii nie zdołamy urządzić bez austryackiej obroży?

Niestety! Trzeba było przybrać minę „stramm," bo jakiekolwiek słówko lub gest mogły człowieka zaprowadzić pod szubienicę. Odryczeli ten hymn; ja uczyniłem minę: „Habt Acht!" i pary nie puściłem z zaciśniętych ust, ale policzki gorzały mi ze wstydu. Taka była nasza wilia.

W jakiś czas zapowiedziano nam, że należy się przygotować do odejścia. Lada dzień bowiem przyjdzie rozkaz: „Marschbereit!"

Urządzano więc zebrania Kompanii, albo i całego bataljonu i odczytywano rozmaite wskazówki. Idziemy w pole. Odtąd nie wolno podawać nazwy miejsca i kraju, w którym będziemy. Nasze miejsce pobytu nazywa się „Feldpost 53." Nie wolno pisać listów, tylko urzędowe kartki polowe niemarkowane – zato ma się prawo otrzymywać korrespondencyę niefrankowaną. Odtąd obowiązuje ślepe posłuszeństwo, bo każdy oficer ma prawo zastrzelić żołnierza bez dochodzenia i bez zdawania nawet sprawy ze swojego postępku. W ogniu zaś ma to prawo każdy „szarża."

Było tych nakazów dosyć i znowu rzecz znamienna, że je tłumaczono dla innych narodowości.

Wreszcie 28. grudnia zapowiedziano, że „Marschbereitschaft" zapewne będzie ogłoszona na Nowy Rok. Kto ma pisać testament, niech pisze – kto ma rzeczy odesłać, niech odsyła, bo z sobą bierze się tylko to, co się zmieści w plecak i w chlebak.

Zaczęło się więc pakowanie rzeczy w kuferki i skrzynki, oraz odsyłanie do domu. Zapanował nastrój rozpaczliwy. Chłopcy snuli się jak cienie, mając ochotę popłakiwać. Niektórzy poszli do spowiedzi – ale łobuzy krakowskie prosto po spowiedzi odwiedzali domy publiczne. W chwili wolnej czytano w książeczkach do nabożeństwa. Tylko ten i ów przerywał modlitwę uwagą, zwróconą do sąsiada, o zaletach lub wadach poznanej wczoraj prostytutki.

Ja doznałem radości na skutek owego ogłoszenia i to radości niezamąconej. Ciągnęła mnie do ognia ciekawość. Jak to wygląda w polu, co to są okopy, ataki i odwroty, jak padają wszelkie owe pociski o cudzoziemskich nazwach? Pragnąłem raz przecie to zobaczyć. Ponadto dziecinny jakiś wstyd, gdy wszystko idzie w pole, kazał mi tam ciągnąć. Nie wyobrażałem sobie, jakbym po wojnie śmiał się pokazywać na oczy ludziom, którzy przeszli owe okropności, a może żądać od nich, aby słuchali moich wskazówek i rad, kiedy oni przeszli ten chrzest ogniowy, a ja kryłem się gdzieś za piecem. Mogę między ludźmi stanąć po wojnie na stopie równości, gdy będę mógł powiedzieć, że dzieliłem z nimi złą i dobrą dolę, gdy mi nikt nie zdoła zarzucić tchórzostwa.

Ponadto zapowiadała się odmiana jakaś. Życie żołnierskie było mi nad wyraz nieznośne. Mimo ciągłego filozofowania nie potrafiłem wyrobić w sobie obojętności na owe ciągłe wrzaski przełożonych; nie pojmowałem celu dyscypliny, która mi się przedstawiała jako środek do punktualnego przeprowadzenia rozmaitych planów wojennych, gdy tymczasem w praktyce wojska austryackiego była ona sama dla siebie celem. Owe marsze bez celu, od których drętwieją nogi i bolą plecy, owo idyotyczne powtarzanie obrotów i manekinowych „gwergryfów" tak mi się przyjadły, że tylko zacięty upór powstrzymywał mnie od rozpłakania się nad własnym losem. Skończą się więc owe pospieszne ranne zbierania się i owo bolesne pytanie, jakie też nowe

a bezsensowe udręczenie czeka stare kości.

Mimo filozofowania nie wykorzeniłem w sobie obrzydzenia do brudu. A brud też jadł nas po prostu. Gniliśmy na przebłoconych siennikach w przemokłem ubraniu, leżąc na podłodze, na jakiej galicyjski chłop nie śmiałby świni trzymać. Rozumiałem, że w polu lepiej nie będzie, ale tam lepiej być nie śmie i nie może. Tam jest mus. A tutaj tego musu nie ma. Dlaczego umieszczono nas w ciemnej, błotnej, gnijącej starej fabryce, gdy tyle gmachów rządowych stoi pustką w Bernie? Dlaczego każą nam prowadzić życie tak niezdrowe, skoro moglibyśmy urządzić się hygienicznie?

Wszyscy żołnierze kaszleli tak okropnie i głęboko, że zdawało się dobywali te rzechoty z dna swoich wnętrzności. Poco? Czy oni muszą rozchorować się tutaj dla fantazyi Komendy, bez żadnej potrzeby? Bo w polu co innego — tam jest konieczność, więc można nie zważać na hygienę. Ale trzymać ludzi w niechlujstwie i najpodlejszych warunkach, aby w pole poprowadzić kaleków, to już sensu nie ma.

A jednak tak było. Okropnie było obudzić się w nocy i słyszeć te różnorodne grzechoty kaszlu, ciągłe, nieustające, stokroć gorsze od kaszlu, jaki się słyszy w zimie podczas kazania w kościele.

Wogóle praktyczne wychowywanie wojska w Austryi wydawało mi się niedorzecznością i dziwolągiem. Rad byłem więc, że idę w pole, gdzie wszystkie owe braki nabierają sensu o tyle, że ich żadną miarą usunąć nie podobna.

Wstydziłem się tej radości. Mając wrodzoną pogardę dla zawodu żołnierskiego, chciałem ją w sobie zgłuszyć uprzytomnieniem, że wypływa ona z wrodzonej żyłki do żołnierki, a więc z podłoża niegodnego cywilizowanego człowieka. Ponadto przypominałem sobie, że w polu trzeba będzie znosić trudy stokroć gorsze, marsze znacznie uciążliwsze — a co najgorsza, że idziemy do pola w zimie, ja zaś jestem rzeczywiście wielkim zmarzluchem. Przy niewielkim ruchu pocę się jak ruda mysz, ale bez ruchu marznę na kostkę nawet w podwójnych futrach. Wszystkie te jednak rozumowania nie przełamały, ani nawet nie osłabiły radości, jaką odczuwałem z tego powodu, że raz przecie idziemy w pole.

Będąc dosyć zabobonnym, tłumaczyłem też sobie, że ta radość jest prowokacyą wobec losu, że więc niezawodnie zginę na wojnie — a śmierci nie pragnąłem — niemniej i ta chytrość myślowa nie przydała się na nic. Zanotowałem też w zapiskach: „Zresztą mam usposobienie głupiego dzieciaka, który z ojcem po raz pierwszy jedzie do miasta: wygląda z ciekawością i cieszy się. Wszystko mi jedno. Jutro spiszę testament. Poproszę o wolne przy raporcie. Ale nogi bolą aż okropność: a jednak idę na wojnę."

Z tem uwolnieniem była trudność. Pan Kadet Rötzer nie mógł zrozumieć, poco potrzebuję aż całego dnia. Powiedziałem, że mam dużo rzeczy, bo mnie powołanie do wojska zaskoczyło niespodzianie i nie w domu. „Jakto? Więc Pan jeździłeś do Bad Hall — mimo wojny — z całą garderobą, ażeby na deptaku imponować gapiom coraz innem odzieniem? I to w czasie wojny!" Tłumaczyłem, że jestem po części podobny do uciekiniera, który zabiera z sobą wszystko, co może. Ale i powołanie się na Tarnopol, który jest „ununterbrochen in russischen Händen" nie przekonało owego nowożytnego rycerza-zakonnika, więc aspirant Kranzl dał mi z rzędu dwa popo-

Induia wolne, a tak mogłem i moje walizki wyekspedyować i kufer, oraz futro, które się znajdywało u Kochanki Kaprala Edera. „Bitschoffsky" wysłał to wszystko do Tabaczyńskiego, który też dostał i mój testament. Zapisałem spadek materyalny siostrze, a polityczny Rymarowi i Podgórskiemu.

Nareszcie dnia 3 stycznia 1916. zebrano batalion wśród wilgotnej mgły na dziedzińcu i ogłoszono: „Marschbereit." Odtąd nie wolno aż do odejścia opuszczać Koszar. Wzmocniono straże, ale do Kantyny nie zabroniono chodzić. I znowu zanotowałem w zapiskach: „Tak swywolnie wesołym nie byłem nigdy. Miałbym ochotę płatać psoty. Wyzywam się od brzdąców, ale figle trzymają się dalej."

Komendant batalionu oberleutnant Gänser wezwał przed siebie wszystkich jednorocznych, z wyraźnem zaznaczeniem, że bez względu na stopień. Musiałem więc i ja stanąć, chociaż dotychczas tego nie robiłem, bo wyraźnie nie zaznaczano, że potrzeba i szeregowców.

Czy naprawdę nie wiedział, com za ptaszek, czy tylko udawał, nie wiem. Dość, że się mnie wypytywał, dlaczego nie byłem w oficerskiej szkole i dlaczego nie mam szarży. Opowiedziałem wszystko i dawałem otwarte wyjaśnienia na wszystkie pytania uboczne. Udał zdziwionego i zainteresowanego, a po namyśle powiedział, że zasięgnie zdania władz politycznych, a gdy te pozwolą, zamianuje mnie kapralem w tych dniach. Gdy to się stanie, zrobi mnie w polu Kadetem, chociaż nie mam szkoły oficerskiej, do której będę mógł potem chodzić jako kadet.

Nie bardzo mnie te obietnice rozczuliły. Po niedotrzymanych zapowiedziach oblt. Kleina nie wierzyłem drugiemu oberleutnantowi. Co prawda byłem ciekawy, czy zostanę Kapralem, czy też nie, bo to Kapralstwo byłoby dowodem, że władze austryackie cofnęły rozciągniętą nademną banicyę, że więc pozwalają wrócić mi w szeregi wszystkich obywateli, nie wyjętych zpod prawa. Nie wiele jednak mogłem przykładać wagi do tych nieproszonych przyrzeczeń, albowiem wiedziałem, że Komendant batalionu nie ma prawa do mianowania Kadetów.

Gdyby jednak zapewnienia Gänsera miały się spełnić, postanowiłem sobie użyć wszystkich możliwych dróg, aby uzyskać pełne zadośćuczynienie za wszystkie prześladowania, pisać memoryały, podania, chodzić do raportów i używać dróg ubocznych. Postanowiłem narobić w danym wypadku tyle hałasu koło swojej osoby, żeby poprostu wszędzie otoczyć swoje imię paniką.

Wszelako nie wydawało mi się to wszystko prawdopodobnem. Germanizacyjny kierunek szalał w Austryi, zależność od Prus stała się całkowita i nie widziałem danych do równouprawnienia Polaka. Takie równouprawnienie byłoby zwrotem ku wręcz odmiennemu systemowi politycznemu, który wymagał innych osób. Tymczasem marszałek polny Fryderyk używał dalej wszechwładzy, hr. Stürgkh nie myślał porzucać stołka prezydyalnego, cesarz Franciszek Józef podpisywał wszelkie życzenia hr. Tiszy — gdzie zapowiedzi zmiany?

Po południu w przeddzień odjazdu jeszcze się pakowano, poczem rozpoczęła się pijatyka. Jednoroczni cugsfirerzy zostali aspirantami, więc oblewali nową godność. Nasz Knocklinger dostał takie jajecznicę na kołnierz. Śpiewy niemieckie, im później tem więcej pijackie, zagłuszały strach, który się malował w oczach młodzieży.

V. Odjazd w pole.

Dnia 4 stycznia 1916. było jeszcze ciemno, kiedy obładowani wszystkiemi manatkami, jakie kto posiada, stanęliśmy w szyku na dziedzińcu cukrowni. Muzyka stała u bramy, aby nas odprowadzić na kolej.

Czyste, głęboko szafirowe niebo, zaczerwieniło się pożarowo na wschodzie, gdy ozwał się dyszkant Gänsera:

„Bajonn.' Habt Acht!" „Doppelreihen rechts-um!" „Bajonn.' Marsch!"

Huknęły sakramentalne cztery uderzenia w wielki bęben, muzyka zadęła marsza – ruszyliśmy. Przed każdą kompanią oficerowie pieszo, opasani rzemieniami, a rewolwerami przy boku; przed plutonami kadeci i aspiranci, również w rzemieniach.

Żołnierze obładowani jak bydlęta juczne, poozdabiali czapki w kwiaty, medaliki, blaszki, plakiety – szarżowie obok czapek strojnych poprzypinali mocne bukiety do piersi poza pasy od plecaków, a wielu powtykało kwiaty za patrontasze i pasy. Ponieważ w przeddzień wyszedł rozkaz ustrojenia czapek w trzypalczystą gałązeczkę jedliny, więc i ja niosę z dumą to odznaczenie polowe. Oprócz tej choinki za rozetą i oprócz posrebrzanego sterczyka na lewej stronie czapki, który jest przepisaną odznaką 14. Korpusu, nie mam ~~nic~~ żadnego innego stroju. Chłopcy chcieli mi użyczyć kwiatków, ale nie przyjąłem. Nie przypiąłem też żadnej kokardy. A Niemcy aż gorzeli od czarno-czerwono-żółtych kokard i wstążek. Czesi chcieli również przypiąć swoje czerwono-białe farby, ale im pod groźbą zakazano. Polscy chłopcy chcieli koniecznie mieć także jakieś wstążeczki, a gdy biało-amarantowe przypominają zakazaną czeską barwę, przychodzili wczoraj do mnie po radę. Zalecałem nic nie brać, a w razie uporu czysto austryacką wstążkę czarno-żółtą. Większość Polaków nie miała więc żadnych wstążek – ale byli i tacy, którzy się wystroili. Najparadniej wyglądał gefreiter Leśniak. Bukiety sterczały mu na czapce jak pióropusze – zwieszały się wstążki wszechniemieckie i austryackie z czapki i z lufy karabinu – kwiaty na piersiach, ramionach i w pasie. Żadna wiejska panna młoda i żadna przodownica żniwiarek pod wieńcem nie spożytkowała tylu ozdób co on.

Przy przejściu przez bramę żołnierze zaczęli pokrzykiwać: „Hurra!" Górale przypomnieli sobie swoje pohukiwanie „Joddeln" i zaczęli wypiskiwać przeciągle – wrzask i harmider już nie zamilknął na długo.

Weszliśmy w miasto. Krzyki i muzyka przyciągnęły mieszkańców do okien, a ~~pa~~ ranni przechodnie stawali na chodnikach. Na widok ludności cywilnej wrzaski ~~podwo~~ wzbijały się huraganowo. Wszystkie okna zapełniły się głowami dziewcząteк, babul, mużyjów, a wszyscy wołali: „Heil, heil" potrząsając rękami lub chustkami. Tu i ówdzie jakaś staruszka przykładała do oczu pożegnalną chusteczkę. Więc żołnierze, trzymając ściśle krok, podnosili z głów czapki i powiewając niemi nad głową, „heilowali" na odbitkę. Wskutek poruszenia krwi wzbudzał się w szeregach zapał. Od połowy drogi przez miasto rzeczywisty entuzyazm ogarnął ludzi.

Czasami panienka z dużym bukietem przypadała do szeregów i wybrawszy [illegible] najzuchowatszego, wręczała mu kwiaty. Szczęście to spotykało najczęściej jednorocznych kaprali. Widocznie karne niemieckie panny nie śmiały

nawet kwiatów wręczać dygnitarzom wyższym, ażeby nie urazić subordynacyi. W jednej ulicy zasypano nas kwiatami z okien, w innej rzucano papierosy, o które brać biła się jak zgraja dzikich zwierząt, niszcząc na chwilę zupełnie porządek.

Ja szedłem wesoło, a powoli wrzaskliwy ~~naród~~ nastrój zaczął i mnie chwytać. Mało brakowało, a byłbym fikał czapką nad głową i hajlował. Musiałem mocno panować nad sobą, ażeby się nie dać porwać ochocie, chociaż żadna panna nie ofiarowała staremu gemajnie kwiatów.

Miałem jednak i ja swoje pożegnanie. W jednym niewielkim domku stały na progu dwie babulinki biedne i ocierając oczy, żegnały nas krzyżem. Jedna zawołała:

– Z Bohem!

– Z Bohem! Maticzko! – wrzasnąłem i zacząłem wywijać czapką, jak waryat. Wnet jednak wojskowym sposobem „podaj dalej" przyszedł do nas rozkaz: „~~[illegible]~~ Alle Ausrufe in nicht deutscher Sprache verboten"!" Ale drugiego czeskiego pozdrowienia już nie słyszałem, więc obawy o niemieckość regimentu okazały się płonnemi.

W ten sposób doszliśmy do „Grosser Platz" dziś „Franz-Josef-Platz". Ustawiono nas dwurzędami w trójkąt (co się jednak nazywa kwadratem carré) obok figury Matki Boskiej, przed którą stał ołtarzyk z jednym stopniem.

– Bajonn! Habt Acht! – Bajonn! Beim Fuss! – Gruchnęło 950 kolb w bruk, poczem „Rut".

Plac był otoczony z rzadka rozstawionymi żołnierzami z kompanii zapasowej, ~~[illegible]~~ między którymi zauważyłem Mały'ego. W środku naszego trójkąta ~~[illegible]~~ znalazło się kilku wyższych oficerów, między którymi zauważyłem podpułkownika Heidricha. Chociaż nie szedł w pole, nie wziął dzisiaj czarnej kappy oficerskiej, lecz siną, polową, skrojoną na kształt infanteryckiej. Miał też i pałasz siny.

Nie jestże to kabotyn z dziewięciorzędnej „szmiry"? Nie idzie w pole, ale wdziewa kostyum polowy jak aktorka, albo jak cesarz Wilhelm, dlatego, że my idziemy w pole. Przy nim siny Jänser bez pałasza, w rzemieniach i w rzemiennych kamaszach. Czapki spod kwiatów nierozeznać, bukiet u piersi, bukiety za pasem, nawet za poprzecznym przez ramię rzemieniem od lornety bukiet większy niż dostaje primadonna na scenie. W ręku szabla niedłuższa od noża: feldmässig.

Nareszcie od kościoła św. Jakóba ozwały się dzwonki. Szło kilku kleryków w komżach, ze złoconym krzyżem na czele, potem kilku księży w komżach, wreszcie biskup Paweł Huyn bez infuły, niósł jakoby szklanny relikwiarz, w którym zamiast kości męczennika była hostya. Taką monstrancyę ujrzałem pierwszy raz w życiu.

Jänser zaczął szablą wywijać, wreszcie zadyrygował:

– Bajonn! Habt Acht! – Bajonn rechts, links schaut – Bajonn zum Gebet!

Przyciągnąwszy lufy stojących karabinów do piersi, przyłożyliśmy lewe dłonie do czapek i śledziliśmy oczyma za biskupem. Procesya doszła do ołtarzyka, na którym umieszczono Sanctissimum, które biskup adorował i okadzał.

– Bajonn vom Gebet! była komenda.

Biskup stanął przed ołtarzem i wygłosił kazanie po niemiecku. Było to wykrzykanie się sianem. Idźcie, spełnijcie swój obowiązek, wobec ojczyzny, wobec cesarza, bądźcie waleczni, czyści w sercach, miejcie nadzieję i wiarę w Boga, to Bóg wam pozwoli wrócić szczęśliwie, a gdy który polegnie, to go przyjmie do chwały Bożej itd.

Hrabia Huyn pokazał jednak smak dobry. Ani jednego wezwania do dzikości i mordu, jakimi rozbrzmiewają inne „patryotyczne" kazania, ani jednego

słowa nienawiści lub pogardy dla wroga. Skoro religia zeszła na służebnicę samolubstwa monarchów, musiał biedak coś powiedzieć, więc zachęcał do spełnienia obowiązku. Ale w tem opuszczeniu zachęty do mordowania był dobry smak, który religii nie poniża do roli stryczka w ręku Kata.

Widziałem i słyszałem tyle podłości, że ten pierwszy objaw braku poniżenia chwycił mnie za serce. Mam szacunek dla biskupa Huyna, który zapewne nie zostanie austryackim ekscellencyą.

Po kazaniu znowu Komenda:

– Bajonn Habt Acht – Bajonn Kniet – Bajonn Kappe ab.

Uniżyło się wszystko jak łan zboża pod wichrem, zniknęły strojne czapki, a na ich miejsce okazały się świecące łysiny, przeszedzone siwe włosy, lub bujne czupryny z kłęczących. Pan Heidrich trzymał rękę u daszka czapki, ale naturalnie nie klęknął. Przecież tak wysoka figura, nawet Pana Boga klepie po kolanie, kiedy z nim rozmawia.

Biskup wśród ciszy błogosławił monstrancyą dookoła.

A kiedy procesya biskupia wśród brzęku dzwonków odnosiła Sanctissimum do Kościoła, nam kazano przyjąć pozycyę: „Zum Gebet" i muzyka zadęła „Gott erhalte." Nie zapomnij żołnierzu, że nie dzieckiem Bożem, ale cesarskiem ścierwem jesteś. A tu pan Heidrich napiął się jak struna, rękę przy czapce wyprężył jak łuk i oczy wytrzeszczył, grając na wzór Kabotyna entuzyazm, zachwyt i bohaterskość. „Für den heissest geliebten Kaiser" odda życie w ofierze,... ale w Bernie.

Był już ładny dzień, kiedy sformowani w kolumnę pochodową ruszyliśmy na kolej. Trotoary nabite publicznością, okna zapełnione głowami jak gniazda jaskółcze, krzyk, wrzask nie do opisania. „Heil" „Hurra", a od czasu do czasu: „Nieder mit Italien" „Auf den Galgen Viktor Emanuel", „nach Venedig", „nach Rom" itp. Nagle ktoś dał czy sprzedał mnóstwo chorągiewek papierowych w kilka pasków czarnych i żółtych i wnet wszystkie lufy karabinów (oprócz mojej) ustroiły się w ten emblemat. Latały czapki żołnierskie do góry, sypały się kwiaty, wstążki i chorągiewki na żołnierzy.

Mały potrafił jakoś wymknąć się ze swego stanowiska i przyłączył się do mnie, aby pogadać i pożegnać się. Niech Bóg błogosławi poczciwego chłopca. A swoją drogą jest to ironia: on wyćwiczony jak maryonetka żołnierz, w wieku liniowym, zostaje w domu, a ja stary bez należytego ćwiczenia idę na front. Radziłem mu, ażeby jak najrychlej rozpoczął starania o dostanie się do własnego pułku i o dopuszczenie do szkoły oficerskiej. W ten sposób odwlecze swoją służbę polową na dłuższy czas – a może i wojna się skończy tymczasem.

Plac przed dworcem zamknięto dla publiczności. Musieliśmy zamilknąć i uporządkować szeregi, bo przed dworcem stanął i jenerał Pöschmann i podpułkownik Heidrich: będzie defilada.

Oto idziesz żołnierzu na śmierć, ale i na tej drodze nie śmiesz myśleć, że jesteś człowiekiem. Masz okazać tylko psią stronę twojego powołania i jak pies wierny, niemo, ale posłusznie patrzeć w oczy pierwszego lepszego trutnia, który ma więcej gwiazdek od ciebie. Ten pomadrony pan twojego życia pójdzie teraz do kawiarni wypo-

czę, bo zerwał się za wcześnie ze snu, aby być na ceremonii (co za usłużliwa służba), ale gdy nie będziesz dobrze nóg naciągał, każe się tymczasem uwiązać do słupka.

Zawsze mnie parya zbierała na defiladę, ale teraz przedstawiła mi się jako urządzenie potworne. Ci dwaj oficerowie wydali mi się dostawcami ludzkiego mięsa: sklecili jeszcze jeden batalion, aby załatać dziury w pułku i przysyłają ludzkie bydło na rzeź, każą przed sobą defilować, aby zobaczyć towar.

Przed peronem pustej stacyi stał pociąg ciężarowy, złożony przeważnie z małych węgierskich wagonów bydlęcych. Żołnierz przecież nie może jechać wagonem osobowym. Wrota wagonów otwarte na oścież i ubrane w zieleń i w chorągiewki. To jest poezya międzynarodowej rzezi. Pomosty z desek, z listewkami, zastępującemi stopnie schodów, prowadzą do wagonów. Że tu i ówdzie brakuje listewki, głupstwo: któżby o takich drobiazgach myślał.

Na peronie zaczął się wrzask, krzyk, przekleństwa. Nikt nie pomyślał w jakim porządku mamy być zamagazynowani. Stąd bieganina i kotłowanina. Nieudolność przywódców maskuje się wściekłością wobec prowadzonych. Szeregi rozlatują się. Jedni wsiadają, drudzy wysiadają. Wreszcie garść Polaków chwyta mnie i zaprasza, żebyśmy usadowili się razem. Tłoczymy się więc do jednego wagonu, a gdy nas już około dwudziestu znalazło się pod dachem, a inni dochodzili, przypadł jakiś aspirant, wrzeszcząc:

– Was ist?

Któryś z żołnierzy otworzył gębę po polsku.

– Wiederum diese verfluchte Pollacken! Eine Bande, vermaledeite Viecher, hinaus!

Wychodzimy więc z powrotem, ale choć mnie Szatkowski mocno zapraszał do towarzystwa, wolałem odszukać swój pluton, aby się nie narazić na grubijaństwa. Trwało to więcej niż pół godziny. Wreszcie począwszy od maszyny zaczęto tłoczyć tak jak kompanie stały po 35 do 40 żołnierzy do jednego wozu. Przyszła więc i kolej na mnie, z prawem skrzydłem mojego plutonu.

Do małego wozu węgierskiego wpakowano nas 37. W wozie były ławy ruchome po dwie oparte o ściany i po dwie zestawione oparciami w środku. Ja się dostałem w sam kąt. Plecaki wciskaliśmy z trudem pod ławy, karabiny ustawiono w kącie. Przemyślniejsi próbowali wbijać gwoździe w ściany, ale wysuszona dębina nie wpuszczała gwoździ. Więc tylko na kółkach i hakach, przeznaczonych do wiązania koni, powiesili się chlebaki i pasy z bagnetami. Gdyśmy wszyscy usiedli, nie można było ruszyć się, tem więcej, że na środku wagonu stał mały żelazny piecyk.

Mogłem siedzieć i to była pierwsza rozkosz. A drugą była nadzieja, że dzień albo ze dwa nie każą maszerować objuczonemu. Czy potrafię spać siedząc, nie wiem, ale to kłopot dalszy. Siedzę i odpoczywam.

Znaczna część usiadła w otwartych wrotach, spuszczając nogi na zewnątrz. Dla bezpieczeństwa trzymali się niektórzy sztaby poprzecznej, zagradzającej zazwyczaj koniom wyjście.

Wreszcie około pół do dziesiątej pociąg ruszył. Siedzący we wrotach wrzeszczeli jak opętani. Wrzaski cichły w polu, a odrywały się przed każdą budką strażniczą, przed każdą chatą przy drodze, przed każdym człowiekiem, dojrzanym w pobliżu, a dochodziły do szaleństwa na stacyach. Przeważały krzyki: „Heil"; „Hurra"; ale wnet Schmied golarz wprowadził w nie pewną rozmaitość.

Na przystankach wygłaszał, a raczej wywrzaskiwał mowy:

– Bauer, weisst du wer da ist? Linzer Buben sind wir. Wir fahren am Isonzo dem Katzelmacher den Garaus machen. Linzer, Linzer sind da, Zwarer, und Schmied aus Scharting, Schmied der Russentöter mit ihnen."

Wrzeszczał, ryczał, śmiał się, potem popijał tak, że pod wieczór ochrypnął zupełnie. Ludność wsi i małych miast nie okazywała żadnego entuzyazmu. Kobiety załamywały ręce, albo kiwały głowami z politowaniem na to ~~wybitk~~ pohukiwanie.

Dzień był ładny, prawie ciepły.

W Brzecławie (Lundenburg) dostaliśmy obiad. Po raz pierwszy oglądałem urządzenia tz. Verköstigungsstation. Barak olbrzymi z mnóstwem ław i stołów. Szeregi kotłów stały już gotowe tak, że skoro tylko pluton dwójkami się zbliżył, prawie bez zatrzymywania się dostawało się z jednego rosół, z drugiego groch, a na końcu kawałek mięsa, którego stosy piętrzyły się na stole. Po zjedzeniu szło się na peronie do beczek z wodą, aby menażki obmyć. Wstęp na stacyę surowo zabroniony.

We Wiedniu stanęliśmy wieczorem i musieliśmy w nocy odbyć niezwykle długą wędrówkę między pociągami i po szynach, ażeby wśród magazynów dostać kawę wieczorną i jako dodatek kawałek kiełbasy. Kiedy nas z dworca północnego przesunięto na dworzec południowy, okazało się, że panie wiedeńskie zafundowały nam drugą kolacyę z białego chleba i białej kawy. Prócz tego każdy dostał kawałek czekolady i dwa papierosy. W Wiedniu dodano do naszego pociągu dwie kompanie 57 pułku piechoty, to jest tarnowskiego.

Spało się niewygodnie, bo nietylko siedząc, ale nie można było nóg wyprostować, ponieważ cała przestrzeń pod ławami zajęta była przez ruksaki.

Na drugi dzień 5. I. dano nam śniadanie dopiero w Bruck an der Mur. Dzień wstał przesłonięty mgłą mroźną i szron okrywał ziemię. Dopiero koło południa wypogodziło się.

~~[illegible]~~ Wypoczęty nieco począłem myśleć o swoim losie, ażeby wprowadzić nieco jasności w moje położenie. Jadę więc na wojnę, ażeby walczyć lub zginąć. Z kim walczyć? Z Włochami? Ci ani mnie, ani mojej ojczyźnie nigdy nic złego nie wyrządzili. Za co miałbym czuć ochotę do mordowania nieznajomych Włochów?

Powiadają, że to jest mój obowiązek względem ojczyzny. Ależ ojczyzną moją nie jest Austrya, ten dziwoląg narodowościowy, trzymany w kupie przez najniKczemniejszy system rządowy na świecie. Kto Austryę prosił o zagarnięcie kawałka Polski? Zabrali kraj gwałtem, rządzili w nim podle i dlatego mam ja bić się za tę Austryę? Myślałem czasami, że Austrya zechce być owem oparciem dla mniejszych narodów, o jakiem ją ogłaszał Palacky – ale się myliłem w tych zresztą rzadkich chwilach. Austrya chce być państwem niemieckiem. Ale zamiast wyrzec się prowincyi nieniemieckich, ona chce zadać im najpotworniejszy gwałt, bo odebrać im ich narodowość, zgermanizować je. Więc za to, że rząd austryacki chce mi wydrzeć duszę, jest moim obowiązkiem zasłaniać go własnemi piersiami? Jak nisko upadła ludzkość, jeżeli takie wynaturzenie można oglądać bez wstydu, bez zająknienia jako obowiązek, ba i nawet w to wierzyć.

Nie rozumiem. Zdaje mi się jednak, że nasza epoka jest stokroć więcej barbarzyńska

nie epoka Assyryjczyków lub Hunów. Bo my urzędownie jesteśmy chrześcijanami, jesteśmy ludźmi, wychowanymi na ideałach ~~po~~ poetyczno-filozoficznych, które wewnętrzną jaźń człowieka stawiają ponad wszystko. A że prawo do poczucia narodowościowego jest powszechnie uznane, więc tem mocniej obawa lekkość", z jaką pisami ludzie, którzy mi wczoraj mówili, że obowiązkiem moim jest pielęgnować ideały narodowe, dziś mi powiadają i szubienicę dla poparcia swoich słów wystawili, że obowiązkiem moim jest oddać życie po to, aby inni Polacy łatwiej mogli być wynarodowieni. Mam na szyi obrożę, a moi kaci mówią: „Walcz! gdy zwyciężysz, zaciśniemy ci ją na szyi tak, że stracisz oddech: widzisz więc, że jest to twój najświętszy i najszczytniejszy obowiązek."

W dawnych czasach sprawa przedstawiała się prościej. Monarcha był państwem, jego wola prawem, wszyscy poddani inwentarzem osobistym monarchy. Można zrozumieć, że człowiek, przypisany przez prawo zwycięstwa lub cesyi nowemu panu stawał się odrazu patryotą nowego, często obcego rządu. Ale nawet i w tych najdawniejszych czasach praktyka nie przedstawiała się tak prosto, skoro podbijani przez Babylończyków, Persów, Macedończ., Rzymian Żydzi pozostawali żydami, wbrew ówczesnym pojęciom prawnym i etycznym.

Co to jest dzisiaj państwo, tego nikt nie zdefiniuje. Włochy, Francya i wszystkie mniejsze państwa europejskie są to jednostki narodowe, zorganizowane do życia i do obrony. Niemcy i Rosya są to także narody zorganizowane ale po pierwsze na użytek, wygodę i satysfakcyę swoich familii panujących, oraz na rozszerzanie tych narodów kosztem mniejszych. Użycie dla dynastyi, panowanie dla swoich, ucisk dla innych: oto cel tych tworów. Szwajcarya i Belgia są prostym związkiem samopomocy.

Że w Niemczech i w Rosyi jest obowiązkiem Niemców i Rosyan bić się za państwo – rzecz zrozumiała. Ale, że równocześnie ofiarę własnej krwi i mienia nakłada się jako obowiązek ciemiężonym obcoplemieńcom, jest to łajdactwo przemocy, jest to tatarsko germańska zbrodnia przeciw ludzkości. Tytus po zburzeniu Jerozolimy nie marzył o użyciu żydów jako żołnierzy, lejących własną krew za wielkość Romy. Jest to wynalazek mongolski. Hunowie zastosowali tę metodę po raz pierwszy, a Niemcy umiejętnie wydoskonalili.

A z chwilą, gdy zaczęto uciemiężonych używać jako obrońców dla własnych ciemiężycieli, odrazu postawiono jako zasadę, że tak każe obowiązek, nie przymus i gwałt, ale sumienie, własne poczucie ~~ofiary~~ prześladowanych. Jest to pomysł tak potworny, że równego świat aż do tej wojny nie wymyślił. W Rosyi, mimo wpływów mongolsko niemieckich, odczuwano tę poczwarność i dla spokoju własnego sumienia, jeżeli nie dla pozyskania prześladowanych, ogłoszono proklamacyę do Polaków. Ta proklamacya jest dowodem, że w mało cywilizowanej Rosyi jednak jest bardzo wiele uczucia ludzkości, którego rządowa obłuda nie stłumiła. Znaczy bowiem ta proklamacya tyle: „Polacy, myśmy was prześladowali i rozumiemy, że wy nie macie ochoty bić się o zwiększenie potęgi swego kata. Otóż obiecujemy wam, że zupełnie zmienimy sposób postępowania z wami, tylko chciejcie w tej ciężkiej chwili iść razem z nami." Mniejsza o to, czy słowa te są szczere, czy przyrzeczenia mają jakąkolwiek wartość i czy przynajmniej w chwili, kiedy były dawane, były odczuwane szczerze. Niech nawet ta proklamacya będzie rozmyślnem kłamstwem, jest ona wynikiem wstydu za gwałcenie uczuć ludzkich, jest plastrem, który ma to wynaturzenie

sprowadzić znowu na drogę naturalną. Jest to hołd, złożony wrodzonym uczuciom ludzkości, ale zapewne także i dowód, że lud rosyjski, niezatruty „naukową" cywilizacyą Niemców rozumie, iż batożony nie ~~może~~ i nie powinien żywić uczuć wdzięczności i przywiązania dla swego oprawcy.

Inaczej Niemcy. Tam pycha i samolubstwo każą się wstydzić ludzkich uczuć jakoby dowodu słabości. Postęp ~~to~~ niemiecki leży w tem właśnie, aby z siebie zetrzeć wszelkie ludzkie cechy i wyrwać z serca wszelkie ludzkie uczucia. Tam też najcyniczniej oświadczono Polakom, iż obowiązkiem polskiego obywatela jest przelać swoją krew celem przyspieszenia własnej germanizacyi.

Ale to odnosi się tak w Niemczech jak w Rosyi do uciskanych mniejszości, gdy jest rzeczą naturalną, iż panujące większości uznają za swój obowiązek walczenie za własne państwo.

Czem jednak jest Austrya? Narodem nie. Związkiem narodów także nie, bo na jedenaście narodowości należących do składu, tylko trzy tj: Czesi, Madziary i Słowieńcy mieszczą się całkowicie w ramach monarchii. Wszystkie inne narody mają poza granicami monarchii swoje większości, często zorganizowane w niezależne państwa. A w ramach monarchii nie jest im dobrze: jedna część jest przeznaczona na pognój dla Niemców, druga dla Madziarów, zanim kiedyś rozrośnieni Niemcy nie zabiorą się do zajadania Madziarów. Jest to zatem menażerya nie państwo. Apetyty Niemców wiedeńskich i Madziarów peszteńskich są tutaj systemem rządowym. Ponieważ Niemcy austryaccy są zbyt słabi, ażeby zaprowadzić pruską bezwzględność, system austryacki dodaje do pruskiej potworności austryacką obłudę. Jest to więc nikczemność w najwyższym stopniu.

Właściwem państwem są wiedeńscy hofraci z dynastyą na czele, a połączone w monarchię strzępki ~~innych~~ narodowości rozlicznych (prócz niemieckiej i węgierskiej) istnieją tylko dla wygody owych panów. Jeżeli w Rosyi i w Niemczech absolutne dynastye są niejako wynikiem, koroną i ostatnim wyrazem narodowości niemieckiej czy rosyjskiej i wskutek tego duma, chęć zaborów, powaga tamtejszych cesarzy w świecie jest równoznaczną z uznaniem, jakiem się owe narody w świecie cieszą, w Austryi jest wszystko przeciwnie. Gdzieindziej dynastya jest dla narodu i dla państwa — w Austryi państwo istnieje, ażeby dynastya miała gdzie panować. Ten zlepek, krwią skitowany z pogwałceniem wszystkich ludzkich i boskich praw, jest utrzymywany tylko po to, aby Habsburg-Lothringen mogli cesarować. Że zaś znowu ci panowie, mimo „boskiego" początku dynastyi nie mogą zapomnieć swego niemieckiego pochodzenia, więc Austrya spełnia jeszcze drugą misyę: jest depozytem ludów i ziem, przeznaczonych na germanizacyę, ale dla których termin zagryzienia jeszcze w tej chwili nie przyszedł.

System rządowy prawdziwie austryacki jest tylko jeden: system Metternicha. Mimo pięćdziesięcioletniej komedyi konstytucyjnej nic się w tym systemie nie zmieniło, nie przerwało. Zaledwie wojna wybuchła i ogłoszono zawieszenie Konstytucyi, a Wiedeń zaczął tak rządzić, jakby rok 1914 następował bezpośrednio po 1845. Panowie rządzący zrzucili tylko maskę konstytucyjną i zaraz pokazali, że system Metternicha dopóty się nie da wykorzenić, dopóki dwór i rząd będą się znajdować w Wiedniu.

Gdy z wypowiedzeniem wojny wszystkie inne państwa zaprowadziły organizacye wewnętrzne dla ułatwienia pracy wojennej, w Austryi najpilniejszą rzeczą wydawało się rządowi

zamknięcie parlamentu. Krok zbyteczny, bo parlament od marca był odroczony i posłowie nie mieli nietykalności. Ale było bodaj prezydyum, które mogło czasami prosić o łaskawe wysłuchanie zbiorowego oświadczenia imieniem parlamentu. A to mogłoby dawać pozory, że rząd chce liczyć się z ludnością. Otóż aby pokazać, że ludność nie ma nic do mówienia, że rząd jest sam jeden wszystkiem. I kiedy członkowie prezydyum Izby poselskiej zjawili się u ministra Stürgkha, ażeby mu ofiarować swoje współpracownictwo, bo ich wstyd było, że wszystkie rządy państw wojujących powołują się na wolę swych ludów, to pan minister odpowiedział, że oni nie mają prawa do zgłaszania zbiorowych oświadczeń, choćby najlojalniejszych, gdyż po zamknięciu parlamentu oni prezydyum już nie są. Nawet tak skamotowany, przez siedmiu panów tylko wyrażonej opinii narodów nie przyjął rząd, mimo że wiedział, iż ta opinia za wzorem wszystkich innych państw wojujących, będzie nadzwyczaj, entuzyastycznie przychylną dla rządu i państwa. Ale rząd austryacki nie życzy sobie nawet pochwał, uznania i poparcia od obywateli austryackich, bo oni mają wedle wyrażenia metternichowskiego: den beschränkten Unterthanenverstand. Po 50 latach Komedyi Konstytucyjnej, cofnięto znowu 30 milionów obywateli austryackich do rzędu nieletnich.

I ten rząd zaraz się zabrał do zapewnienia sobie bezwzględnego posłuszeństwa. Jego rozporządzenia wojenne, najdziksze i najsroższe w świecie, możnaby streścić krótko, jako ogłoszenie rzezi między ~~mi~~ ludnością cywilną, celem wzbudzenia strachu i ślepego posłuszeństwa. Mniejsza o paragrafy, karzące: zdradę, zamiar osłabienia siły zbrojnej, zakłócenie spokoju itd. śmiercią, ale Austrya jedyna na całym świecie wprowadziła karę śmierci za obrazę majestatu, czego w Turcyi i w Rosyi nie zrobiono. Chodziło o zyskanie jak największej liczby pozorów dla mordowania ludzi.

Dwa tylko narody uchodziły za niepodejrzane i lojalne: Niemcy i Madziary. Reszta już za sam fakt należenia do własnej narodowości uchodziła z góry za podejrzaną. Więc mordowano bez litości. Ostatecznie, im więcej wymordowano Słowian, tem więcej zostawiano wolnego miejsca dla szerzenia się niemczyzny. Kto wie, czy te to sądy polowe i doraźne nie były poto zaprowadzone, ażeby wyludnić kraje pod płaszczykiem wojny, wypędzić poprostu ludność inną i tak od razu rozwiązać kwestyę wielojęzyczności.

Przez 50 lat Komedyi Konstytucyjnej zapewniano uroczyście, że w Austryi wolno „pielęgnować ideały narodowe", a tuż po zawieszeniu Konstytucyi wrzucano każdego, kto owe zapewnienia brał poważnie, do kryminału i prowadzono na szubienicę.

Te łotrowstwa kryły się racyą stanu arcyks. Fryderyka i hr. Stürgkha. Co to jest ta racya stanu? Gdy monarchia przypadkowo znalazła się w rzędzie zwycięzców Napoleona, ogłoszono niemieckość, niewolę i centralizm za racyę stanu. Ale gdy od roku 1848 do 1866 szła od klęski do klęski, gdy cesarzowanie Habsburgów wydało się zagrożonem, znalazła się przeciwna racya stanu, z którą Austrya przez 50 lat nieźle wegetowała. Cóż to więc jest? Widzimisię pierwszego lepszego durnia, postawionego przypadkowo u steru władzy. Więc dla widzimisię kilku panów wiedeńskich założono na czas wojny szlachtuzy ludzi na obszarze całej monarchii.

Że Niemcy i Madziary mogli uważać za swój obowiązek przelewanie krwi dla ocalenia i powiększenia monarchii, łatwo pojąć. Ale żeby od ludów, dziesiątkowanych przez szubienice za to tylko, iż nie są Niemcami, wymagać poświęcania siebie dla takiej monarchii, to jest przecież orgia, granicząca z obłędem, a w każdym razie wynaturzeniem, zbrodnia przeciw człowieczeństwu. W tem wysyłaniu niepowieszonych Słowian na front widzę tę samą zbrodnię, jakąby było uzbrajanie włoskich jeńców wojennych i wysyłanie ich do walki z armią Italii. Moralnej różnicy nie widziałbym nawet na włos.

Otóż ja przynajmniej nie mam ochoty walczyć o takie państwo.

I znowu w dawnych czasach można było przyjąć nawet i takie zdanie przeciw naturze, kiedy zwycięstwo wroga prowadziło za sobą pędzenie w niewolę ludzi ze zdobytego kraju, zabieranie majątków i praw. Było to ratowanie swojej ustalonej egzystencyi osobistej.

Dzisiaj wróg zabierający kraj nie wyrzyna ludności ani jej nie uprowadza w niewolę. Przeciwnie stara się o rozwój zabranego kraju, aby mieć dochody dla kasy. Więc jednym ludom austryackim grozi połączenie się ze współrodakami w jedność narodową — do czego wszystkie tęsknią — drugim znowu tylko zmiana jarzma: z niemieckiego lub madziarskiego w rosyjskie lub włoskie. Czy ci ciemiężeni mają czuć entuzyazm do obroży na szyi i żadną miarą nie dopuścić do zmiany dwubarwnej na trzybarwną? Po ludzku biorąc, powinno im to być niewypowiedzianie obojętnem.

Gdzież tu więc obowiązek? Gdzie podkład, podwalina, zasada, z której ten obowiązek można wydedukować?

A skoro wobec państwa do takiego obowiązku nie mogę się poczuć, to może znajdę to poczucie wobec cesarza? Wszak wedle niemieckiego hasła walczy się: für Kaiser, Gott und Vaterland. W tym porządku.

Jestem z uczuć republikaninem. Patrząc jednak w 1897 i 1898 roku na nieporządki we Francyi, doszedłem do przekonania, iż ludy europejskie nie dojrzały jeszcze do formy republikańskiej, więc monarchia jest malum necessarium. Dlatego marzyłem zawsze o Polsce jako o Królestwie, a Rzeczypospolitej polskiej boję się jeszcze dzisiaj.

Ale monarcha powinien być wedle słów Fryderyka II pierwszym urzędnikiem państwa, nie zaś państwem samem. Tymczasem w Austryi państwo ~~zatem~~ istnieje dla cesarza, a bez niego nie ma racyi bytu. Stosunek jest ten: Istnieje jedna rodzina właścicieli i 59 milionów inwentarza, nazbieranego ze wszystkich stron, a złożonego z istot, mających postać ludzką. Otóż mnie ta koncepcya monarchiczna nie przypada do smaku i wcale nie mam ochoty uważać się za psa czy wołu u pana cesarza. W państwach narodowych, gdzie monarcha jest symbolem narodu, jest rzeczą wskazaną poświęcić się za monarchę. W Austryi interesy monarchy tak jak je rząd rozumie, stoją w zupełnej sprzeczności z interesem mojego narodu — nawet więcej: powodzenie cesarza jest klęską wszystkich ludów, prócz niemieckiego i na odwrót niepowodzenia cesarza przynoszą ludom warunki lepsze, godniejsze ludzi.

Czy mam się więc zapalać do takiego cesarza?

Przysięgałem mu wierność.

To prawda. Tylko ta przysięga wobec sumienia, Boga, wiary, ludzkości nie ma żadnego znaczenia. Ponieważ cesarz chciał odebrać wolność Serbom, rozbić jedność narodową Włoch i popełniać inne tym podobne zbrodnie, przysięga w celach zbrodniczych jest nieważną. Grzechem jest dotrzymanie takiej przysięgi, a cnotą złamanie jej.

Powtóre była to przysięga wymuszona. Nikomu przecież nie zostawiono wolności wyboru: przysięgać, albo nie iść do wojska. Gdyby ktoś tej przysięgi odmówił, zawisnąłby na szubienicy. A więc i jako akt wymuszony przysięga ta jest nieważna.

Niemniej jednak wszyscy żołnierze, dotrzymujący przysięgi monarchom, walczący o zabór, są pomocnikami kata, są zbrodniarzami za to właśnie, że tej przysięgi, złożonej dla dokonania uczynków złych, nikczemnych, zbrodniczych, nie łamią, lecz dotrzymują.

Czem jest cesarz w pojęciu dzisiejszem?

Jest to człowiek bez honoru, wstydu, sumienia, bez iskry godności i wartości osobistej.

Człowiek kulturalny stara się nie doznawać pożądania cudzej własności, a gdy go doznaje, stara się je opanować. Nikt szanujący się nie będzie się chwalił, że ma ochotę na cudzy dom, pole, zegarek i że pożądane przedmioty musi ukraść nie nabyć.

A cesarzowi wolno mieć łakomstwo na cudze ziemie, miasta i wsi – a im ma większe łakomstwo na cudzą własność, tem ~~ze~~ jego podlebcy za większe zwierciadło geniuszu go ogłaszają. Zamiast się tych niskich instynktów wstydzić, jak każdy cywilizowany człowiek, on się nimi pyszni. A gdy natrafi dobrą sposobność czyni wyprawę zbójecką na kraj swego sąsiada i zamiast za ten rozbój z włamaniem i rozlewem krwi odpowiadać przed sądem przysięgłych, każe się wielbić jako zwycięzca. A przy tej głównej kradzieży nie zapomina się o mniejszych jak kradzież bibliotek, muzeów, pamiątek, klejnotów, co monarchę nawet pod względem przedmiotu kradzieży stawia na równi ze złodziejem kieszonkowym.

Długo się zastanawiałem i przy najlepszej woli nie mogłem znaleźć różnicy między zorganizowaną zgrają bandytów a pruską armią. Czy jest choćby włos etycznej różnicy między Wilhelmem II a np. Wasińskim lub innym naczelnikiem włamywaczy?

Ten monarcha uchodzi za najzdatniejszego, który najlepiej kłamie i nie dotrzymuje zobowiązań wobec drugiego monarchy. Człowieka niekoronowanego mianuje się w tym wypadku „świnią,” nie podaje mu się ręki, lub pluje w twarz, monarcha za swoją nieczłowność każe się mianować dyplomatą.

I co najciekawsze! Monarcha każe surowo karać każdego, ~~który~~ który nie będąc koronowanym, podziela jego instynkty i sposoby postępowania. Bandytów, włamywaczy, złodziei, niedotrzymujących zobowiązania każe się sądownie w imieniu tego samego monarchy, który równocześnie przemyśliwa o wdarciu się do cudzego kraju, o złamaniu ~~sło~~ sojuszu, o kradzieży cudzej ziemi, skarbów, bibliotek, pamiątek. To, co u niekoronowanych nazywa się przedmiotem kradzionym, u monarchów zamienia się w zdobycz. Królowa pruska zawieszająca u uszu klejnoty wyłupane z polskiej korony moralnie jest niższą od prostytutki, której włamywacz-sutener ofiarował zausznice jeszcze niedobrze odczyszczone ze krwi dawniejszej właścicielki.

Można krótko powiedzieć, że wedle dzisiejszego rozumienia rzeczy monarchowie są to ludzie, którzy wszystkie zbrodnie, zakazane przez dekalog i przez etykę porządnych ludzi, zastrzegli dla siebie jako monopol i każą je u innych ludzi potępiać, u siebie wielbić.

Takim najznakomitszym typem monarchizmu w dzisiejszem pojęciu jest cesarz niemiecki. Miał apetyt na francuskie i polskie kopalnie węgla, na francuskie i angielskie kolonie, na opanowanie świata, więc szykował się przez dłuższy czas do wojny. Akurat tak samo król włamywaczy, mając apetyt na cudze srebro i złoto, mając ochotę potem bawić się w pana, formuje bandę. Nauka obydwom przychodzi w pomoc, konstruując armaty, łodzie podwodne, gazy trujące, wytrychy, piłki do przerzynania wertheimówek, chloroform dla usypiania niewygodnych. Obie strony posługują się przytem systemem szpiegowskim.

Wilhelm ogłasza, że to wszystko musi do niego należeć, bo mu jest potrzebne, bo potrafi lepiej zużytkować itd. Wasiński tego nie może ogłosić, ale jest święcie o tem przekonany. Obaj uważają przedsiębiorstwo swoje za wielką sztukę, siebie zaś

samych za wielkich bohaterów. I znowu szukam różnicy etyczno-kulturalnej, a przy najlepszej woli nie mogę jej znaleźć.

Jest jedna! Gdy Wasiński robi ze swoją bandą włamanie do banku, rozdawszy rozkazy, idzie sam dokonać lwiej części, narażając się na największe niebezpieczeństwo, gdy Wilhelm wysyła miliony na rzeź, a sam trzyma się daleko poza donośnością armat i skóry własnej nie naraża.-

Wobec tak pojmowanej i wykonywanej instytucyi monarchy nie mogę czuć się do żadnego obowiązku ~~w~~ względem cesarza.

. Poganie dawni wyprowadzali rodzinę swoich monarchów od bogów, ale też pilnowali, ażeby ta właśnie rodzina w nieskalanej czystości rozmnażania się była u steru. Cywilizowani chrześcijanie na to nie patrzą. Monarchowie rekrutują się z rodzin, które rabunkiem i złodziejstwem jak Zollernowie w XIII wieku dorobiły się tyle, że potem mogły się wkupić do panowania nad skrawkiem ziemi. Rodzina więc nie odznacza się niczem, chyba większym sprytem, czy większym brakiem skrupułów, skoro potrafiła wybić się ponad inne. A potem już nie chodzi więcej o sprawdzenie, czy potomek jest naprawdę synem Zollerna. Wystarczy, że go jego żona powiła. Katarzyna II sama stwierdziła, że jej syn i następca nie był synem jej męża lecz synem hr. Sałtykowa, ale to nie przeszkadzało, że panował. Więc nawet na prawdziwość metryki dzisiaj się nie baczy. Ani boski początek, ani ~~zapewnienie~~ stwierdzenie pochodzenia rzeczywistego od jakiegoś ukochanego bohatera, ani rozum uderzający, ani piękność: nic osobliwego nie jest dzisiaj wymaganem od kandydatów na monarchów. Ilu potomków masztalerzy, pucybutów nosi dzisiaj korony – tylko się do prawdziwych swoich ojców nie przyznają.

Skąd więc dla takiego ~~tuzinkowego~~ człowieka jakieś nadzwyczajne zobowiązania?

Jeszcze w dawnych czasach można było zrozumieć osobiste przywiązanie do Króla i jego rodziny z prostego interesu. Monarcha, panując na wielkim kraju, dawał allodya, lenna, feuda, majoraty, fideikomisy, ekonomie królewskie. Z pośmiecia czynił małego Króla. Zaczem wdzięczność za osiągnięte już dobrodziejstwa jako też chęć zachowania sobie monarszej życzliwości na przyszłość wyjaśniają to osobliwe średniowieczne przywiązanie do osoby panującego, tem więcej, że był on pomazańcem Bożym, a Koronacya uchodziła prawie za ósmy sakrament.

Dziś tego wszystkiego nie ma. W boskie pochodzenie i w uświęcającą siłę Koronacyi chyba nikt dzisiaj nie wierzy. A monarcha nie rozdaje nic, tylko bierze. Nie ma księstw i hrabstw do obsadzania. Dziś można najwyżej zostać ministrem, ale jest to godność ani dziedziczna ani nawet dożywotnia – nie może zatem wchodzić w porównanie z owemi rzeczywistemi łaskami, jakie Król średniowieczny mógł świadczyć niektórym jednostkom. Nowożytne nadawanie szlachectwa lub orderów jest ceremonią, ośmieszającą nadawcę, a upadlającą i poniżającą obdarowanego. Realnej wartości jednak nie ma. Średniowieczne szlachectwo nadawało na wieczne czasy liczne i niezwykle cenne przywileje, dzisiejszy order nie wyróżnia człowieka nawet tyle, ile odznaka kotylionowa. Gdy więc dawniej osobiste przywiązanie do osoby poświęconej było budzone i podtrzymywane przez coraz nowe łaski, przez wyrzekanie się ze strony Króla pewnych

praw i ~~przy~~ władzy na korzyść odznaczonego poddanego, dziwiąc ten serdeczny węzeł może powstać najwyżej między monarchą a wdową po niższym urzędniku, która z okazyi Nowego Roku dostaje z kasy cesarskiej 50 kor. Jest to ~~jedyny~~ jedyny osobiście cesarski dar.

Wszystkie inne cesarskie mianowania i nadania nie są darem czy łaską, lecz uzurpacyą. Nie on daje ze swojego, lecz obywatele składają podatki, a on przywłaszcza sobie prawo do rozporządzania tym niewłasnym majątkiem. Są przecie wprost śmieszne. Obywatele sprawiają na swoje krwawe grosze okręty, a on w tej chwili ogłasza: „moja flota". W ten sposób i podaje się za właściciela flot, kolei, armat, wszystkiego, chociaż w to wszystko nie włożył ani grosza ani sekundy pracy: nic.

Ktoś mi swego czasu powiedział, że biorąc „cesarską" pensyę, powinienbym poczuwać się do obowiązku wierności i służalstwa wobec cesarza. Gdybym potwierdził to mniemanie, skłamałbym, bo nic a nic z tych rzeczy nie odczuwam. Jest wprawdzie nowożytny obyczaj kłamania, nawet obowiązek kłamania w ten sposób, czego nie znały wieki barbarzyńskie. Ale przynajmniej w spisywaniu tych wspomnień można sobie pozwolić na szczerość i brak obłudy.

Otóż nie stawiałem nigdy cesarza w stosunek z moją płacą profesorską. Przeciwnie uważałem, że obaj jesteśmy tylko funkcyonaryuszami, płatnymi przez ten sam ogół obywateli i że obaj pociągamy nasze dochody z tego samego źródła. Wszelkie drobne różnice w tej sprawie wychodzą wyłącznie na korzyść mojego stanowiska ludzkiego. Ja, aby módz ubiegać się o moją płacę, pracowałem i zdawałem egzamina — cesarz bez pracy i bez stawania do konkursu z innymi współzawodnikami bierze sobie listę cywilną jakoby swoją należytość przyrodzoną. Z mojej szczupłej pensyi płacę na rzecz ogółu podatek i stemple — cesarz, biorąc wielką listę cywilną, nie świadczy absolutnie nic na rzecz owego ogółu, z którego żyje tak świetnie.

Za pensyę jestem wdzięczny każdemu nędzarzowi galicyjskiemu, który w cenie swoich przedmiotów niezbędnie potrzebnych do życia płaci podatki, ale do żadnej wdzięczności wobec cesarza za nią się nie poczuwam.

A jeżeli już nie czuję żadnego zobowiązania wobec cesarza jako urzędu czy godności, to może poczuję się związanym wobec Franciszka Józefa jako człowieka-monarchy.

W Galicyi tyle się nagadało, napisało, naprzysięgało, że wszystko, co Polacy posiadają, należy zawdzięczać wyłącznie łasce i rycerskości Franciszka Józefa, iż nic dziwnego, że mogły całe pokolenia wychować się w pewnego rodzaju kulcie tej osoby.

Itu znowu wyznaję, że oddziecka odczuwałem nie kult ale głęboką niechęć do tego człowieka. Nie chwycił mnie za serce, kiedy zwiedzał gimnazyum jarosławskie, nie zaimponował mi nigdy niczem. Myślę, że wygląd jego przyczyniał się w dzieciństwie mojem do wywołania owej niechęci, bo cesarskie bokobrody nosili wtedy jeszcze tylko stróże szkolni i listonosze.

Kiedy przyszedłem do własnego rozeznania, zacząłem się rozglądać w historyi i zobaczyłem, że szerzone powszechnie wyobrażenia o nim, są pospolitem kłamstwem. Nie był to żaden monarcha konstytucyjny i postępowy. Rozpoczął panowanie jako tyran i reakcyonista i trwał przy swoim systemie z górą 18 lat. Cięgi zadane przez Włochów i Prusaków przyniosły Austryi swobody ludzkie i obywatelskie ale nie serce, rycerskość, postępowość czy ludzkość Franciszka Józefa. Owe wydawane a nie wykonywane lub odwoływane dyplomy i patenty grudniowe, październikowe

lutowe itd są rejestrowanymi dokumentami, dowodzącymi, jak trudno mu było rozstać się z nieskrępowaną samowolą, z jakim wstrętem dopuszczał innych ludzi do godności ludzkiej, jak próbował swojem cesarskiem słowem uśpić i łudzić poddanych, w nadziei, że tego słowa nie będzie musiał dotrzymać. Owe dyplomy i patenty są także równocześnie zbiorem rozmyślnych kłamstw, obietnic cygańskich, danych w chwili kłopotu z restrykcyą mentalną, że nie będą dotrzymane. Są to więc rozmyślne oszustwa, a dla mnie oszust w koronie czy na tronie ma absolutnie tę samą wartość moralną.

Gdyby jego wstecznictwo opierało się na przekonaniu zasadniczem, byłby zapewne wolał zrzec się tronu niż ustąpić w sprawie, którą uważać mógł za świętą. Ale jemu chodziło tylko o własne samolubstwo bezzasadne, gdy więc zobaczył, że upieranie się przy reakcyi może go pozbawić Korony, popuścił natychmiast. Sparafrazował oświadczenie Lutra: „Hier steh ich – kann nicht anders" na „Hier steh ich – kann aber auch anders." Przez to nagięcie się do okoliczności opluł sam prawie 20 lat swoich rządów, jako nie system, oparty na zasadach i przekonaniach, lecz jako osobiste, bezbrzeżne samolubstwo, dla którego on jeden tak długo nie chciał dopuścić, aby podległe mu miliony mogły uważać się za ludzi.

To też nie można było wierzyć w jego szczerość jako monarchy konstytucyjnego. Jakoż skorzystał z wybuchu wojny nie po to, aby przygotować Austryi zwycięstwo, lecz aby rozprostować członki reakcyjne, skrępowane tak długą komedyą konstytucyjną. Zamknął parlament, zawiesił konstytucyę i podpisał rozporządzenia wojenne, najbardziej krwiożercze na świecie, z podciągnięciem obrazy majestatu pod sądy doraźne. Zdaje się, że nawet Abdul Hamid byłby się wzdrygnął, przy podpisywaniu pozwolenia na tak okropną kąpiel krwi. Ale stary uczuł się wtedy w swoim żywiole. Niezaopatrzeni żołnierze i prowadzeni przez idyotycznych oficerów, ginęli masowo na polach bitew, a stary ze spokojem wsłuchiwał się w trzask salw justyfikacyjnych i w skrzypienie szubienic, na których ginęły tysiące jego poddanych na jego rozkaz. Te krwawe rzezie w Austryi przypominają mi tylko egzekucye trybunału rewolucyjnego za czasów Terroru. Zdawałoby się, jakoby stary w tych dwóch latach chciał był wytoczyć tyle krwi, ile przy nieprzerwanem trwaniu rządów reakcyjnych uważał był za potrzebne do podcementowania władzy przez 60 lat ~~rządów Konstytucyjnych~~: nadrabiał pospiesznie to, co zaniedbał pod przymusem.

Jest coś ohydnie nikczemnego, brzydkiego bez wielkości, okrutnego bez grozy, w tym starcu, nie mogącym już chodzić, nie umiejącym już dobrze myśleć, usypiającym podczas raportów, który w ostatnich chwilach swego życia wetuje sobie półwiekową powściągliwość katowską przez przyspieszone mordowanie swoich poddanych tłumami, rycząłtem. Ta była jego najgwałtowniejsza potrzeba. Bodaj przy końcu życia poczuł się jeszcze monarchą w dawnym stylu.

Mogą rozmaici ludzie wywodzić dyplomatycznemi słowami konieczność tych rzezi. Ja widzę tylko ich obrzydliwość. Nazywa się to łotrowstwo racyą stanu: nie mogę nawet dokładnie odróżnić, czy to była racya stanu pruska czy austryacka.

Po dopóki Franciszek Józef i jego dworacy byli pewni zupełnego zwycięstwa Niemiec w tej wojnie, uznawali za racyę stanu wyrżnięcie i całkowite ujarzmienie Słowian na chwałę rasy niemieckiej i w następstwie na chwałę Prus. Ale ta racya stanu nie była tak zasadniczo jedyną możliwością, skoro po zmniejszeniu się widoków na opanowanie świata przez Prusy nagle zmieniono racyę stanu i jako austryacką zasadę państwową uznano nie doprowadzanie Słowian do rozpaczy. Wszystkie sądy polowe dostały wskazówkę z Wiednia, ażeby nieco rzadziej wydawać wyroki śmierci.

A skoro państwowy interes austryacki, zależnie od wiatru, wymagać może w ciągu tej samej wojny, raz wyrzynania Słowian, a drugi raz oszczędzania ich, ile bestyalstwa mieścić się musi w sercu tego starca i jego godnego otoczenia, skoro nakazał krwawe kąpiele w całem państwie, wiedząc, że ewentualnie trzeba je będzie przerwać, że więc nie są one jedynym, ostatnim, nieodbitym środkiem ratunku.

Ratunku! Dla kogo? Czy dla państwa? Osiemdziesiąt procent mieszkańców tego państwa byliby szczęśliwi, gdyby to państwo przestało istnieć – a pozostałe 20 % byliby tylko zawiedzeni w swojem łakomstwie na cudzą własność, nie zaś unieszczęśliwieni. Czyli aby nie dopuścić do rozwiązania sprawy, które nie krzywdząc nikogo, przyniosłoby szczęście olbrzymiej większości; morduje się tysiące niewinnych.

Może najzacieklejszy monarchista nie odważy się przedstawić sprawy tak, jakoby utrzymanie jednej rodziny przy władzy było dla kogokolwiek ważniejsze niż utrzymanie milionów ludzi przy życiu. A na to wychodzi, gdyby się powiedziało, że owo wyrzynanie ludzi było potrzebne dla utrzymania tronu Habsburgom.

Było także katarynkowym motywem powtarzanie ciągłe zdania o specyalnych uczuciach Franciszka Józefa wobec narodu polskiego. Prawda! Galicya miała na papierze niektóre prawa ponad wymiar Czech czy ~~Liechtensteinu~~ Vorarlbergu. Ale to nie wypływało bynajmniej z jakiegoś sentymentu wobec Polaków, tylko z chęci zaprzężenia ich do wozu dynastyczno rządowego, do stworzenia ~~dla nich~~ różnicy interesów między Polakami a innymi Słowianami i do uniemożliwienia w ten sposób koalicyi antiniemieckiej. Strzeże papierowe przywileje Polacy, aby ich nie stracić, łudzeni nadzieją rozszerzenia ich, siłą rzeczy byli przykuci do większości niemieckiej i do rządu.

Ale te przywileje były w praktyce okrawywane do połowy tak że naprawdę blichtr tylko z nich zostawał. I to jest znowu dowód na nieszczerość tego ustępstwa: odbierano drugą ręką, czego pierwszą jeszcze całkowicie nie dano. Podstęp, nieszczerość i podłość oto rysy charakterystyczne i trwałe wzajemnego stosunku cesarza do Polaków. Podjudzanie Rusinów, walka wytępiająca przeciw Polakom na Śląsku cieszyńskim: oto wymowne okoliczności towarzyszące owemu sercowemu stosunkowi między Koroną a naszym narodem.

Pamiętna jest próba wywołania powstania polskiego w Kongresówce za pośrednictwem prezesa Koła Grocholskiego. Kiedy jednak Grocholski zażądał jakichś zobowiązań się, nie dopuszczono go nawet na audyencyę. Franciszek Józef uważał Polaków z Kongresówki za zwykłe bydło rzeźne, które można i trzeba wydać na szlachtuz, gdy jemu to pomoże wyjść z niejakiej trudności – zaś Polaków galicyjskich za tak zepsiony gatunek, iż z ochotą popchnie miliony swoich nieszczęśliwych rodaków na śmierć, byleby mógł potem z ust monarchy swojego usłyszeć najwyższe słowa uznania: „Byłeś do zgonu wierny jak sobaka".

W odwzajemnieniu się za owe niegodne i obrzydliwe zapewnienia wieczystych wiernopoddańczych uczuć przez Polaków galicyjskich, Franciszek Józef i jego doradcy uważali bezprzestannie naród polski jako pospolity materyał wojny. Pracowano nad pobudzeniem Polaków do powstania przeciw Rosyi, a generalny sztab austryacki aż do wybuchu tej wojny operował w swoich planach, wskazówkach itd. czynnikiem „Räuberbanden", które trzeba utworzyć z Polaków. Naturalnie członkowie tych band byliby wieszani przez obie strony wojujące.

To jest habsburskie odwdzięczanie się za uczucia i hołdy lojalności Polaków, którzy powtarzając ciągle jedno i to samo, popadali w byzantynizm i pogańskie ubóstwianie owego lichego człowieka.

A podczas toczącej się wojny cała sprawa z legionami polskimi, odmowa osobnej roty przysięgi, ograniczenie liczby legionu, wysłanie niewyćwiczonych legionistów w Karpaty po śmierć: jest to jeden szereg nikczemności. I kiedy naród polski z Galicyi wlizuje się w łaskę tego drewnianego dziadka, pieniądzmi, krwią, czołobitnością, utratą mienia, on odbiera przywileje językowe, ba odbiera nawet równouprawnienia, nie pozwala myśleć o odbudowie zniszczonego kraju – bo przemyśliwa jakby na tem miejscu osadzić Niemców. Gry tak podłej, tak niskiej, tak niegodnej nie przypominam sobie w dziejach ani w teatrze. To jest austryacka nikczemność rzeczywistości. Swoją drogą, przywódcy polityczni Galicyi tak zatracili wszelkie poczucie godności osobistej i narodowej, że niestety ta gra miała po obu stronach partnerów prawie równie odczłowieczonych.

I gdybyż przy wszystkich tych wynaturzeniach ten stary człowiek był myślał tylko o osobistej i familijnej pysze, jeszcze rzecz byłaby do pojęcia. Ale on uważał się za uprawnionego do gwałcenia sumień, do podstawiania swego widzimisię na miejsce praw przyrodzonych i boskich. Ilekroć tylko czuł własną skórę w bezpieczeństwie, zaraz zabierał się do germanizowania i madziaryzowania. Utożsamiając swoją osobę z państwem, a swoje ~~ch~~ zachcianki z prawem, żądał miłości od tych, których ~~odda~~ wydawał na łup sfory niemieckiej, od Czechów, Słoweńców, Polaków – żądał wierności i walki na frontach od tych, którym całkiem za nic kazał powiesić ojców, braci, synów. Zwyrodnialec chyba dalej postąpić nie może.

Wobec tego człowieka i dygnitarza nie czuję się związany w niczem, tak samo wobec jego państwa.

Idę na wojnę pod przymusem, walczyć za obcą sprawę, przelewać krew o zwycięstwo, które będzie olbrzymiem dobrodziejstwem wtedy, gdy położenia naszego narodowego nie pogorszy w sposób beznadziejny – bo o polepszeniu nie można marzyć.

Cóż więc mam robić!

Przedewszystkiem nie zabić nikogo. Było to pierwsze postanowienie, jakie powziąłem. W tej niesprawiedliwej wojnie nie przystoi Polakowi brać na sumienie nawet kropelki krwi włoskiej, a cóż dopiero życia. Postanowiłem sobie zatem albo nie strzelać albo gdy konieczność zmusi, mierzyć umyślnie tak, aby nikogo nie trafić. Ponieważ nieźle umiem mierzyć, byłem pewny, że tego postanowienia dotrzymam.

Mogę sam zostać zabitym, to prawda. Niektórzy przeciwnicy rozlewu krwi mówili, że muszę starać się o wybicie jak największej ilości nieprzyjaciół, boć znajduję się w przymusowem położeniu samoobrony. I mieli słuszność, jeżeli mieli na myśli całą armię własną. Jednakże to usprawiedliwienie traci swoją słuszność w moim osobistym wypadku.

Ten Włoch, który mnie zabije, nie będzie mierzył w Jana Łamorskiego, lecz w austryackiego żołnierza, skutkiem tego ja nie mam przyczyny mścić się, bo to nie o mnie chodzi. Znalazłem się tutaj bez mojej chęci i woli, a Włosi, chcący niszczyć armię austryacką, oszczędzaliby mnie z pewnością, gdyby wiedzieli, kto jestem i gdzie jestem. Jeżeli więc austryacki Niemiec ma taką samą słuszność, chcąc upolować i zabić jak najwięcej Włochów, jaką ma Włoch, chcący zabić jak największą liczbę austryackich żołnierzy, to u mnie tego uzasadnienia nie ma. Włosi nie wydali wojny Polsce ani Polakom, nawet Austryi nie dlatego wydali wojnę, że mieli jakąś urazę do galicyjskiej garści Polaków i strzelając do austryackich szeregów, nie mają na celu polskich żołnierzy. Że od ich kul padają także i polscy żołnierze, to już nie jest wina Włochów, tylko austryackiego rządu, który tysiących Polaków tam stawia na froncie.

Ja więc mogę być zabity przez Włochów i to nie w tłumie, ale z zamiarem wyraźnym przeciwko mojej osobie z mierzeniem, ale to mierzenie nie będzie skierowane do mnie dlatego, żem Polak, albo żem Jan Łamorski, lecz dlatego, że jestem austryackim żołnierzem. Włosi mają słuszność, starając się wyniszczyć jak największą liczbę austryackich żołnierzy. Ale ja jako Polak nie mam najmniejszego interesu w osłabianiu Włochów, zatem nie powinienem zabić żadnego. Gdybym był na froncie rosyjskim, ~~mie~~ groziłaby mi niejednokrotnie śmierć z rąk Polaka, ale ta groźba nie doprowadziłaby mnie bynajmniej do tego, ażebym w tz. obronie własnej wystrzeliwać Polaków.

Wprawdzie wpajano w nas nienawiść i pogardę do Włochów. A ponieważ ich naprawdę nie znam, uważam, że mimo mojej czujności, bardzo wiele z tego się przyjęło. Nie podzielam tylko głównego argumentu, który działał najmocniej. Za zerwanie trójprzymierza rzucono na Włochów, jako na padlców, wiarołomników, zdrajców, sztyletników i skrytobójców. ~~Ale~~ Rosyan, Serbów, Francuzów nazywano gentlemanami w porównaniu do Włochów i budzono w wojsku rzeczywistą pogardę i obrzydzenie obok nienawiści.

Dla mnie śmiesznem było podnoszenie świętości przymierza ze strony tych, którzy targali bezwstydnie wszystkie przymierza.

Ponadto: cóż to było za przymierze? Kto je zawierał? Cesarz Franciszek Józef pisał w swoim skomlącym manifeście, że Król włoski wydał mu wojnę. Otóż król włoski okazał się tylko najpoprawniejszym naczelnikiem swojego narodu, skoro wydał tę wojnę, ze stanowiska włoskiego prawdziwie narodową. Bo to jest i boskie i ludzkie przykazanie starać się o zjednoczenie Włochów. Jeżeli towarzyskie postępowanie Wiktora Emanuela ~~nie~~ wobec Franciszka Józefa nie było ze wszech miar gentlemeńskie, to niech go Franciszek Józef wyzwie na pojedynek. Ale ten włoski Król, któryby w chęci uchronienia się przed osobistym zarzutem, jakoby względem swojego partnera cesarskiego nie zachował się poprawnie, zechciał zdeptać

słuszne aspiracye swojego narodu, zasłużyłby rzeczywiście na zdetronizowanie, albo i coś więcej.

A narody przymierza nie zawierały, bodaj z tej przyczyny, że naród austryacki nie istnieje na świecie.

Dla podniesienia nienawiści tłumaczono żołnierzom, że rząd austryacki oddawał Włochom po wojnie Trydenckie, że więc Włosi mogli zaspokoić swoje usprawiedliwione pragnienia w drodze pokojowej. W to mógł uwierzyć tylko człowiek naiwny. Po zwycięstwie Prus i Austryi Włochy nie śmiałyby zgłosić się w celu przypomnienia obietnicy, jeżeliby zamiast uzyskania Trydentu nie zechciały stracić bodaj Wenecyi. Trzeba znać bezwstyd niemiecki i butę, trzeba sobie przypomnieć dzieje tych państw. Jest to jeden łańcuch łajdactw.

Zaczem nienawiści do Włochów nie czułem żadnej, niemniej byłem przekonany, że to naród tchórzów, brudasów i kłamców. Takie wyobrażenia wszczepiła jednak we mnie szkoła niemiecka.

Skoro zatem nic mnie z Austryą nie wiąże i nic moralnie od Włochów nie dzieli, to może najlepiej przejść do nieprzyjaciela?

Nie. Myślałem nad tym problemem, ale nawet na chwilę nie zatrzymałem się przy myśli dezercyi. Nieraz zastanawiałem się nadtem, dlaczego ze wzdrygnieniem tylko mogłem o tem myśleć, chociaż ani wyraz „dezercya" mnie nie przestraszał, ani też żadnego gniewu nie doznawałem, gdym się dowiedział, że jakiś żołnierz zdezerterował do nieprzyjaciela. Każda taka wiadomość budziła we mnie tylko śmiech pobłażliwy, nigdy oburzenia.

A przecież tego, co u innych rozumiałem, nie mogłem nigdy przypuścić o sobie. Wydawało mi się, że nie śmiałbym żadnemu Włochowi popatrzeć w oczy, gdybym do nich przeszedł dobrowolnie.

Dziś, pisząc w spokoju o całem mojem życiu żołnierskiem, myślę, że główną przyczyną, dla której ani teoretycznie ani praktycznie nie umiałem zżyć się z myślą o dezercyi, to poprostu całkiem ordynarny atawizm żołnierz-czyzny. Burzył się we mnie instynkt na samo przypuszczenie, a był mocniejszy od wszelkich rozumowań i drwin. Bo drwiłem niejednokrotnie sam z siebie, jako z obrońcy austryackiej ojczyzny, jako z męczennika wojackiego honoru itp.

Z temi więc postanowieniami jechałem na front: nie zabić nikogo lub raczej dać się zabić, jakoteż nie przejść dobrowolnie do Włochów. Swoją drogą przychodziło mi także na myśl, że żadną miarą nie powinienem sobie zagradzać powrotu do Galicyi, lub gdyby Galicya dostała się Rosyi, to do Śląska cieszyńskiego. Wogóle brałem sobie za zasadę, że jeżeli tylko najmniejsza garść Polaków tubylczych zostanie przy Austryi, to moim obowiązkiem jest pozostać między nimi i pracować nad utrzymaniem tej garści dla polskości.

Te myśli chodziły mi nieraz po głowie urywkowo. Podczas długiej podróży wśród towarzystwa, które mnie zupełnie nie interesowało, uporządkowałem je, a ~~takież~~ owe instynktowe niejako poczucia doprowadziłem teraz do formy wskazań. ~~Ow~~ Postanowieniom owym zostałem wierny przez cały czas służby wojskowej i ani razu

nie znalazłem się w położeniu, któreby mi nakazało iść rewizyę.

Droga prowadziła przez Styryę i Karyntyę. Dopóki było widno odczytywałem nazwiska stacyi, ale później było to niemożliwem, gdy zapadła długa noc zimowa. Dowiedzieć się nie można było niczego. Była to niejako zasada w pułku drugim obrony krajowej, żeby żołnierzowi nie mówić niczego. Utrzymywano nas w takiej nieświadomości, że tylko przez jakąś niedyskrecyę dowiedzieliśmy się, iż jedziemy na włoski front – co po kierunku jazdy także wnet było można odgadnąć – oraz że pierwszem miejscem naszego pobytu ma być Ratschach. Co to jest: wieś czy miasto? w jakim kraju leży: Karyntyi, Krainie czy Istryi, które w Alpach schodzą się w jednym punkcie granicznym? tego już nikt nie wiedział.

Swoją drogą osobliwie mało rozciekawiały te rzeczy moich kamratów. Zaledwie kilku i to przeważnie z tych, którzy po raz drugi szli w pole, interesowało się temi sprawami. Panowie szarżowie jednoroczni byli na to widocznie bardzo obojętni, gdyż inaczej mogli dowiedzieć się wszystkiego przez aspirantów i chorążych swoich kolegów. Ten brak ciekawości później w bitwach dawał się mocno we znaki. O ile później się przekonałem, w innych pułkach oficerowie urządzali zgromadzenia plutonowe lub kompanijne i wyjaśniali położenie, okolicę itd. W drugim pułku landwery nigdy czegoś podobnego nie słyszałem. Oficerowie przed frontem umieli tylko żądać: Stramme Haltung, fesche Ehrenbezeigung, a poza tem nic a nic. Żołnierza poza menażą i urlopem także nic a nic nie obchodziło.

Nie było też w pułku śladu wesołości czy dowcipu. W innych regimentach spotykało się oficerów, którzy tworzyli lub powtarzali udatne dowcipy o komendzie, przebiegu wojny nawet o cesarzu, oraz żołnierzy, którzy ostrym językiem dawali szeregowcom zadośćuczynienie za szykany lub bodaj dyscyplinę, zwracając dowcip na oficerach – w linckim pułku nie było nawet próby w tym kierunku. Jakaś martwota ducha i bierna, bezuczuciowa uległość to rysy charakterystyczne.

Musieliśmy przejechać Celowac-Klagenfurth oraz Tarvis, skoro około drugiej w nocy z 5 na 6 stycznia wysiedliśmy na stacyi Bela Peč – Weissenfels. Noc była pogodna, mroźna, gwiaździsta, bezksiężycowa. Gdy pociąg stanął i zaczęto wykrzykiwać: „Umhängen, antreten," budziliśmy się połamani z niezdrowego snu i zaczęliśmy po omacku szukać swoich rzeczy. Ciężko to było. Jeszcze ciężej przychodziło naciągnąć brodsak, tornister i pas z bagnetem, przyczem szturkano się wzajemnie i klęto. Do tych klątw wnet przyłączyły się przekleństwa szarżów, biegających przed pociągiem po ciemnej stacyi, które miały przyspieszyć owo zbieranie się żołnierzy. Wreszcie zaczęto wyskakiwać z wagonów.

Dzień poprzedni musiał być ciepły, bo natopił moc śniegu, który teraz ścięty silnym mrozem utworzył zdradliwe powierzchnie lodowe między szynami. Toteż mnóstwo żołnierzy gruchnęło przy wyskakiwaniu z głuchym jękiem o ziemię, jeden zbił sobie kość, a niektórzy połamali łopatki. Karabiny, wypadłe z rąk, toczyły się po ślizgawce z brzękiem suchych drewienek, za co znowu sypały się klątwy z ust podoficerów.

Wszyscy ci ~~oficero~~ podoficerowie robili wrażenie dzieci, które bawią się w jakąś zabawę bardzo serio i pedantycznie przestrzegają jej przepisów. Otóż i oni wyczytali w regulaminie, że w polu to znaczy wobec nieprzyjaciela nie robi się świateł, a że

polem jest ta strona, w której zamiast podawania nazwiska miejscowości datuje się wszystkie pisma konwencyonalnym znakiem Feldpost 53, więc zabraniali nietylko świateł na stacyi, ale nawet palenia papierosów. Również przepisy mówią, że w polu trzeba zachowywać się cicho – to też klątwy przytłumione i rozkazy wychodziły z ust podoficerów w formie parskania kociego.

Wreszcie ustawiliśmy się jako tako i naturalnie w myśl wojskowych zwyczajów staliśmy w miejscu kilka kwadransów. Poco i dla czego, nie wiem.

Nareszcie usłyszeliśmy głośny śmiech i bardzo głośną rozmowę. Znalazł się jakiś oficer miejscowy, który nie krępował się przepisami, bo i nie było przyczyny. Bela Pecz była od linii bojowej oddalona przeszło 20 klm w linii powietrznej, a że po drodze stały olbrzymie góry, żaden nieprzyjaciel nie mógł by dosłyszeć naszego rozgwaru. Zapewne na skutek zaleceń tego oficera zdecydowano się w końcu na zapalenie latarń plutonowych, bo mimo gwiazd na ziemi było zupełnie ciemno. Austryackie latarnie plutonowe muszą być wielkim grzechem władz wojskowych i przedsiębiorców. Gdyby ktoś chciał dobrze poszukać, wsadziłby zapewne moc ludzi do więzienia, bo naprawdę szkoda grosza na te wyroby. Są to maleńkie czworoboczne latarenki z cieniuchnej blaszki, łączonej przez również cienkie druty, które służą także jako zawiasy. Latarnia ta bowiem może się składać na płasko i ma tę jedyną zaletę, że noszenie nieużywanej ~~zabiera~~ wymaga mało miejsca. Cztery szklanne ścianki wchodzą w ścianki blaszane, a gdy się latarnię rozprowadzi, można ją rozciągnąć w ten sposób, że górna połowa ma ściany z blachy, dolna przezroczyste ze szkła. W środek ~~wkłada~~ wstawia się świecę. Ale świeca, która zdoła zmieścić się w tej latarni, starczy na bardzo krótko, a że nie ma porządnego przeciągu, kopci i ~~za~~ zapryskuje szkło. Lada wietrzyk wystarczy jednak, aby przez zbyt liczne szpary zagasić światło. Światło to gorzeje w blaszanej części i nie daje jasności na zewnątrz. Gdy się tę latarnię rozciągnęło i złożyło dwa lub trzy razy, kruszą się druty, popuszcza blacha i całe pudełko jest już nie do użycia. Zdaje się, że celem fabrykantów jest zapewnienie wytrzymałości tej latarni tylko na czas kollaudacyi i odbioru przez władze wojskowe.

Niewiele też pomogły nam owe latarnie w pochodzie, a poślizgiwaniu się nie było końca.

Idziemy więc do owego Ratschach. Jak daleko może tam być? Ci, którzy chcą uchodzić za znawców, mówią 20, 30 kilometrów, a perspektywa marszu tak długiego wywołuje złe humory. Idziemy. Jak zwykle pluton naczelny puścił się elastycznym krokiem, a że składa się z ludzi najwyższych, więc rychło dalsze plutony muszą biegiem wyrównywać coraz rosnącą odległość. Ktoś z tyłu zawołał:

– Tête langsam!

Ale wnet przyskoczył jakiś aspirant i klnąc na czem świat stoi, zaczął wypytywać o winowajcę. Rozumie się, że go nie wydano, bo tak każe żołnierskie koleżeństwo.

Idziemy jakimś niezłym gościńcem. Wnet rozpoczynają się jakieś domki przy drodze, ale wyróżniać je trudno, bo dolina ma w nocy pozór jakiegoś

dna w kotle, utworzonym przez góry czarne, więc domki rysujące się na tem tle nie mają dla oka żadnych kształtów. Niebo widać tylko wązkim pasem nad głowami, niebo głęboko szafirowe, prawie zakopcone. Wkrótce domki gęścieją, a wreszcie ~~Nagle~~ zrywa się komenda: Halt.

Stoimy na jakimś placyku, którego środek zajmuje zapewne fontanna, bo woda nieprzerwanie pluszczy. Naturalnie nie wiemy dlaczego stoimy, a w grubym mroku nie widać co się dzieje.

Wkońcu i nasz pluton każą rozbić na „szwarmy", zaczem i ja z moimi kilkunastu kamratami idę pod wodzą Gefreitera Koguta. Wchodzimy do szerokiej sieni jednego domku, stojącego przy tym placu. Gnuchy zaduch mleka i krowiego gnoju chwyta nas za wnętrzności, otwierają się drzwi i wchodzimy.

Izba duża ma po lewej stronie wielki piec piekarski, a poza tem ławy ~~wzdł~~ z desek przytwierdzonych wzdłuż reszty ścian. Łóżko stoi na przedłużeniu pieca, a w niem leży mężczyzna dochodzący czterdziestki i patrzy na nas niechętnie z pod pierzyny. Mówimy: „Guten Morgen", odpowiada „Guten Morgen". Chwała Bogu będzie można z nim się porozumieć.

Pytam więc Koguta, czy mamy tu zająć kwatery na dłuższy czas, czy tylko przenocować i dowiaduję się, że rozkaz mówi tylko o przenocowaniu. Ów mężczyzna odpowiada, że nie broni nam legnąć sobie, gdzie zechcemy. Słomy niema, a gospodarz się nie rusza.

Nie tak to w Galicyi. Tam żołnierz wyrzuca gospodarza z łóżka, dziadkowi zabiera miejsce na piecu, wdziera się na strych lub do stodoły i bierze słomę, a biedni ludzie jeszcze się uśmiechają z obawy, aby nie przyszło do czego gorszego. Tutaj inaczej. Gospodarz leży sobie w paradnych betach, słomę mieć musi, skoro trzyma bydło, ale dla żołnierzy nie ma nic. A surowe nakazy nie pozwalają wojsku gospodarzyć na własną rękę, gdy w Galicyi uważa się chłopa za wyjętego z pod prawa. To porównanie Galicyi z tym krajem najlepiej illustruje szczęście, jakiego doznajemy pod austryackim rządem oraz równo~~po~~uprawnienie naszych ludzi.

Jedni powyciągali się na ławach, inni na podłodze. Zdjęto się tylko toboły i rzemienie, ~~a pt~~ a zresztą spało się w ubraniu. Mnie dostała się ława, ale przekonałem się potem, że w tem odznaczeniu było i nieszczęście, bo ława była za wązka. Bolały mnie też kości niewypowiedzianie.

Nazajutrz rano zaczęto naprawdę rozdzielać żołnierzy po kwaterach. Nasz pluton miał dostać szopę z cieniuchnych niestosowanych desek, z niewielką garścią zupełnie startej mierzwy na gołej ziemi. Musiały tam spać już całe pokolenia wojska, a każde zapewne zostawiło moc robactwa po sobie. Więc wzdrygnąłem się, a że komendant plutonu aspirant Kranzl był przy oględzinach, powiedziałem mu, iż tu zapewne skończę moją karyerę wojenną, bo jako reumatyk schorowany jestem zbyt wrażliwy na zimno i na ciągnienie od ziemi.

Kranzl był dobrym i zacnym człowiekiem. Kazał się nam zatrzymać i odszedł. Po długim czasie wrócił z innymi rozkazami. Nasz pluton rozmieszczono w trzech domach prywatnych, a mnie wypadło wrócić kwaterą do tego samego domku, w którym przepędziłem ostatek dzisiejszej nocy. Byliśmy albowiem w m. Ratschach i tu mieliśmy pozostać przez dłuższy czas.